

JANET EVANOVICH

***WYTROPIĆ MILION***

TYTUŁ ORYGINAŁU

**HOT SIX**

Podziękowania

Dziękuję Eileen Hoffman i Larry'emu Martine'owi

za pomysł na tytuł tej książki

## Prolog

No i stało się. Spełniły się najgorsze przeczucia mojej matki. Jestem nimfomanką. Pożądałam wielu mężczyzn. Cóż, być może dlatego, że tak naprawdę nie sypiam z żadnym. A niektóre moje namiętności prawdopodobnie prowadzą donikąd. Pewnie to wysoce nierozsądne marzyć, że kiedyś zrobię to z Mike'em Ritcherem, bramkarzem drużyny New York Rangers. Podobnie z Indianą Jonesem.

Z drugiej strony, dwóch mężczyzn z mojej listy facetów, których pożądałam, chce tego samego. Problem polega na tym, że obaj są jakby częścią piekielka, w którym się obracam.

Nazywam się Stephanie Plum. Jestem łowczynią nagród i pracuję z tymi dwoma facetami. Obaj zajmują się egzekwowaniem prawa. Jeden jest gliną. Ten drugi ma bardziej przedsiębiorcze podejście do walki z przestępczością. Żaden z nich nie jest dobry w przestrzeganiu zasad. Obaj biją mnie na głowę, jeśli chodzi o doświadczenia seksualne.

Wracając do rzeczy, przychodzi taki czas w życiu każdej dziewczyny, kiedy trzeba wziąć byka za rogi (lub za inną właściwą część ciała) i stać się odpowiedzialną za swoje życie. Właśnie to zrobiłam. Zadzwoiłam do jednego z tych okropnych facetów i zaprosiłam go do siebie.

Teraz nie mogę się zdecydować, czy go wpuścić do środka.

Obawiam się, że mogłoby to przypominać moje doświadczenie w wieku lat dziewięciu, kiedy to zatraciwszy się w wyobrazeniach o Cudownej Kobiecie, spadłam z dachu garażu Kruzaków, połamałam ulubiony krzew różany pani Kruzak, podarłam spodenki, przystroiłam bawełniane majtki różami i spędziłam resztę dnia, nie zdając sobie sprawy z tego, że wystawiam na pokaz goły tyłek.

Myśli kłębiły mi się w głowie. Weź się w garść! Nie ma powodu do nerwów. Taka jest wola boża. A poza tym, czyż dzisiaj wieczór nie wylosowałam z kapelusza imienia tego mężczyzny? No dobra, naprawdę to była miska, ale i tak jest to zrządzenie niebios. W porządku, prawda wygląda tak, że trochę oszukiwałam, podglądając w trakcie losowania. Przecież, u licha, czasem trzeba pomóc losowi. Chcę

przez to powiedzieć, że jeśli mogłabym polegać na przychylności losu, to nie musiałabym wykonać tego głupiego telefonu, nieprawdaż?

Poza tym mam parę asów w rękawie. Jestem dobrze przygotowana do swojego zadania. Sukienka pożeraczki męskich serc, krótka i czarna. Szpilki z paskiem wokół kostki. Błyszcząca czerwona szminka. Paczka prezerwatyw ukryta w szufladzie na swetry. Naładowana broń pod ręką, w misce z ciastkami. Stephanie Plum, kobieta z misją. Dać mu nauczkę, żywemu lub martwemu.

Przed chwilą usłyszałam otwierające się drzwi od windy, a potem kroki w holu. Ktoś zatrzymał się przed drzwiami mojego mieszkania. Wiedziałam, że to on, ponieważ moje sutki nabrzmiały.

Zapukał i stanął jak sparaliżowany, gapiąc się na zamek w drzwiach. Zapukał po raz drugi, otworzyłam mu i zrobiłam krok do tyłu. Nasze oczy spotkały się. W przeciwieństwie do mnie nie zdradzał żadnych objawów zdenerwowania. Być może ciekawość. I pożądanie. Silne pożądanie. Morze pożądania.

- Jak się masz - powiedziałam.

Wszedł do przedpokoju, zamknął drzwi i przekręcił zamek. Oddychał głęboko i jednostajnie, miał ciemne oczy i poważny wyraz twarzy. Przyglądał mi się uważnie.

- Ładna kiecka - powiedział. - Zdejmij ją.

- Może najpierw napijemy się wina - zaproponowałam. Zwlekać! - myślałam. Upić go! Wtedy, jeśli mi się nie uda, może nic nie będzie pamiętał.

Powoli pokręcił głową.

- Nie sędzę.

- Kanapkę?

- Później. Znacznie później. Zaczęłam sobie łamać głowę. Uśmiechnął się.

- Jesteś ładna, kiedy się denerwujesz.

Zmrużyłam oczy. Nie wzięłam pod uwagę takich komplementów, przygotowując się do tego spotkania. Przycisnął mnie do siebie, sięgnął do moich pleców i pociągnął w dół zamek błyskawiczny sukienki, która zsunęła mi się z ramion i wylądowała na podłodze. Zostałam w moich seksownych pantoflach i skąpych majteczkach typu string firmy Victoria's Secret.

Mam metr siedemdziesiąt wzrostu, obcasy dają dodatkowe dziesięć, ale i tak był nieco wyższy ode mnie. Oraz dobrze zbudowany. Jego dłonie ześlizgnęły się po moich plecach, a on spojrzał mi przez ramię.

- Ładne - powiedział.

Nie widział mnie nagiej po raz pierwszy. Kiedy miałam siedem lat, zaglądał mi pod spódniczkę. Kiedy miałam osiemnaście, uwolnił mnie od dziewictwa. Jeśli chodzi o historię najnowszą, robił ze mną takie rzeczy, że nieprędka o nich zapomnę. Był gliną w Trenton i nazywał się Joe Morelli.

- Pamiętasz, że jako dzieci bawiliśmy się w ciuchcie? - zapytał.

- Zawsze byłam tunelem, a ty pociągiem.

Chwytał mnie za gumkę od majtek i włożył tam rękę.

- Byłem zepsutym dzieciakiem - powiedział.

- To prawda.

- Teraz jestem lepszy.

- Czasami.

Uśmiechnęłam się triumfalnie.

- Ciasteczko, zawsze o tym pamiętaj. Pocałował mnie, a moje fatałaszki powędrowały na podłogę.

Tak, właśnie tak!

## Rozdział 1

Pięć miesięcy później...

Carol Zabo stała na zewnętrznej balustradzie mostu łączącego brzegi rzeki Delaware pomiędzy Trenton w stanie New Jersey a Morrisville w stanie Pensylwania. W prawej dłoni trzymała standardowych rozmiarów cegłę, która była przywiązana do kostki u nogi ponad metrowej długości sznurem do wieszania bielizny. Na moście widniał napis: „Trenton produkuje, świat kupuje”. Carol najwidoczniej miała dość tego świata, który kupował - cokolwiek by to miało *znaczyć* - ponieważ właśnie przygotowywała się do skoku z mostu, w czym miała jej pomóc cegła.

Stałam w odległości jakiś trzystu metrów, próbując przekonać Carol, żeby zeszła z balustrady. Sznur samochodów przejeżdżał koło nas. Niektórzy kierowcy zwalniali, żeby się pogapić, a inni mijali gapiów, pokazując Carol środkowy palec, bo hamowała ruch.

- Posłuchaj, Carol - powiedziałam. - Jest w pół do dziewiątej i zaczyna sypać śnieg. Marznie mi tyłek. Zdecyduj się, czy skaczesz, bo muszę gdzieś zadzwonić i mam ochotę na filiżankę kawy.

Tak naprawdę nie wierzyłam, że mogłaby skoczyć. Z jednego powodu. Nosila kurtkę od Wilsona, wartą czterysta dolarów. Po prostu nie skacze się z mostu w kurtce za tyle pieniędzy. Tak się nie robi. Kurtka by się zniszczyła.

Carol - podobnie jak ja - urodziła się przy ulicy Chambersburg w Trenton, a w tej dzielnicy najpierw oddaje się taką kurtkę siostrze, a dopiero potem skacze z mostu.

- Hej, słuchaj no, Stephanie Plum - odparła Carol, szcękając zębami. - Nikt nie przysyłał ci ozdobnego zaproszenia na tę imprezę.

Znałyśmy się z liceum. Ona tańczyła w zespole, a ja wywijałam pałeczką. Teraz była żoną Lubiego Zabo i chciała popełnić samobójstwo. Jeśli ja byłabym jego żoną, też chciałabym to zrobić. Ale to nie był powód, dla którego Carol stała na balustradzie z cegłą na sznurze. Carol ukradła kilka par majtek z dziurką w kroku u Fredericka przy deptaku. Nie chodziło o to, że nie było jej stać na te majtki. Potrzebowała ich, aby dodać pikanterii swojemu życiu seksualnemu,

ale zbyt się krępowwała, żeby za nie zapłacić. Uciekając w pośpiechu, nie zauważyła nieoznakowanego policyjnego wozu Briana Simona. Brian wszystko widział, zaczął ją gonić i wpakował Carol do aresztu.

Mój kuzyn Vinnie, prezes i jedyny właściciel firmy Vincent Plum - Kaucje i Poręczenia, wpłacił kaucję za Carol. Jeśli nie pojawiłaby się na rozprawie w dniu wyznaczonym przez sąd, Vinnie straciłby pieniądze - chyba że byłby w stanie dostarczyć ciało Carol w przepisowym czasie.

I tutaj zaczyna się moja rola. Jestem agentką, która poszukuje osób zwolnionych za kaucją, co jest skomplikowanym określeniem łowczyni nagród. Dostarczam ciała Vinniemu. Najlepiej żywe i nieuszkodzone.

Dzisiaj rano Vinnie w drodze do biura wypatrzył Carol i wysłał mnie, żebym ją uratowała, a jeśli byłoby to niemożliwe, żebym chociaż precyzyjnie namierzyła miejsce, w którym jej ciało wylądowało w rzece. Vinnie obawiał się, że jeśli Carol skoczy z mostu, a nurkowie i policjanci nie znajdą jej ciała, on straci pieniądze.

- To naprawdę nie jest dobre wyjście z sytuacji - powiedziałam do Carol. - Będziesz potwornie wyglądać, jak cię znajdą. Pomyśl, zniszczysz sobie włosy.

Zaczęła przewracać oczami, tak jakby chciała zobaczyć swój czubek głowy.

- Cholera, nie pomyślałam o tym - odrzekła. - Poza tym właśnie zrobiłam sobie pasemka. Ale zawałam sprawę.

Z nieba leciały duże, mokre płaty śniegu. Na nogach miałam sportowe buty z solidnymi wibramowymi podszewkami, ale i tak marzły mi stopy. Carol była ubrana bardziej zobowiązująco, miała modne buty do kostek, krótką czarną sukienkę i tę szalową kurtkę. Tylko cegła była zbyt pospolita i jakoś nie pasowała do całości. Sukienka przypominała mi tę, która wisiała w mojej garderobie. Miałam ją na sobie tylko kilka minut, zanim wylądowała na podłodze i została rzucona w kąt... Scena, która rozpoczęła wyczerpującą noc, spędzoną z mężczyzną moich marzeń. No, w każdym razie z jednym z nich. Zabawne, jak różnie ludzie postrzegają te same ubrania. Włożyłam taką sukienkę, mając nadzieję, że dzięki temu zwabię faceta do łóżka. Carol postanowiła skoczyć w niej z mostu. A tak na marginesie, moim zdaniem, skakanie z mostu w sukience nie jest dobrym pomysłem. Ja włożyłabym

spodnie. Carol wyglądałaby idiotycznie w zadartej do góry sukience i ze zwisającymi pończochami.

- No, a co Lubię sądzi o twoich pasemkach? - zapytałam.

- Podobają mu się - poinformowała Carol. - Tylko chciałby, żeby włosy były dłuższe. Mówi, że długie włosy są teraz modne.

Osobiście nie wysilałabym się - w sensie nadążania za modą - dla faceta, którego ksywa pochodzi od przechwałek na temat jego umiejętności seksualnych z wykorzystaniem oliwiarki. Ale przecież to nie moja sprawa.

- Powiedz mi jeszcze raz, dlaczego stoisz na tej balustradzie.

- Bo wołałabym umrzeć niż iść do więzienia.

- Mówiłam ci przecież, że nie pójdziesz do więzienia. A jeśli już, to nie na długo.

- Jeden dzień to też za długo! Nawet godzina to za długo! Kazać ci ściągnąć ubranie i nachylić się, żeby sprawdzić, czy nie masz ukrytej broni. No i musisz korzystać z łazienki na oczach wszystkich. No wiesz, nie masz chwili prywatności. Widziałam taki program w telewizji.

Teraz zrozumiałam ją trochę lepiej. Sama wołałabym popełnić samobójstwo niż zrobić którąkolwiek z tych rzeczy.

- Może nie będziesz musiała iść do więzienia - powiedziałam. - Znam Briana Simona. Mogę z nim pogadać. Może uda mi się go przekonać, żeby wycofał oskarżenie.

Twarz Carol pojaśniała.

- Naprawdę? Zrobiłabyś to dla mnie?

- Jasne. Nie mogę ci niczego obiecać, ale spróbuję.

- A jeśli on nie wycofa zarzutów, to zawsze jeszcze będę mogła się zabić.

- Oczywiście.

Zapakowałam Carol razem z cegłą do jej samochodu i pojechałam do „7-Eleven” po kawę i paczkę pączków w polewie czekoladowej. Wytlumaczyłam sobie, że zasłużyłam na pączki, ponieważ odwaliałam kawał dobrej roboty, ratując życie Carol. Zabrałam kawę i ciastka i pojechałyśmy do biura Vinniego przy Hamilton Avenue. Nie chciałam narażać się na ryzyko zjedzenia wszystkich pączków. A poza tym miałam nadzieję, że Vinnie będzie miał dla mnie nową robotę. Pracując

jako agentka do spraw poszukiwania osób zwolnionych za kaucją, dostaję zapłatę dopiero po dostarczeniu poszukiwanej osoby. A teraz jestem splukana z powodu niesubordynacji delikwentów, którzy wyszli na wolność za kaucją.

- Cholerny mięczak - rzuciła Lula zza szaf z aktami. - właśnie wchodzą pączki.

Ze wzrostem metr sześćdziesiąt i żywą wagą prawie stu kilogramów Lula była kimś w rodzaju eksperta od pączków. W tym tygodniu nosiła różne odcienie tego samego koloru. Włosy, cera, błyszczący do ust - wszystko w kolorze kakao. Kolor skóry Lula ma stały, a kolor włosów zmienia co tydzień.

Lula pracuje u Vinniego i czasami mi pomaga. Ponieważ nie jestem najlepszą na świecie łowczynią nagród, a Lula nie jest mistrzynią wśród pomocników, często przypomina to *Najsłynniejsze wpadki policjantów* w wersji dla amatorów.

- Czekoladowe? - zapytała Lula. - Właśnie miałyśmy ochotę na czekoladowe pączki, prawda, Connie?

Connie Rosolli jest kierowniczką biura. Akurat siedziała przy biurku na środku pokoju, oglądając w lusterku swój wąsik.

- Chyba muszę znowu iść na zabieg - oświadczyła. - jak sądzicie?

- Myślę, że to dobry pomysł - odpowiedziała Lula, częstując się pączkiem. - Bo znów zaczniesz wyglądać jak Groucho Marx.

Popijałam kawę małymi łykami i przeglądałam dokumenty, które leżały na biurku Connie.

- Przyszło coś nowego?

Drzwi do gabinetu otworzyły się z hukiem i wychyliła się z nich głowa Vinniego.

- A niech mnie, marny coś nowego... Specjalnie dla ciebie.

Lula wykrzywiła się. Connie zmarszczyła nos. Ścisnęło mnie w żołądku. Przeważnie to ja musiałam prosić się o pracę, a teraz Vinnie zarezerwował coś specjalnie dla mnie.

- O co chodzi? - zapytałam. - Co tu jest grane?

- Chodzi o Rangera. Ulotnił się. Jego pager też nie odpowiada.

- Ten gnojek nie pojawił się wczoraj w sądzie - powiedział Vinnie.

- Jest NSS.



W żargonie łowców nagród NSS oznacza „Nie Stawił się w Sądzie”. Zwykle jestem w siódmym niebie, słysząc, że ktoś się nie stawił, ponieważ oznacza to dla mnie zarobek. W tym wypadku nie było żadnych widoków na pieniądze, bo jeśli Ranger nie będzie chciał, żeby go znaleźć, to i tak go nie znaję. Koniec dyskusji.

Ranger też jest łowcą nagród. Jedynym dobrym. To facet mniej więcej w moim wieku, plus minus kilka lat różnicy; Amerykanin kubańskiego pochodzenia; jestem niemal pewna, że zabija tylko złych ludzi. Dwa tygodnie temu jakiś głupi żółtodziób aresztował go za noszenie broni bez pozwolenia. Wszyscy policjanci w Trenton znają Rangera, wiedzą, że nosi broń bez pozwolenia, i są usatysfakcjonowani tym stanem rzeczy. Ale temu nowemu nikt o tym nie powiedział. Tak więc Ranger został schwytany i wyznaczono mu rozmowę w sądzie na wczoraj w celu udzielenia nagany. Tymczasem Vinnie wykupił Rangera za niezły kawałek gotówki, a teraz czuł się opuszczony, bez gruntu pod nogami, zdany tylko na siebie. Najpierw Carol. Teraz Ranger. Niezbyt udany początek tygodnia.

- Coś mi tutaj nie pasuje - powiedziałam. - Coś tu nie gra. - Zrobiło mi się ciężko na sercu, ponieważ byli tacy, którzy nie mieliby nic przeciwko temu, żeby Ranger zniknął na zawsze. Dla mnie oznaczałoby to pustkę w życiu. - Ranger nie zlekceważyłby rozmowy w sądzie. Ani wiadomości wysłanej na pager.

Lula i Connie wymieniły spojrzenia.

- Słyszałaś o tym pożarze w centrum w niedzielę? - zapytała Connie. - Okazało się, że ten biurowiec należy do Alexandra Ramosa.

Alexander Ramos to handlarz, który kontroluje nielegalny przepływ broni ze swojej letniej siedziby na wybrzeżu Jersey i z zimowej fortecy w Atenach. Ma trzech dorosłych synów, z których dwaj mieszkają w Stanach: jeden w Santa Barbara, drugi w Hunterdon County. Trzeci mieszka w Rio. Wszyscy o tym wiedzą. Rodzina Ramosa była cztery razy na okładce „Newsweeka”. Spekulacje na temat powiązań Rangera z Ramosem trwają od lat, ale nikt nie zna szczegółów. Ranger jest mistrzem w trzymaniu języka za zębami.

- No i co z tego?

- I kiedy w końcu wczoraj udało się wejść do tego budynku, znaleziono ciało najmłodszego syna Ramosa, Homera, upieczonego w

biurze na trzecim piętrze. Oprócz tego, że wyglądał jak grzanka, miał w głowie wielką dziurę po kuli.

- No i?

- No i chcą przesłuchać Rangera. Przed tobą była tu policja. Szukają go.

- Dlaczego szukają właśnie jego? Connie rozłożyła ręce.

- Wszystko jedno, wymknął się - odpowiedział Vinnie. - A ty go znajdziesz.

Bezwiednie podniosłam głos o jeden ton:

- Zwariowałaś, czy co? Nie mam zamiaru ścigać Rangera.

- I o to właśnie chodzi - sprecyzował Vinnie. - Nie musisz go ścigać. Sam przyjdzie. Ma coś dla ciebie.

- Nie. Nie ma mowy. Zapomnij o tym.

- W porządku - powiedział Vinnie. - Skoro nie chcesz tej roboty, to dam ją Joyce.

Joyce Barnhardt jest moim wrogiem numer jeden. Oględnie mówiąc, prędzej mnie pokręci, niż oddam jej swoją sprawę. W tym wypadku mogłabym zrobić wyjątek. Pozwólmy jej gonić w piętkę w poszukiwaniu niewidzialnego człowieka.

- Co jeszcze masz? - zapytałam Connie.

- Dwie płotki i jedno diabelnie trudne zadanie. - Podała mi trzy teczki. - Ponieważ Ranger jest nieaktualny, to parszywe zadanie jest twoje.

Szybkim ruchem otworzyłam teczkę na stronie tytułowej. Morris Munson. Aresztowany za zabójstwo w wypadku samochodowym.

- Mogło być gorzej - zauważyłam. - Gdyby był maniakałnym gwałcicielem.

- Nie przeczytałaś do końca - powiedziała Connie. - Facet przejechał ofiarę, która przypadkiem okazała się jego byłą żoną, pobił ją felgą, zgwałcił i usiłował podpalić. Został oskarżony o spowodowanie zabójstwa w wypadku samochodowym, ponieważ, zgodnie z prawem stanu

facet mniej więcej w moim wieku, plus minus kilka lat różnicy; Amerykanin kubańskiego pochodzenia; jestem niemal pewna, że zabija tylko złych ludzi. Dwa tygodnie temu jakiś głupi żółtodziób aresztował go za noszenie broni bez pozwolenia. Wszyscy policjanci w Trenton

znają Rangera, wiedzą, że nosi broń bez pozwolenia, i są usatysfakcjonowani tym stanem rzeczy. Ale temu nowemu nikt o tym nie powiedział. Tak więc Ranger został schwytany i wyznaczono mu rozmowę w sądzie na wczoraj w celu udzielenia nagany. Tymczasem Vinnie wykupił Rangera za niezły kawałek gotówki, a teraz czuł się opuszczony, bez gruntu pod nogami, zdany tylko na siebie. Najpierw Carol. Teraz Ranger. Niezbyt udany początek tygodnia.

- Coś mi tutaj nie pasuje - powiedziałam. - Coś tu nie gra. - Zrobiło mi się ciężko na sercu, ponieważ byli tacy, którzy nie mieliby nic przeciwko temu, żeby Ranger zniknął na zawsze. Dla mnie oznaczałoby to pustkę w życiu. - Ranger nie zlekceważyłby rozmowy w sądzie. Ani wiadomości wysłanej na pager.

Lula i Connie wymieniły spojrzenia.

- Słyszałaś o tym pożarze w centrum w niedzielę? - zapytała Connie. - Okazało się, że ten biurowiec należy do Alexandra Ramosa.

Alexander Ramos to handlarz, który kontroluje nielegalny przepływ broni ze swojej letniej siedziby na wybrzeżu Jersey i z zimowej fortecy w Atenach. Ma trzech dorosłych synów, z których dwaj mieszkają w Stanach: jeden w Santa Barbara, drugi w Hunterdon County. Trzeci mieszka w Rio. Wszyscy o tym wiedzą. Rodzina Ramosa była cztery razy na okładce „Newsweeka”. Spekulacje na temat powiązań Rangera z Ramosem trwają od lat, ale nikt nie zna szczegółów. Ranger jest mistrzem w trzymaniu języka za zębami.

- No i co z tego?

- I kiedy w końcu wczoraj udało się wejść do tego budynku, znaleziono ciało najmłodszego syna Ramosa, Homera, upieczonego w biurze na trzecim piętrze. Oprócz tego, że wyglądał jak grzanka, miał w głowie wielką dziurę po kuli.

- No i?

- No i chcę przesłuchać Rangera. Przed tobą była tu policja. Szukają go.

- Dlaczego szukają właśnie jego? Connie rozłożyła ręce.

- Wszystko jedno, wymknął się - odpowiedział Vinnie. - A ty go znajdziesz.

Bezwiednie podniosłam głos o jeden ton:

- Zwariowałeś, czy co? Nie mam zamiaru ścigać Rangera.

- I o to właśnie chodzi - sprecyzował Vinnie. - Nie musisz go ścigać. Sam przyjdzie. Ma coś dla ciebie.

- Nie. Nie ma mowy. Zapomnij o tym.

- W porządku - powiedział Vinnie. - Skoro nie chcesz tej roboty, to dam ją Joyce.

Joyce Barnhardt jest moim wrogiem numer jeden. Oględnie mówiąc, prędzej mnie pokręci, niż oddam jej swoją sprawę. W tym wypadku mogłabym zrobić wyjątek. Pozwólmy jej gonić w piętę w poszukiwaniu niewidzialnego człowieka.

- Co jeszcze masz? - zapytała Connie.

- Dwie płotki i jedno diabelnie trudne zadanie. - Podała mi trzy teczki. - Ponieważ Ranger jest nieaktualny, to parszywe zadanie jest twoje.

Szybkim ruchem otworzyłam teczkę na stronie tytułową. Morris Munson. Aresztowany za zabójstwo w wypadku samochodowym.

Mogło być gorzej - zauważyłam. - Gdyby był maniakałnym gwałcicielem.

- Nie przeczytałaś do końca - powiedziała Connie. - Facet przejechał ofiarę, która przypadkiem okazała się być żoną, pobił ją felgą, zgwałcił i usiłował podpalić.

Został oskarżony o spowodowanie zabójstwa w wypadku samochodowym, ponieważ, zgodnie z prawem stanu Maine, ona już nie żyła, kiedy zaczął ją bić. Namoczył kobietę w benzynie i próbował uruchomić swoją zapalniczkę, ale właśnie przejeżdżał tamtędy wóz policyjny.

Miałam mroczki przed oczami. Osunęłam się na sofę ze skaju i włożyłam głowę między kolana.

- Wszystko w porządku? - zapytała Lula.

- To na pewno z powodu obniżonego poziomu cukru we krwi - wyjaśniłam. Cóż, taki mam zawód.

- Mogło być gorzej - orzekła Connie. - Piszą tutaj, że nie był uzbrojony. Po prostu weźmiesz ze sobą spluwę i wszystko będzie w porządku.

- Jak oni mogli wypuścić go za kaucją!

- Zastanów się - odparła Connie. - Można się domyślić, pewnie nie mają miejsc w hotelu.

Popatrzyłam na Vinniego, który nadal stał w drzwiach swojego gabinetu.

- Wpłaciłeś kaucję za tego psychola?
- Przecież ja nie jestem sędzią, tylko biznesmenem. Nie był wcześniej notowany - wyjaśnił Vinnie. - Ma dobrą posadę w fabryce guzików. Własny dom.
- I uciekł.
- Nie stawiał się w sądzie - sprostowała Connie. - Dzwoniłam do tej fabryki i dowiedziałam się, że ostatni raz widziano go we środę.
- Mają od niego jakieś wiadomości? Nie telefonował w ataku choroby?
- Nie. Dzwoniłam na jego numer domowy, ale włączyła się sekretarka.

Rzuciłam okiem na dwie pozostałe teczki. Lenny Dale, uciekł podczas akcji, oskarżony o przemoc w rodzinie. Walter, zwany Człowiekiem z Księżycy, nazwiskiem Dunphy, poszukiwany za pijaństwo, chuligaństwo i oddawanie moczu w miejscach publicznych. Wrzuciłam wszystkie trzy teczki do torby i wstałam.

- Daj mi znać na pager, jak będą jakieś wiadomości o Rangerze.
- Ostatnia szansa - powiedział Vinnie. - Słowo, że dam tę sprawę Joyce.

Wzięłam pączka z pudełka, resztę oddałam Luli i wyszłam. To był marzec i zamieć nie mogła już za bardzo szaleć. Na ulicy leżało jeszcze trochę śnieżnej bryli, a przednią i boczne szyby mojego auta pokrywała warstewka lodu. Za szybą zobaczyłam jakiś dużych rozmiarów obiekt o niewyraźnych konturach. Przyjrzałam się temu czemuś przez warstwę lodu. Bezkształtnym obiektem był Joe Morelli.

Większość kobiet miałyby z miejsca orgazm, gdyby Morelli znalazł się w ich samochodzie. Ten jego urok! Ja znam faceta niemal od zawsze i prawie nigdy nie miałam orgazmu natychmiast, gdy go zobaczyłam. Potrzebowałam przynajmniej kilku minut.

Był w butach do kostek, dzinsach i czarnej wełnianej kurtce. Spod kurtki wystawała czerwona flanelowa koszula w kratę. Pod koszulą miał czarny podkoszulek i glocka kaliber 40. Jego oczy były w kolorze dobrej whisky, a ciało - połączeniem włoskich genów i ciężkiej pracy

na siłowni. Zyskał opinię człowieka, który żyje szybko, co było w pełni zasłużone, ale nieaktualne. Morelli wkładał teraz całą energię w pracę.

Wślizgnęłam się z powrotem za kierownicę, przekręciłam kluczyk w stacyjce i włączyłam ogrzewanie szyb. Jeździłam sześciolletnią niebieską hondą civic, która była idealnym środkiem transportu, ale nie nadażała za moją fantazją. Trudno być Xeną, wojowniczą księżniczką, w sześciolletniej hondzie.

- No to - zagadnęłam do Morellego - co tam u ciebie słyhać?

- Ścigasz Rangera?

- Nie. Nie ja. Oczywiście, że nie. Nie ma mowy.

- Zmarszczył brwi.

- Nie jestem magikiem - powiedziałam. - Wysłana w pościg za Rangerem, przypominałabym kurczaka, który ma ustrzelić lisa.

Morelli oparł się o drzwi.

- Muszę z nim pogadać.

- Prowadzisz śledztwo w sprawie pożaru?

- Nie. Chodzi o coś innego.

- O coś, co ma związek z pożarem? Na przykład o dziurę w głowie Homera Ramosa?

- Morelli uśmiechnął się tajemniczo.

- Zadajesz mnóstwo pytań.

- Tak, ale nie otrzymuję żadnych odpowiedzi. Dlaczego Ranger nie odpowiada na pager? Jaka jest jego rola w tym wszystkim?

- Spotkał się w nocy z Ramosem. Zostali zarejestrowani na taśmie wideo przez kamerę w holu wejściowym. Budynek jest zamykany na noc, ale Ramos miał klucz. Przyjechał pierwszy, czekał dziesięć minut na Rangera, a potem otworzył mu drzwi. Obaj przeszli przez hol i wyjechali windą na trzecie piętro. Trzydzieści pięć minut później Ranger wyszedł sam. Dziesięć minut po jego wyjściu włączył się alarm przeciwpożarowy. Przejrzelismy czterdzieści osiem godzin taśmy. Poza Ramosem i Rangerem w budynku nie było nikogo.

- Dziesięć minut to dużo czasu. Dajmy mu jeszcze trzy na zjechanie windą lub zejście po schodach. Dlaczego alarm nie włączył się wcześniej, skoro to Ranger podłożył ogień?

- W pokoju, w którym znaleziono Ramosa, nie było wykrywacza dymu. Drzwi zamknięto, a wykrywacz znajdował się w holu.

- Ranger nie jest głupi. Jeśli miałby zamiar kogoś zabić, nie pozwoliłby dać się zarejestrować na kasecie wideo.

- To była ukryta kamera. - Morelli dostrzegł mojego pączka. - Będziesz go jadła?

Przełamałam ciastko i dałam mu połówkę. Drugą szybko włożyłam do ust.

- Użyli jakiejś substancji chemicznej?
- Niewielkiej ilości płynu do zapalniczek.
- Myślisz, że on to zrobił?
- Trudno powiedzieć.
- Connie powiedziała, że Ramosa zastrzelono.
- Dziewięć milimetrów.
- Myślisz, że Ranger ukrywa się przed policją?

- Śledztwo w sprawie tego morderstwa prowadzi Allen Barnes. Do tej pory wszystkie ślady, które ma, prowadzą do Rangera. Gdyby aresztował Rangera w celu przesłuchania, prawdopodobnie potrzymałby go przez jakiś czas, opierając się na poszlakach, które są dość przekonujące. Obojętne, z jakiej strony by na to spojrzeć, siedzenie w celi nie leży w tej chwili w interesie Rangera. Skoro Barnes uznał go za głównego podejrzanego, istnieje duże prawdopodobieństwo, że Ramos doszedł do podobnego wniosku. Gdyby Ramos uznał, że to Ranger sprzątnął jego syna, z pewnością nie czekałby, aż sąd wymierzy mu sprawiedliwość.

Pączek utkwiał mi w przełyku.

- A może Ramos już się dobrał do Rangera...
- Istnieje taka możliwość.

Niech to szlag. Ranger jest wyrachowany i ma żelazne zasady, które niekoniecznie pokrywają się z powszechnie obowiązującymi. Pojawił się na mojej drodze jako mentor, kiedy zaczęłam pracę u Vinniego, potem nasza znajomość stopniowo zmieniła się w przyjaźń, ograniczoną z powodu jego samotniczego trybu życia i mojej naturalnej chęci przetrwania. Prawda jest taka, że coraz bardziej pociągamy się nawzajem, co potwornie mnie przeraża. Tak więc uczucia, jakie żywię wobec Rangera, były od początku skomplikowane, a teraz jeszcze na liście niepożądanych emocji znalazło się przeczucie końca świata.

Zadzwoił pager Morellego. Joe przeczytał wiadomość i westchnął.

- Muszę wracać. Gdybyś przypadkiem spotkała Rangera, przekaz mu wiadomość ode mnie. Naprawdę musimy porozmawiać.

- To będzie cię kosztować.

- Obiad?

- Pieczone kurczaki - powiedziałam. - Supertłuste.

Kątem oka patrzyłam, jak wysiada z samochodu i przechodzi drugą stronę ulicy. Napawałam się jego widokiem, dopóki nie zniknął mi z pola widzenia, a następnie zajęłam się z powrotem aktami. Znałam Człowieka z Księżyca, czyli Dunphy'ego. Chodziliśmy do jednej szkoły. To pestka. Wystarczy oderwać go od ekranu telewizora.

Lenny Dale mieszkał w bloku przy Grand Avenue i podał, że ma osiemdziesiąt dwa lata. Z tym będzie o wiele gorzej. Żaden sposób nie jest dobry, żeby aresztować osiemdziesięciodwuletniego człowieka. Wszystko jedno, jak to zrobisz, zawsze wyjdiesz na świnię i tak właśnie się pocujesz.

Pozostały do przeczytania akta Morrisa Munsona, ale nie śpieszyło mi się do tego. Lepiej to odwlec i mieć nadzieję, że pojawi się Ranger.

Postanowiłam najpierw zająć się Dale'em. Mieszkał zaledwie czterysta metrów od biura Vinniego. Powinnam zawrócić na przełęczce przy Hamilton, ale samochód nie chciał tam jechać. Jechał w kierunku centrum i spalonego budynku.

Zgadza się, jestem wścibska. Chciałam zobaczyć miejsce zbrodni. Sądzę, że chciałam również wczuć się w sprawę. Chciałam stanąć przed tym budynkiem i zobaczyć oczyma wyobraźni Rangera.

Przejechałam przez tory i włączyłam się w poranny ruch uliczny. Budynek znajdował się na rogu Adamsa i Trzeciej. Był zbudowany z czerwonej cegły, czteropiętrowy, i miał mniej więcej pięćdziesiąt lat. Zaparkowałam po drugiej stronie ulicy, wysiadłam z samochodu i gapiłam się na czarne od dymu okna; niektóre z nich były zabite deskami. Na całej szerokości budynku rozciągnięto żółtą policyjną taśmę, którą podtrzymywały pacholki, celowo ustawione na chodniku, aby nie dopuścić zbyt blisko takich ciekawskich jak ja. Ale przecież drobna przeszkoda w rodzaju taśmy policyjnej nie mogła mnie powstrzymać przed wejściem tam.

Przeszłam przez jezdnię, a potem pod taśmą. Próbowaliśmy otworzyć drzwi z podwójnego szkła, ale były zamknięte na klucz. Wewnątrz hol



wyglądał na stosunkowo mało zniszczony. Mnóstwo brudnej wody i ściany ubrudzone sadzą, ale poza tym żadnych widocznych zniszczeń.

Odwrociłam się i spojrzałam na budynki wokół, sklepy, restaurację na rogu.

Halo, Ranger, jesteś gdzieś tutaj?

Nic. Żadnej wizji.

Pobiegłam z powrotem do samochodu, zamknęłam się i wyciągnęłam komórkę. Wybrałam numer Rangera i odczekałam dwa sygnały, zanim się włączyła poczta głosowa. Moje pytanie było krótkie: „Wszystko w porządku?”.

Rozłączyłam się i siedziałam przez kilka minut z zartym tchem i ściśniętym żołądkiem. Nie chciałam, żeby Ranger nie żył. Nie chciałam też, żeby to on był mordercą Homera Ramosa. Bynajmniej nie zależało mi ani trochę na Ramosie, ale ten kto go zabił, zapłaci za to prędzej czy później.

W końcu wrzuciłam bieg i odjechałam. Pół godziny później stałam przed drzwiami mieszkania Lenny’ego Dale’a, który najwyraźniej był w domu, ponieważ słyszałam strzelaninę. Przeszłowałam z nogi na nogę, stojąc w holu na trzecim piętrze i czekając, aż skończy się ten huk. Kiedy ucichło, zapukałam. Usłyszałam odgłosy kolejnej strzelaniny, ale tym razem ktoś podszedł do drzwi.

Zapukałam po raz drugi. Drzwi otworzyły się z hukiem i wychyliła się z nich głowa starszego mężczyzny.

- Tak?

- Lenny Dale?

- Właśnie stoi przed tobą, laluniu.

Składał się głównie z nosa. Reszta twarzy chowała się w cieniu tego haczykowatego orlego dzioba, łysa czaszka była usiana plamami wątrobowymi, a uszy miał za wielkie w porównaniu do zaszuszonej głowy. Za nim stała kobieta o siwych włosach, ziemistej twarzy i nogach jak u słonia, wbitych w spódnie od piżamy z podobizną Kota Garfielda.

- Czego ona chce? - wrzasnęła. - Czego chce?

- Jak się zamkniesz, to się dowiem - ryknął w odpowiedzi. - Skrzeczeć, skrzeczeć, skrzeczeć. To wszystko, co umiesz.

- Ja ci dam skrzeczeć - powiedziała. I palnęła go w świecąca łysinę.

Dale odwrócił się i uderzył ją w bok głowy.

- Hej! - powiedziałam. - Przestań!

- Tobie też przywałę - obiecał Dale, rzucając się na mnie z podniesioną pięścią.

Podniosłam rękę, żeby się obronić; stał przez chwilę nieruchomo jak posąg, jakby zastygł z pięścią podniesioną do góry. Otworzył usta, przewrócił oczami, obalił się, sztywny jak słup, i z hukiem uderzył o podłogę.

Uklękałam przy nim.

- Panie Dale?

Jego żona kopnęła go Garfieldem.

- Hm - mruknęła. - Pewnie miał znowu ten, no, atak serca.

Położyłam rękę na jego szyi i nie poczułam pulsu.

- Niech to diabli - powiedziałam.

- Nie żyje?

- Nie jestem ekspertem...

- Wygląda mi na trupa.

- Niech pani zadzwoni na 999, a ja spróbuję go reanimować. - W zasadzie nie miałam pojęcia o reanimacji, ale widziałam w telewizji, jak się to robi, i chciałam spróbować.

- Kochanie - oświadczyła pani Dale - jeżeli on będzie żył, to będę cię dotąd walić tłuczkiem do mięsa, aż zrobię z twojej głowy kotlet. - Pochyliła się nad mężem. - Zresztą popatrz na niego. Umarł na dobre. Już bardziej się nie da.

Obawiam się, że miała rację. Pan Dale nie wyglądał najlepiej.

Do drzwi podeszła jakaś staruszka.

- Co się stało? Lenny znowu miał ten, no, atak serca? - Odwróciła się i krzyknęła na dół: - Roger, zadzwon na 999. Lenny znów miał atak serca!

W ciągu kilku sekund pokój był pełen sąsiadów, którzy komentowali stan Lenny'ego i zadawali pytania. Jak to się stało? Czy nagle? Czy pani Dale chce kamienny garnek, żeby ocucić pana Dale?

Oczywiście, powiedziała pani Dale, garnek byłby dobry. I zastanawiała się, czy Tootie Greenberg mógłby upiec ciasto z makiem, tak jak dla Mosesa Schultza.

Przyjechała erka, popatrzeli na Lenny'ego i byli jednomyślni. Lenny Dale umarł na amen.

Wymknęłam się po cichu z mieszkania i dałam nura do windy. Nie było jeszcze południa, a już mi się wydawało, że ten dzień jest zbyt długi i obfity w nieboszczyków. Zjechałam na dół i zadzwoniłam do Vinniego.

- Słuchaj - powiedziałam. - Znalazłam Dale'a. Nie żyje.

- Od kiedy?

- Od dwudziestu minut.

- Byli jacyś świadkowie?

- Żona.

- A niech cię - powiedział Vinnie. - To było w samoobronie, tak?

- Nie zabiłam go!

- Jesteś pewna?

- No, miał atak serca i przypuszczam, że w pewnym stopniu mogłam przyczynić się...

- Gdzie on jest?

- W swoim mieszkaniu. Przyjechało tam pogotowie, ale nic już się nie da zrobić. Z całą pewnością nie żyje.

- Psiakość, nie mogłaś spowodować tego ataku serca dopiero po dowiedzeniu go na policję? Będziemy mieli teraz niezły bal. W tym przypadku nikt nie uwierzy w żaden papierek. Już wiem, spróbuj przekonać tych chłopaków z pogotowia, żeby go odwieźli do sądu.

Poczułam, jak usta mi się otwierają.

- Taaak, to się powinno udać - powiedział Vinnie. - po prostu wyciągniesz jednego z tych urzędników, żeby rzucił okiem na Dale'a. Potem niech ci wyda potwierdzenie odbioru zwłok.

- Nie będę ciągać biednego nieboszczyka po urzędach!

- W czym problem? Myślisz, że tak mu spieszo do trumny? Powiedz sobie, że robisz dla niego coś miłego, taka ostatnia przejażdżka.

Brr. Rozłączyłam się. Powinnam była zatrzymać dla siebie całe pudełko pączków. Zdaje się, że to był jeden z tych dni, w których

trzeba zjeść osiem pączków. Popatrzyłam na mrugającą zieloną diodę w mojej komórce. Dalej, Ranger, pomyślałam. Zadzwoń do mnie.

Wysłałam z holu na ulicę. Człowiek z Księżyc, krócej Księżyc, był następny na mojej liście. Mieszkał w Burg, kilka bloków od domu moich rodziców. Dzielił hałaśliwe lokum razem z dwoma innymi kolesiami, którzy byli takimi samymi świrami jak on. Według moich ostatnich wiadomości, pracował nocą w magazynie Shop & Bag. Podejrzewam, że o tej porze dnia siedział w domu, chrupiąc chipsy i oglądając powtórkę *Gwiezdnych wojen*.

Skręciłam w Hamilton, minęłam biuro, skręciłam w lewo koło szpitala Świętego Franciszka w stronę Burg i skierowałam się ku szeregowym domkom przy Grant. Burg to willowa dzielnica Trenton, która rozciąga się między ulicami Chambersburg i Italy. Kruche ciasteczka i chleb oliwkowy to specjalności Burg. „Język migowy” polega na podniesieniu do góry wyprostowanego środkowego palca u ręki. Domy są skromne. Samochody duże. Okna czyste.

Zaparkowałam w połowie szeregowej zabudowy i sprawdziłam w teczce numer. Stały tu obok siebie dwadzieścia trzy domy. Każdy z nich przodem do ulicy. Wszystkie były dwupiętrowe. Księżyc mieszkał pod numerem czterdziestym piątym.

Otworzył szeroko drzwi i popatrzył na mnie. Miał prawie metr osiemdziesiąt wzrostu i jasnokasztanowe włosy do ramion z przedziałkiem na środku. Był szczupły, niezgrabny, ubrany w czarną koszulkę z napisem METALLICA i dżinsy z dziurami na kolanach. W jednej ręce trzymał słoik masła orzechowego, a w drugiej łyżeczkę. Pora lunchu. Gapił się na mnie, wyglądał na zmieszanego, nagle coś mu zaświtało, stuknął się łyżeczką w głowę, zostawiając na włosach kulkę masła orzechowego.

- Cholera, facetka! Zapomniałem o sądzie!
- Trudno nie polubić Księżyc, i pomimo ciężkiego dnia poczułam, jak się uśmiecham.
- Tak, trzeba podpisać kolejny papierek i ustalić nową datę. - I znowu go zabiorę i zawiozę do sądu. Stephanie Plum, kwoka.
- Jak Księżyc ma to zrobić?
- Pojedziesz ze mną na posterunek i pomogę ci wszystko załatwić.

- Facetka, wypchaj się. Jestem w połowie powtórki *Rocky'ego*. Możemy to zrobić kiedy indziej? Już wiem, może zostaniesz na lunch i obejrzymy razem ten film?

Popatrzyłam na łyżeczkę, którą trzymał w ręce. Pewnie w ogóle miał tylko jedną łyżeczką.

- Dziękuję za zaproszenie - powiedziałam - ale obiecałam mamie, że zjem z nią lunch. - To w życiu zwie się małym niewinnym kłamstwem.

- O, to naprawdę miłe. Zjeść lunch z mamą. Fajowo.

- Poszłabym teraz na ten lunch, a mniej więcej za godzinę przyjdę po ciebie. Co ty na to?

- Byłoby świetnie. Księżycowi naprawdę by się podobało, facetka.

Kiedy bliżej się nad tym zastanowiłam, doszłam do wniosku, że pójdzie na lunch do mamy nie byłoby wcale takie głupie. Oprócz zjedzenia darmowego posiłku poznałabym wszystkie plotki na temat pożaru, które krążą po Burg.

Zostawiłam Księżycza z jego powtórką i chwyciłam za klamkę od drzwi mojego samochodu, kiedy zatrzymał się koło mnie czarny lincoln.

Szyba po stronie pasażera zjechała w dół i wyjrzał z niej jakiś mężczyzna.

- Jesteś Stephanie Plum?

- Tak.

- Chcielibyśmy uciąć sobie z tobą małą pogawędkę.

Jasne, już wsiadam do mafijnego auta z dwoma facetami w środku, z których jeden jest Pakistańczykiem i ma kaliber 38 wetknięty w spodnie, częściowo zakryty miękkim wałkiem brzucha, a drugi wygląda jak Hulk Hogan.

- Mama zawsze mi powtarzała, że bym nigdy nie wsiadała do obcych aut.

- Nie jesteśmy tacy znowu obcy - powiedział Hulk. - jesteśmy dwoma przeciętnymi facetami. Prawda, Habib?

- Zgadza się - powiedział Habib, przechylając głowę w moim kierunku i odsłaniając złoty ząb. - Jesteśmy jak najbardziej przeciętni pod każdym względem.

- Czego chcecie? - zapytałam.

Facet, który siedział na miejscu pasażera, westchnął głęboko.

- Nie masz zamiaru wsiąść do samochodu, prawda?

- Owszem.

- W porządku, sprawa jest taka. Szukamy twojego przyjaciela. A może on już nie jest przyjacielem? Może ty też go szukasz?

- Aha.

- Pomyśleliśmy sobie, że moglibyśmy pracować razem. Wiesz, jako zespół.

- Nie sądzę.

- Dobrze, w takim razie będziemy musieli deptać ci po piętach. Pomyśleliśmy, że powinnaś o tym wiedzieć, żebyś nie czuła się zaniepokojona, kiedy zobaczysz, że siedzimy ci na ogonie.

- Kim jesteście?

- Ten za kierownicą to Habib. A ja jestem Mitchell.

- Nie. Mam na myśli to, kim naprawdę jesteście? Dla kogo pracujecie?

Byłam niemal pewna, że już znam odpowiedź, ale pomyślałam, że nie zaszkodzi zapytać.

- Wolelibyśmy nie ujawniać nazwiska naszego chlebodawcy - oświadczył Mitchell. - I tak nie ma to dla ciebie znaczenia. Zapamiętaj sobie tylko to, że nie powinnaś niczego odrzucać, ponieważ będziemy się złościć.

- Tak, a to bardzo niedobrze, kiedy jesteśmy źli - dodał Habib, grożąc palcem. - Nas nie można lekceważyć. Czyż nie tak? - zapytał, szukając potwierdzenia u Mitchella. - Tak naprawdę, jeśli nas zdenerwujesz, to rozrzucimy twoje wnętrze po całym parkingu przy „7-Eleven”, które należy do mojego kuzyna Muhammada.

- Stuknięty jesteś? - powiedział Mitchell. - Nie ma rozrzucania żadnych cholernych wnętrzności. A jeśli nawet, to nie przed „7-Eleven”. Kupuję tam gazetę w niedzielę.

- No - ustąpił Habib - to w takim razie moglibyśmy zrobić coś związanego z seksem. Moglibyśmy dokonać na niej zabawnych aktów perwersji seksualnej... Wiele, wiele razy. Gdyby mieszkała w moim kraju, byłaby zhańbiona na zawsze w całej społeczności. Uznana za wyrzutka. Oczywiście, ponieważ jest cyniczną i rozpustną Amerykanką, w tym kraju na pewno by ją zaakceptowali pomimo tych

perwersji. A już z pewnością ona sama byłaby bezgranicznie zadowolona, że właśnie my to z nią robimy. Poczekaj, moglibyśmy ją okaleczyć, żeby to nie było dla niej przyjemne.

- Hej, nie mam nic przeciwko okaleczeniu, ale uważaj z tym seksem - zwrócił się Mitchell do Habiba. - Mam rodzinę. Jak moja żona coś takiego wywęszy, to jestem ugotowany.

## Rozdział 2

Zamachałam rękami.

- Czego wy, u diabła, ode mnie chcecie?

- Chcemy twojego kumpla Rangera i wiemy, że go szukasz - powiedział Mitchell.

- Nie szukam Rangera. Vinnie dał tę sprawę Joyce Barnhardt.

- Nie znam żadnej Joyce Barnhardt - odparł Mitchell. - Nam ciebie.

I mówię ci, że szukasz Rangera. A jak go znajdziesz, to nam o tym powiesz. A jeśli nie potraktujesz serio tego... obowiązku, naprawdę pożałujesz.

- O-bo-wią-zek - powiedział Habib. - Podoba mi się. Miło brzmi. Miślę, że zapamiętam.

- Myślę - poprawił go Mitchell. - Wymawia się „myślę”.

- Miślę.

- Myślę!

- No przecież mówię. Miślę.

- Ten Arabus dopiero co przyjechał - wyjaśnił Mitchell. - Pracował dla naszego szefa w innym charakterze w Pakistanie, ale zjawił się razem z ostatnią dostawą towaru i nie możemy się go pozbyć. Jeszcze niewiele umie.

- Nie jestem Arabusem! - wrzasnął Habib. - Widzisz jakiś turban na mojej głowie? Teraz jestem w Ameryce i nie noszę tych rzeczy. I to bardzo nieładnie, że tak mówisz.

- Arabus - powtórzył Mitchell.

- Habib zmrużył oczy.

- Świńska amerykańska parowa.

- Wielorybie sadło.

- Syn służącego.

- Odwał się - powiedział Mitchell.

- Niech ci jaja urwie - zrewanżował się Habib. Zdaje się, że nie musiałam obawiać się tych dwóch. Pozabijają się nawzajem, zanim noc zapadnie.

- Muszę już jechać - oświadczyłam. - Jadę do rodziców na lunch.



- Pewnie za dobrze ci się nie powodzi - powiedział Mitchell - skoro musisz wyłudzać lunch od rodziców. Moglibyśmy ci pomóc, no wiesz. Dasz nam to, co chcemy, a okażemy się naprawdę hojni.

- Gdybym nawet chciała znaleźć Rangera - a nie chcę - nie dałabym rady. Ranger jest nieuchwytny jak dym.

- Tak, ale słyszałem, że masz wyjątkowe umiejętności, jeśli wiesz, co mam na myśli. Poza tym jesteś łowczynią nagród... Przyrowadzić go, żywego lub martwego. Zawsze go dorwać.

Otworzyłam drzwi hondy i wsunęłam się za kierownicę.

- Powiedźcie Alexandrowi Ramosowi, że musi poszukać kogoś innego do ścigania Rangera.

- Mitchell wyglądał tak, jakby połknął żabę.

- Nie pracujemy dla tego skurczybyka. Wybacz moją łacinę.

Znieruchomiałam na siedzeniu.

- A więc dla kogo pracujecie?

- Powiedziałem ci już. Nie wolno nam ujawnić tej informacji.

Niech to szlag.

Kiedy przyjechałam, babcia stała w drzwiach. Mieszkała z moimi rodzicami, bo dziadek kupował teraz losy na loterii bezpośrednio od Pana Boga. Miała włosy koloru stalowoszarego, krótko obcięte i skręcone trwałą. Jadła jak koń, a skóra babci przypominała kurczaka z rosółu. Jej łokcie były ostre jak brzytwa. Miała na sobie białe tenisówki, karmazynowy ocieplany kostium z poliestru i przygryzała górną wargę, co znaczyło, że nad czymś rozmyśla.

- Czyż nie jest miło? Właśnie nakrywałyśmy do lunchu - powiedziała. - Twoja matka kupiła trochę sałatki z kurczaka i bułeczek u Giovicchiniego.

Rzuciłam okiem na pokój gościnny. Fotel ojca był pusty.

- Jeździ po mieście na taksówce - wyjaśniła babcia. - dzwonił Whitey Blocher i powiedział, że potrzebują kogoś na zastępstwo.

Mój ojciec jest emerytowanym pracownikiem poczty, ale pracuje dorywczo jako taksówkarz, bardziej dlatego, żeby wyjść z domu, niż żeby mieć na drobne wydatki. A jazda taksówką jest dla niego tym samym, co gra w karty w klubie „Elks”.

Powiesiłam kurtkę na wieszaku w holu i usiadłam przy stole w kuchni. Dom moich rodziców jest wąski i ma okna na trzy strony. Okna

pokoju gościnnego wychodzą na ulicę, okno w jadalni jest od strony podjazdu oddzielającego dom rodziców od sąsiedniego, a okno od kuchni i drugie drzwi wejściowe wychodzą na podwórko, które jest uporządkowane, ale ponure o tej porze roku.

Babcia usiadła naprzeciw mnie.

- Zastanawiam się nad zmianą koloru włosów - poinformowała. - Rosę Kotman ufarbowała sobie włosy na czerwono i wygląda całkiem nieźle. No i ma teraz nowego chłopaka. - Wzięła bułkę i przekroiła ją dużym nożem. - Nie miałabym nic przeciwko chłopakowi.

- Rosę Kotman ma trzydzieści pięć lat - wtrąciła moja matka.

- No, ja mam prawie trzydzieści pięć - powiedziała babcia. - Ale wszyscy mi mówią, że nie wyglądam na swój wiek.

To prawda. Wyglądała mniej więcej na dziewięćdziesiąt. Bardzo ją kochałam, lecz siła przyciągania ziemskiego nie była dla niej zbyt łaskawa.

- Mam oko na pewnego faceta w klubie seniora - oświadczyła babcia. - To prawdziwy przystojniak. Założę się, że gdybym miała czerwone włosy, na pewno zaciągnąłby mnie do łóżka.

Matka otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale pomyślała, że może lepiej nic nie mówić, i sięgnęła po sałatkę z kurczaka.

Nie miałam specjalnie ochoty zastanawiać się nad szczegółami wskakiwania do łóżka babci, więc przeszłam od razu do wiadomej sprawy.

- Słyszałyście o pożarze w centrum? Babcia nałożyła sobie słuszną porcję majonezu na bułkę.

- Masz na myśli ten biurowiec na rogu Adamsa i Trzeciej? Spotkałam dzisiaj w piekarni Esther Moyer. Mówiła, że jej syn Bucky prowadził wóz straży pożarnej. Mówiła, że Bucky powiedział jej, że ten pożar to pestka.

- Coś jeszcze?

- No, że kiedy przeszukali wczoraj budynek, znaleźli ciało na trzecim piętrze.

- Czy Esther wie, kto to był?

- Homer Ramos. Twierdziła, że był upieczony na chrupko. A wcześniej go zastrzelono. Miał dużą dziurę w głowie. Sprawdziłam, czy nie jest wystawiony w domu pogrzebowym u Stivy, ale nic nie

pisali w dzisiejszej gazecie. Czy to nie byłoby coś? Domyślam się, że Stiva nie mógł wiele zdziałać. Chyba wypełnić dziurę po kuli pogrzebowym kitem, tak jak to zrobił w przypadku Moogeya Bluesa, ale miałyby jeszcze do zrobienia tę część spaloną na grzankę. Oczywiście są również dobre strony takiej sytuacji. Domyślam się, że rodzina Ramosa mogłaby zaoszczędzić trochę pieniędzy na pogrzebie, ponieważ Homer już został skremowany. Przypuszczalnie musieli tylko zmieścić go do słoika. Z wyjątkiem, jak sądzę, głowy, która została, no bo wiedzieli, że ma dziurę po kuli. Tak więc głowy pewnie nie mogli zmieścić do słoika. Chyba że zmiażdżyli go łopatą. Założę się, że jak się parę razy grzmotnie, to całkiem nieźle się rozdrobni.

Matka szybko przyłożyła chusteczkę do ust.

- Dobrze się czujesz? - zapytała mamę babcia. - Znów skoczyło ci ciśnienie? - Babcia pochyliła się w moim kierunku i powiedziała szeptem: - Jest zmiana.

- Nie ma żadnej zmiany - zaprotestowała mama.

- Czy wiadomo, kto zastrzelił Ramosa? - zwróciłam się do babci.

- Esther nic na ten temat nie mówiła.

O pierwszej po południu byłam napchana sałatką z kurczaka i puddingiem ryżowym mojej mamy. Wyszłam z domu, podreptałam do hondy i zauważyłam Mitchella i Habiba, którzy stali o kawałek dalej. Kiedy spojrzałam w ich stronę, Mitchell pomachał do mnie po przyjacielsku. Nie odwzajemniłam jego gestu, wsiadłam do samochodu i pojechałam z powrotem do Księżycy.

Zapukałam do drzwi i Księżyc wyrżał, zmieszany podobnie jak przedtem.

- Ach, tak - powiedział w końcu. A potem wybuchnął śmiechem, głupawym i rubasznym.

- Opróżnij kieszenie - powiedziałam do niego.

Wywrócił kieszenie spodni na lewą stronę i wyleciała z nich fajka wodna, która spadła na werandę. Podniosłam ją i wrzuciłam do domu.

- Coś jeszcze? - zapytałam. - LSD? Marihuana?

- Nie, facetka. A ty?

Pokręciłam głową. Jego mózg prawdopodobnie przypomina kępki zdechłych polipów, które można kupić w sklepie zoologicznym i włożyć do akwarium.

Popatrzył z ukosa na hondę.

- To twoje auto?

- Tak.

Zamknął oczy i wyciągnął ręce przed siebie.

- Nie ma energii - powiedział. - Nie czuję żadnej energii. Ten samochód nie jest dla ciebie. - Otworzył oczy i powoli przeszedł przez chodnik, podciągając opadające spodnie. - Spod jakiego jesteś znaku?

- Spod Wagi.

- A widzisz! Wiedziałem! Jesteś powietrzem. A ten samochód jest ziemią. Nie możesz nim jeździć, facetka. Masz twórczą moc, a ten samochód cię ogranicza.

- To prawda - powiedziałam - ale na lepszy mnie nie stać. Wsiadaj.

- Mam przyjaciela, który mógłby ci załatwić odpowiedni wóz. Jest kimś w rodzaju... dilerą samochodów.

- Będę to mieć na uwadze.

Księżyc przyłgnął do przedniego siedzenia i wyjął okulary słoneczne.

- Lepiej, facetka - powiedział z za przyciemnianych szkielek. - Znacznie lepiej.

Sklep dla policjantów w Trenton znajduje się w tym samym budynku co sąd. Jest to toporna budowla z czerwonej cegły, bez żadnych ozdób, która dobrze spełnia swoją rolę - produkt kierunku „rachy ciachu i po strachu” w architekturze miejskiej.

Zatrzymałam się na parkingu i wprowadziłam Księżyc do budynku. Z technicznego punktu widzenia nie mogłam sama go uwolnić, ponieważ jestem agentką do spraw poszukiwania osób zwolnionych za kaucją, a nie urzędnikiem, który je zwalnia. Dlatego zaczęłam załatwiać dokumenty i zadzwoniłam po Vinniego, żeby zszedł na dół i dopełnił reszty formalności.

- Vinnie już idzie - powiedziałam do Księżyc, usadzając go na ławce obok urzędnika prowadzącego rejestr sądowy. - Mam tutaj coś do załatwienia, więc zostawiam cię na chwilę samego.

- Hej, to w dechę, facetka. Nie martw się o mnie. Księżyc sobie poradzi.

- Nie ruszaj się stąd!

- Nie ma problemu.

Poszłam na górę do Brutalnych Przestępstw i znalazłam Briana Simona siedzącego przy swoim biurku. Zaledwie kilka miesięcy temu dostał awans na tajniaka i nadal nie miał bladego pojęcia, jak się ubrać. Był w sportowej kurtce w żółtawo-brązową pepitkę, granatowych spodniach od garnituru, tanich brązowych półbutach, czerwonych skarpetkach i krawacie, wystarczająco szerokim, aby uchodzić za śliniaczek.

- Czy nie obowiązują tu jakieś przepisy dotyczące ubioru? - zapytałam. - Jeżeli będziesz się tak ubierał, to ześlemy cię na banicję do Connecticut.

- Może wstąpiłabyś po mnie jutro rano i pomogła mi wybrać ubrania.

- O rany - powiedziałam. - Jaki przewrażliwiony. Pewnie to nie jest najlepsza pora.

- Dobra jak każda inna - odparł. - Co masz na myśli?

- Carol Zabo.

- Ta kobieta jest stuknięta! Wpadła prosto na mnie, a potem uciekła.

- Była zdenerwowana.

- Chyba nie masz zamiaru częstować mnie tymi żalonymi bajeczkami?

- Tak naprawdę chodziło o majtki.

- Simon wywrócił oczy do góry.

- Ja cię kręcę!

- Widzisz, Carol wychodziła ze sklepu Fredericka i straciła głowę, bo właśnie ukradła kilka par seksownych majtek.

- Czy to może wprawiać w zakłopotanie?

- Łatwo cię speszyć?

- Dlaczego w ogóle o tym mówisz?

- Miałam nadzieję, że wycofasz oskarżenie.

- Nie ma mowy!

Usiadłam w fotelu przy jego biurku.

- Uznałabym to za szczególną przysługę. Carol jest moją znajomą. Dziś rano musiałam wyperswadować jej skok z mostu.

- Z powodu majtek?

- Jesteś jak każdy facet - powiedziałam, mrużąc oczy. - Wiedziałam, że nie zrozumiesz.

- Jestem pan Wrażliwy. Czytałem *Mosty w Madison*. Dwa razy. Spojrzałam na niego pełnymi nadziei oczyma łani.

- Darujesz jej?

- Do jakiego stopnia mam jej darować?

- Nie chce iść do więzienia. Martwi się, że będzie musiała korzystać z toalety przy obcych.

Pochylił się do przodu i uderzył głową w biurko.

- Dlaczego ja?

- Mówisz jak moja matka.

- Dopilnuję, żeby nie poszła do więzienia - obiecał. - pamiętaj, że masz u mnie dług.

- Ale nie będę musiała przychodzić i cię ubierać, prawda? Nie jestem do tego stworzona.

- Żyj w strachu. A niech to.

Zostawiłam Simona i zbiegłam po schodach na dół. Czekał tam Vinnie, ale nie było Księżycy.

- Gdzie on jest? - dopytywał się Vinnie. - Myślałem, że chodziło ci o tylne wyjście.

- Bo chodziło! Powiedziałam mu, żeby zaczekał na tej ławce koło rejestracji.

Oboje popatrzyliśmy na ławkę. Była pusta. Na zmianie był Andy Diller.

- Cześć, Andy - powiedziałam. - Nie wiesz, gdzie się podział mój wagarowicz?

- Przepraszam, ale nie zwróciłem uwagi.

- Przeszukaliśmy pierwsze piętro, Księżyc jednak się nie znalazł.

- Muszę wracać do biura - rzekł Vinnie. - Mam robotę.

Akurat.

Wyszliśmy razem z budynku i zobaczyliśmy Księżycy, który stał na parkingu i obserwował, jak pali się mój samochód. Policjanci z gaśnicami usiłowali coś z tym zrobić, ale sytuacja nie wyglądała zbyt różowo. Pojawił się wóz strażacki na światłach i przejechał przez łańcuch przy bramie wjazdowej.

- Ludzie - powiedział do mnie Księżyc. - To naprawdę skandal z tym twoim autem. To wściekle pomyłone, facetka.

- Co się tu stało?

- Czekałem na ciebie na tej ławce i zobaczyłem Marynarza. Znasz Marynarza? Nieważne, Marynarz właśnie wyszedł z pudła, a jego brat przyjechał go odebrać. No i Marynarz zaproponował, żebym wyszedł na chwilę przywitać się z jego bratem. No to wyszedłem z Marynarzem, a wiesz, on zawsze ma dobrą marychę, a ponieważ jedna rzecz pociąga za sobą drugą, to pomyślałem, że odpocznę sobie przez chwilę w twoim aucie i puszcę dymka. Chyba fajka mi się wymknęła, bo zaraz zapaliło się siedzenie. A potem jakoś tak wszystko się od tego zajęło. To było wspaniałe, dopóki ci dżentelmeni nie ugasilili pożaru.

Wspaniałe. Ciekawe, czy Księżyc uważałby za wspaniałe, jeśli udusiłabym go na śmierć.

- Chętnie bym tu został i zapalił sobie trawkę - powiedział Vinnie - ale muszę wracać do biura.

- A ja bym sobie obejrzał *Place Hollywood* - rzekł Księżyc. - Musimy dobić targu, facetka.

Dochodziła czwarta, kiedy udało mi się załatwić wszystkie formalności, związane z odholowaniem samochodu. Zdołałam uratować zaledwie jedną felgę, i to by było na tyle. Stałam na parkingu, grzebiąc w torebce w poszukiwaniu mojej komórki, kiedy podjechał czarny lincoln.

- A to pech z tym autem - powiedział Mitchell.

- Powoli się przyzwyczajam. Często mi się to zdarza.

- Obserwowaliśmy cię z daleka i pomyśleliśmy, że chciałabyś czymś się zabrać.

- W samej rzeczy, właśnie dzwoniłam do przyjaciela, który po mnie przyjedzie.

- Kłamiesz, aż się kurzy - rzekł Mitchell. - Stoisz tutaj od godziny i do nikogo nie dzwoniłaś. Założę się, że mamie nie spodobałoby się, że tak kłamiesz.

- Wolałaby, żebym skłamała, niż wsiadła do waszego auta - powiedziałam. - Wtedy dostałaby ataku serca.

Mitchell pokiwał głową.

- Nie pomyślałem o tym. - Przyciemniana szyba zasunęła się i lincoln wytoczył się z parkingu.

Znalazłam telefon i zadzwoniłam do Luli do biura.

- Ludzie, jakbym dostawała pięć centów za każdy samochód, który skasowałaś, mogłabym pójść na emeryturę - oświadczyła Lula, kiedy po mnie przyjechała.

- To nie była moja wina.

- Psiakrew, to nigdy nie jest twoja wina. To wszystko przez te sztuczki z reinkarnacją. Jeśli chodzi o auta, to jesteś na dziesiątej pozycji w rankingu szrotów.

- Pewnie nie masz żadnych wiadomości o Rangerze?

- Tylko taką, że Vinnie dał tę sprawę Joyce.

- Była szczęśliwa?

- Miała orgazm, natychmiast, w biurze. Connie i ja musiałyśmy przeprosić, żeby pójść zwymiotować.

Joyce Barnhardt to pasożyt. Kiedy chodziłyśmy razem do przedszkola, pluła mi do mleka. W szkole średniej zaczęła plotkować i po kryjomu robiła zdjęcia w szatni dla dziewcząt. Zanim tusz zdążył wyschnąć na moim świadectwie ślubu, przyłapałam ją w stroju Ewy z moim mężem (obecnie byłym mężem) na nowym stole w jadalni.

Trąd to byłoby za mało dla Joyce Barnhardt.

- Potem z samochodem Joyce stało się coś śmiesznego - powiedziała Lula. - Podczas gdy ona rozmawiała z Vinniem w biurze, ktoś wkręcił jej korkociąg w oponę.

- Zmarszczyłam brwi.

- To była sprawka niebios - poinformowała Lula, włączając silnik swojego firebirda i przycisk radia, które mogły przyprawić człowieka o drgawki.

Pojechała North Clinton do Lincoln, a potem przez Chambers. Kiedy wysadziła mnie na parkingu koło domu, nie było śladu po Habibie i Mitchellu.

- Rozglądasz się za kimś? - chciała się dowiedzieć.

- Dzisiaj śledziło mnie dwóch kolesi w czarnym lincolnie, w nadziei, że znajdę dla nich Rangera. Nie widzę ich tutaj.

- Dużo ludzi szuka Rangera.

- Myślisz, że zabił Homera Ramosa?



- Mogę sobie wyobrazić, jak zabija Ramosa, ale nie jak podpala budynek. I nie jako głupca.

- Który daje się przyłapać ukrytej kamerze.

- Ranger musiał wiedzieć, że tam są ukryte kamery. Ten budynek należy do Ramosa. A on nie przechadza się tam i z powrotem, nie trzymając ręki na pulsie. Miał biuro w tym budynku. Wiem, bo raz tam dzwoniłam, kiedy pracowałam w moim poprzednim zawodzie.

Poprzedni zawód Luli to prostytutka, więc nie pytałam o szczegóły tej rozmowy.

Pożegnałam się z Lula i weszłam przez podwójne szklane drzwi do małego holu w moim domu. Mieszkam na drugim piętrze i mam do wyboru schody albo windę. Tym razem wygrała winda, ponieważ byłam wykończona przyglądaniem się, jak płonie moje auto.

Weszłam do mieszkania, powiesiłam torbę i kurtkę i zajrzałam do mojego chomika, Reksa. Biegał po kole w swojej szklanej klatce, a różowe plamki jego małych łapek były widoczne na czerwonym plastiku.

- Cześć, Rex - powiedziałam. - Jak leci?

Zastygł na chwilę, nerwowo ruszały mu się wąsy, ślepie błyszcząły, czekał na jedzenie, które spada z nieba. Dałam mu rodzynek z puszki w lodówce i powiedziałam o samochodzie. Schował rodzynek w policzku i wrócił do biegania. Gdybym była na jego miejscu, zjadłabym smakołyk od razu i domagała się dokładki. Nie rozumiem, jak on znajduje przyjemność w tej całej bieganiu. Mnie można by zmusić do biegania tylko wtedy, gdyby gonił mnie seryjny morderca.

Sprawdziłam sekretarkę. Jedna wiadomość. Bez słów. Tylko oddech. Miałam nadzieję, że to oddech Rangera. Przesłuchałam nagranie jeszcze raz. Oddech był normalny. Żadnego perwersyjnego sapania. Ani ciszy pełnej napięcia. Mógł to być oddech akwizytora.

Kurczaki miały być dopiero za kilka godzin, więc przeszłam na drugą stronę korytarza i zapukałam do drzwi sąsiadów.

- Co? - krzyknął pan Wolensky ponad hukiem telewizora.

- Czy byłby pan tak uprzejmy i pożyczył mi gazetę? Przytrafił mi się nieszczęśliwy wypadek z moim autem i pomyślałam, że przejrzę ogłoszenia o używanych samochodach.

- Znowu?

- To nie była moja wina.
- Dał mi gazetę.
- Jeśli była, to na pani miejscu szukałbym oferty z wojska.

Powinna pani jeździć czołgiem.

Zabrałam gazetę, wróciłam do mieszkania i przeczytałam ogłoszenia o sprzedaży samochodów i kolumnę rozrywkową. Zastanawiałam się właśnie nad moim horoskopem, kiedy zadzwonił telefon.

- Czy jest u ciebie babcia? - zapytała mama.
- Nie.
- Posprzeczała się z twoim ojcem i demonstracyjnie poszła do swojego pokoju. Potem widziałam tylko, jak wsiadała do taksówki!
- Pewnie pojechała zobaczyć się z jedną ze swoich przyjaciółek.
- Dzwoniłam do Betty Szajak i Emmy Getz, ale nie widziały jej.

Usłyszałam dzwonek do drzwi i serce mi zamarło. Spojrzałam przez wizjer. To była babcia Mazurowa.

- Ona tu jest - szepnęłam do słuchawki.
- Bogu dzięki - powiedziała mama.
- Żadne dzięki. Ma ze sobą walizkę!
- Może chce odpocząć od twojego ojca.
- Tu nie będzie mieszkać!
- Oczywiście, że nie... Ale mogłaby u ciebie zostać na dzień lub dwa, dopóki sprawa nie przycichnie.

Nie! Nie, nie i jeszcze raz nie. Dzwonek znowu zadzwonił.

- Dzwoni do drzwi - powiedziałam do mamy. - Co mam zrobić?
- Na miłość boską, wpuść ją.
- Jeśli ją wpuszczę, to już po mnie. To tak, jakbyś zaprosiła do

domu wampira. Wystarczy raz wpuścić go do środka, i już jesteś ugotowana!

- To nie jest wampir. To twoja babcia. Babcia zaczęła walić w drzwi.

- Jest tam kto? - zawołała.

Odłożyłam słuchawkę i otworzyłam drzwi.

- Niespodzianka - oznajmiła babcia. - Będę u ciebie mieszkać, zanim uda mi się coś znaleźć.

- Ale przecież mieszkasz u mamy.

- Już nie. Twój ojciec to koński zad. - Wciągnęła swoją walizkę do przedpokoju i powiesiła płaszcz na wieszaku. - Chcę mieć swój dom. Mam dość oglądania jego ulubionych programów telewizyjnych. Dlatego zostanę tutaj, dopóki czegoś nie znajdę. Wiem, że nie masz nic przeciwko temu, żebym tu trochę pomieszkała.

- Jest tylko jedna sypialnia.

- Mogę spać na kanapie. Nie jestem kapryśna, jeśli chodzi o spanie. Mogłabym spać na stojąco w szafie, gdyby nie było innego wyjścia.

- Ale co z mamą? Będzie się czuła samotna. Przyzwyczaiła się, że ma cię koło siebie.

To znaczyło: a co ze mną? Nie jestem przyzwyczajona do tego, że ktoś się tu kręci.

- Pewnie tak - zgodziła się babcia - ale ona musi mieć własne życie. Nie mogę wiecznie rozweselać tego domu. To mnie zbyt wiele kosztuje. Nie zrozum tego źle, kochani twoją mamę, ale ona potrafi odebrać człowiekowi chęć do życia. A ja nie mam czasu do stracenia. Prawdopodobnie zostało mi tylko trzydzieści lat na szaleństwo.

Za trzydzieści lat babcia będzie miała dobrze po setce - a ja koło sześćdziesiątki, jeśli nie zginę w akcji.

Ktoś lekko zapukał do drzwi. Morelli przyszedł wcześniej. Otworzyłam drzwi. Wszedł do połowy przedpokoju, zanim spostrzegł babcię.

- Babcia Mazurowa - powiedział.

- W rzeczy samej - odparła. - Teraz tu mieszkam. Właśnie się wprowadziłam.

Kąciki ust lekko mu zadrgały. Cholernik.

- To była niespodzianka? - zapytał.

- Wzięłam od niego tackę z kurczakiem.

- Babcia zrobiła to przez mojego ojca.

- Czy to kurczak? - zapytała babcia. - Pachnie na całe mieszkanie.

- Wystarczy dla wszystkich - zapewnił ją Morelli. - Zawsze kupuję więcej.

Babcia przepchnęła się pomiędzy nami do kuchni.

- Umieram z głodu. Mam apetyt po tej całej przeprowadzce. - Zajrzała do torby. - Są też herbatniki? I surówka z białej kapusty? -

Porwała kilka talerzy z szafki i cisnęła je na stół w jadalni. - Chłopie, będzie fajnie. Liczę, że macie piwo. Mam ochotę napić się piwa.

Morelli dalej szczyrzył zęby.

Od jakiegoś czasu trwa między nami przerywany romans, co jest miłym określeniem na to, że czasem ze sobą sypiamy. A Morelli pewnie wcale nie uważał, że będzie fajnie, jeśli z tego spania nic dzisiaj nie będzie.

- Zdaje się, że nici z naszych planów na dzisiejszy wieczór - powiedziałam do niego szeptem.

- Musimy po prostu zmienić lokal - orzekł. - Po kolacji możemy pojechać do mnie.

- Zapomnij o tym. Co powiem babci? Wybacz, ale nie będę dzisiaj spała w domu, bo muszę skoczyć na jeden numerek z Joem?

- A co w tym złego?

- Nie mogę tego zrobić. Czułabym się niezręcznie.

- Niezręcznie?

- Ścisłałoby mnie w żołądku.

- To głupie. Babcia Mazurowa nie miała nic przeciwko temu.

- Tak, ale wiedziałyby o tym.

Morelli wyglądał na zasmuconego.

- To jeden z tych babskich problemów, prawda? Babcia wróciła do kuchni po szklanki.

- Gdzie masz serwetki? - zapytała.

- Nie mam żadnych serwetek - powiedziałam. Przez chwilę gapiła się na mnie baranim wzrokiem, nie mogąc zrozumieć, jak może istnieć dom bez serwetek.

- Serwetki są w torbie z herbatnikami - poinformował ją Morelli.

Babcia zajrzała do torby i uśmiechnęła się z zadowoleniem.

- Czyż on nie jest wyjątkowy? - rzekła. - Pomyślał nawet o serwetkach.

Morelli obrócił się na pięcie i rzucił mi spojrzenie, które miało oznaczać, że jestem szczęściarą,

- Zawsze gotowy - powiedział. Wzniosłam oczy do góry.

- To jest gliniarz dla ciebie - oświadczyła babcia. - zawsze gotowy.

Siadłam naprzeciw niej i chwyciłam kawałek kurczaka.

- Zawsze gotowi to są harcerze - powiedziałam. - Gliniarze zawsze są głodni.

- Teraz, kiedy będę na swoim, muszę pomyśleć o znalezieniu jakiejś pracy - zauważyła babcia. - A może dostałabym pracę jako glina? Co o tym sądzicie? Myślisz, że byłabym dobrym gliniarzem? - zapytała Morellego.

- Myślę, że byłaby pani wspaniała, ale w tym zawodzie obowiązują ograniczenia wiekowe. Babcia zacisnęła usta.

- Tego już za wiele. Jak ja nienawidzę tych cholernych ograniczeń wiekowych! Dobrze, w takim razie pozostaje mi zawód łowczyni nagród.

Popatrzyłam na Morellego, szukając pomocy, ale wpatrywał się w talerz.

- Musisz umieć prowadzić samochód, żeby zostać łowczynią nagród - zwróciłam się do babci. - Nie masz prawa jazdy.

- I tak planowałam, że je zrobię - powiedziała. - Po pierwsze, zapisuję się jutro na naukę jazdy. Samochód już mam. Twój wujek Sandor zostawił mi swego buicka, a ponieważ ty już nim nie jeździsz, więc dam mu szansę. To całkiem niezły samochód.

Detektyw na wózku.

Kiedy tacka z kurczakiem była pusta, babcia zmiotła wszystko ze stołu.

- Zróbmy porządek. A potem możemy obejrzeć film. Po drodze wstąpiłam do sklepu z kasetami wideo.

Zasnęła w połowie *Terminatora*, wyprostowana, jakby połknęła kij, z głową zwieszoną na piersi.

- Chyba powinienem już pójść - powiedział Morelli. - I zostawić obie dziewczyny, żeby wyjaśniły sobie nieporozumienia.

Odprowadziłam go do drzwi.

- Czy są jakieś wiadomości o Rangerze?

- Nie. Nawet ani jednej plotki.

Czasami brak wiadomości jest dobrą wiadomością. Przynajmniej wyszedł cało z opresji.

Morelli przyciągnął mnie do siebie i pocałował. Poczułam znajome mrowienie w wiadomym miejscu.

- Znasz mój numer - rzekł na pożegnanie. - I nic mnie to nie obchodzi, co ktoś sobie pomyśli.

Obudziłam się na kanapie ze sztywnym karkiem i w kiepskim humorze. Ktoś tłukł się po mojej kuchni. Nie trzeba być Einsteinem, żeby się domyślić kto.

- Czyż to nie wspaniały poranek? - spytała babcia. - zaczęłam robić naleśniki. I nastawiłam kawę.

W porządku, może to nawet nie takie złe, że babcia tu mieszka.

Mieszkała ciasto na naleśniki.

- Pomyślałam, że mogłybyśmy dzisiaj wcześniej wstać, a potem może podwoziłabyś mnie na lekcję jazdy. Dzięki Bogu, mój samochód spalił się na popiół.

- Nie mam teraz samochodu - przypomniałam. - Wypadek.

- Znowu? Co tym razem. Podpalony? Zgnieciony? Bomba?

Nalałam sobie filiżankę kawy.

- Podpalony. Ale nie z mojej winy.

- Żyjesz na pełnych obrotach - zaopiniowała babcia. - ani chwili nudy. Szybkie samochody, szybcy mężczyźni, szybkie jedzenie. Chciałabym prowadzić takie życie.

Miała rację co do szybkiego jedzenia.

- Nie dostałaś dzisiaj gazety - powiedziała. - Zeszłam do holu, wszyscy sąsiedzi dostali, a ty nie.

- Nie zamawiam prasy - wytłumaczyłam jej. - Jak chcę przeczytać gazetę, to ją sobie kupuję. - Albo pożyczam.

- Śniadanie nie może być udane bez porannej gazety - świadczyła babcia. - Przecież ja muszę przeczytać kawały i nekrologi, a dzisiaj rano chciałam przejrzeć ogłoszenia o mieszkaniach do wynajęcia.

- Przyniosę ci gazetę - obiecałam, nie chcąc odwlekać sprawy poszukiwania mieszkania. - Miałam na sobie flanelową zieloną koszulę nocną w kratkę, która bardzo pasowała do moich zaczerwienionych niebieskich oczu. Narzuciłam na nią krótką dzinsową kurtkę firmy Levi's, wskoczyłam w szare przepocone spodnie, wcisnęłam stopy w buty, których nie zasznurowałam, włożyłam czapkę z daszkiem na moje brązowe kręcone włosy do ramion, które przypominały teraz ptasie gniazdo, i porwałam kluczyki od samochodu. - Będę za chwilę! - krzyknęłam już z holu. - Tylko skoczę do „7-Eleven”.

Przycisnęłam guzik windy. Kiedy drzwi się otworzyły, pociemniało mi w oczach. Ranger stał oparty o ścianę dźwigu z założonymi rękami, przyglądając mi się uważnie ciemnymi oczyma i lekko się uśmiechając.

- Wsiadaj - powiedział.

Porzucił swój dyżurny zestaw czarnych ubrań w stylu rap i koszul firmy GI Joe. Był w brązowej skórzanej kurtce, kremowej koszuli od Henleya, spranych dżinsach i znoszonych butach. Włosy, które zawsze nosił spięte w kucyk, były teraz ścięte na krótko. Ranger miał dwudniowy zarost, który sprawiał, że jego zęby wydawały się bielsze, a latynoska karnacja jeszcze ciemniejsza. Wilk w ciuchach Gapa.

- Niech cię kule biją - powitałam, czując niepokój w dole brzucha, w miejscu, do którego wstydziłabym się przyznać. - Zmieniłeś się.

- Jestem tylko twoim przeciętnym koleśkiem.

Jasne.

Wychylił się, chwycił mnie za kurtkę i wciągnął do windy. Nacisnął przycisk zamykania drzwi, a potem guzik stopu.

- Musimy pogadać.

## Rozdział 3

Ranger służył kiedyś w oddziałach specjalnych i było to nadal widoczne w jego ruchach i sylwetce. Stał tak blisko, że musiałam odchylić głowę do tyłu i patrzeć mu prosto w oczy.

- Wstałaś przed chwilą? - zapytał.
- Spojrzałam w dół.
- Chodzi ci o koszulę nocną?
- O koszulę, włosy...
- Oślupiałem.
- To ty wprawiliś mnie w osłupienie.

- Tak - przyznał Ranger. - Często to robię. Wprawiam kobiety w osłupienie.

- Co się stało?
- Spotkałem się z Homerem Ramosem i kiedy wyszedłem, ktoś go zabił.

- A pożar?
- To nie ja.
- Wiesz, kto zabił Ramosa?

Ranger gapił się na mnie przez chwilę.

- Mam pewne podejrzenia.
- Policja myśli, że ty to zrobiłeś. Mają cię na kasecie wideo.

- Policja ma nadzieję, że ja to zrobiłem. Trudno uwierzyć, że gliniarze naprawdę mogliby myśleć, że to ja. Nie jestem uważany za głupca.

- Nie, ale za... za kogoś, kto zabija.

Ranger uśmiechnął się do mnie z góry.

- Plotki. - Popatrzył na kluczyki, które trzymałam w ręce. -

Jedziesz gdzieś?

- Babcia wprowadziła się do mnie na kilka dni. Chciała przejrzeć gazetę, więc zamierzałam pojechać do „7-Eleven”.

Miał ogniki w oczach.

- Przecież ty nie masz samochodu, dziecinko. A niech to!
- Zapomniałam. - Zmarszczyłam brwi. - Skąd wiesz?
- Nie ma go na parkingu.



- Uff.
- Co się z nim stało? - zapytał.
- Poszedł do nieba dla samochodów.

Nacisnął przycisk trzeciego piętra. Kiedy drzwi się otworzyły, nacisnął przycisk zatrzymywania, postawił jedną nogę w holu i porwał gazetę spod drzwi numer 3C.

- To gazeta pana Kline'a - powiedziałam.
- Ranger podał mi gazetę i nacisnął guzik drugiego piętra.
- Jesteś mi winna przysługę.
- Dlaczego nie przyszedłeś do sądu?
- Zła pora. Muszę kogoś znaleźć, a nie znajdę go, jak mnie

aresztują.

- Albo zabiją.
- Tak - potwierdził Ranger. - To też. Pomyślałem, że moje

pojawienie się w miejscu publicznym w określonym czasie nie byłoby chwilowo dla mnie najlepsze.

- Wczoraj deptało mi po piętach dwóch kolesi wyglądających na gangsterów. Mitchell i Habib. Chcą mnie śledzić dopóty, dopóki ich do ciebie nie doprowadzę.

- Pracują dla Artura Stolle'a?
- Arturo Stolle, ten król dywanów? A cóż on ma z tym wspólnego?
- Nie chciałyś wiedzieć.
- To znaczy, że gdybyś mi powiedział, musiałbyś mnie zabić?
- Nie. Gdybym ci o tym powiedział, mógłby to zrobić ktoś inny.
- Czyżby zawiedziona miłość między Mitchellem i Alexandrem

Ramosem?

- Nie. - Ranger podał mi kartkę z jakimś adresem. - Chciałbym, żebyś przeprowadziła dla mnie małe śledztwo. Hannibal Ramos. Pierworodny syn i drugi w hierarchii królestwa Ramosa. Jako miejsce stałego zamieszkania podaje Kalifornię, ale spędza coraz więcej czasu tutaj, w Jersey.

- Teraz też tu jest?
- Jest tu od trzech tygodni. Ma dom koło trasy numer dwadzieścia

dziewięć.

- Ale chyba nie sądzisz, że to on zabił swojego brata, prawda?

- Nie jest na pierwszym miejscu mojej listy - powiedział Ranger. - Szepnę jednemu z moich ludzi, żeby ci podrzucili jakiś samochód.

Ranger zatrudnia na luźnych zasadach całą armię ludzi do pomocy w swoich licznych przedsięwzięciach. Większość z nich to byli żołnierze, którzy są jeszcze bardziej zwariowani niż on sam.

- Nie! Nie potrzeba. Mam pecha do samochodów. Ich kasacja często kończy się interwencją policji, a samochody Rangera mają niejasne źródła pochodzenia.

Ranger cofnął się do windy.

- Nie zbliżaj się za bardzo do Ramosa - doradził. - To nie jest sympatyczny facet. - Drzwi zamknęły się. I Ranger zniknął.

Wyszłam z łazienki ubrana w swój dyżurny zestaw - dżinsy, sportowe buty i podkoszulek - odświeżona prysznicem i gotowa zacząć nowy dzień. Babcia przy stole w jadalni czytała gazetę, a naprzeciw niej siedział Księżyc i wcinał naleśniki.

- Cześć, facetka - powiedział. - Twoja babcia usmażyła mi parę naleśników. Szczęściara z ciebie, że mieszka u ciebie babcia. To absolutny hit, facetka.

- Babcia uśmiechnęła się.

- Czyż on nie jest wspaniały? - rozczuliła się.

- Czuję się fatalnie po wczorajszym - wyjaśnił Księżyc - więc przywiozłem ci samochód. Jest tak jakby pożyczony. Pamiętasz, opowiadałem ci o moim kumplu, który jest dilerem. Skrzyczał mnie, kiedy usłyszał ode mnie o tym spalonym aucie, powiedział, że byłoby w porządku, gdybyś jeździła jednym z jego samochodów, dopóki nie będziesz miała nowego.

- To nie jest kradziony samochód, prawda?

- Hej, facetka, na kogo ja wyglądam?

- Wyglądasz na kolesia, który ukradłby auto.

- No dobra, ale nie zawsze. Ten akurat to naprawdę pożyczka.

Naprawdę potrzebowałam samochodu.

- Wzięłabym go tylko na kilka dni - oświadczyłam. - Dopóki nie dostanę pieniędzy z ubezpieczenia.

Księżyc odsunął się od stołu, na którym stał pusty talerz, i wręczył mi pęk kluczy.

- Będzie cię rajcował. To kosmiczna maszyna, facetka. Sam go wybierałem, tak żeby pasował do twojego wnętrza.

- Co to za auto?

- Rollswagen. Srebrna latająca maszyna.

- No, no.

- Dobra, dzięki. Podrzucić cię do domu?

- Wyszedł do przedpokoju.

- Muszę lecieć. Na mnie już czas.

- Mam zaplanowany cały dzień - powiedziała babcia. - Dziś rano lekcja jazdy. Potem, po południu, Melvina zabiera mnie, żeby pooglądać mieszkania.

- Stać cię na własne mieszkanie?

- Odłożyłam trochę pieniędzy ze sprzedaży domu. Oszczędzałam je na starość, żeby zapłacić za dom opieki, ale może zamiast tego zrobię użytek z rewolweru.

Skrzywiłam się.

- Oczywiście, że nie mam zamiaru wachać kwiatków od spodu już jutro - uspokoiła mnie. - Zostało mi jeszcze wiele lat. A tak w ogóle to wszystko już sobie skalkulowałam. Pomyśl, jeśli włożysz pistolet do ust, to odstrzelisz sobie tył głowy. W ten sposób Stiva nie będzie musiał się napracować, żebyś wyglądała dobrze, kiedy włoży cię do trumny, ponieważ i tak nikt nie zobaczy twojej potylicy. Trzeba być ostrożnym, żeby nie poruszyć pistoletem, bo można schrzanić całą robotę i odstrzelić ucho. - Odłożyła gazetę. - W drodze do domu wstąpię do sklepu i kupię kotlety wieprzowe na kolację. A teraz muszę się przygotować do lekcji jazdy.

A ja musiałam iść do pracy. Problem polegał na tym, że wcale nie pragnęłam zabrać się do żadnej ze spraw, które na mnie czekały. Nie miałam najmniejszej ochoty tropić Hannibala Ramosa. I zdecydowanie nie chciałam spotkać się z Morrisem Munsonem. Mogłabym położyć się z powrotem do łóżka, ale w ten sposób nie da się zarobić na ciele. A poza tym teraz nie miałam łóżka. Łóżko miała babcia.

Zresztą co mi właściwie zależy, mogę rzucić okiem na akta Munsona. Wyjęłam papiery i przejrzałam je. Poza biciem, gwałtem i próbą podpalenia sprawa Munsona nie wyglądała najgorzej. Niekarany. Bez swastyk wytatuowanych na ciele. Podał, że mieszka przy ulicy

Rockwell. Wiedziałam, gdzie to jest. Koło fabryki guzików. Nie najelegantsza część miasta. Ale i nie najgorsza. Głównie jednorodzinne bungalowy i domki szeregowe. Większość mieszkańców to robole lub bezrobotni.

Rex spał w swojej puszcze po zupie, a babcia była w łazience, więc nie krępowalam się i wyszłam. Kiedy zeszałam na parking, zaczęłam szukać srebrnej latającej maszyny. I dość szybko ją znalazłam. To był rollswagen. Blacha pochodziła z zabytkowego volkswagena garbusa, a przód z przedwojennego rolls-royce'a. Samochód był w kolorze opalizującego srebra z błękitnymi falami na całej długości, a fale były usiane gwiazdkami.

Zamknęłam oczy, mając nadzieję, że kiedy je otworzę, samochód zniknie. Policzyłam do trzech i otworzyłam oczy. Ale on stał nadal. Pobiegłam z powrotem do mieszkania, chwyciłam kapelusz i ciemne okulary i wróciłam do samochodu. Siadłam za kierownicą, skuliłam się na siedzeniu i wytoczyłam z parkingu. Ten samochód nie harmonizuje z moim wnętrzem, powiedziałam sobie. Moje wnętrze nie przypominało zupełnie volkswagena garbusa.

Dwadzieścia minut później byłam na Rockwell i patrzyłam na numery, szukając domu Munsona. Kiedy go znalazłam, doszłam do wniosku, że wygląda całkiem zwyczajnie. Jeden blok za fabryką. Wygodnie, jeśli chodzi się do pracy na piechotę. Gorzej, jeśli ktoś lubi malownicze krajobrazy. Był to dwupiętrowy dom, stojący w szeregowej zabudowie, bardzo podobny do domu Księżycyca. Z fasadą wyłożoną brązowymi kamyczkami.

Zaparkowałam przy krawężniku i pokonałam krótką drogę do drzwi. Istniało małe prawdopodobieństwo, że zastanę Munsona w domu; mieliśmy srode rano, a on prawdopodobnie był już w Argentynie. Zadzwoiłam do drzwi i stanęłam jak wryta, kiedy te się otworzyły i wyrzała z nich głowa Munsona.

- Morris Munson?
- Słucham?
- Myślałam, że będzie pan... w pracy.
- Wziąłem parę tygodni wolnego. Mam trochę kłopotów. A tak w ogóle, to kim pani jest?

- Reprezentuję firmę Vincent Plum - Kaucje i Poręczenia. Nie przyszedł pan na spotkanie w sądzie i chcielibyśmy wyznaczyć panu nowy termin.

- Jasne. Róbcie swoje i zmieńcie datę.

- Muszę zabrać pana do centrum, żeby to załatwić.

- Popatrzyl za mnie, na latającą maszynę.

- Chyba nie sądzisz, że pojedę tym czymś?

- Tak właśnie sądzę.

- Czułbym się jak idiota. Co ludzie sobie pomyślą?

- Hej, koleś, jeśli ja mogę tym jeździć, to ty też.

- Wy, kobiety, wszystkie jesteście takie same - powiedział. - Pstrykniecie palcami i oczekujecie, że mężczyzna będzie tańczył, jak mu zagracie.

Trzymałam rękę w torebce, grzebiąc w poszukiwaniu spreju z pieprzem.

- Poczekaj tu - rzekł Munson. - Wezmę swój samochód. Stoi za domem. Nie mam nic przeciwko wyznaczeniu nowej daty, ale nie wsiądę do tego kretyńskiego wozu. Objadę dom i pojedę za tobą do miasta. - Trzask. Zamknął drzwi na zamek.

Niech to diabli. Wsiadłam do samochodu i przekręciłam kluczyk w stacyjce, czekając na próżno na Munsona i zastanawiając się, czy kiedykolwiek go jeszcze zobaczę. Popatrzyłam na zegarek. Dam mu pięć minut. A potem co? Wziąć dom szturmem? Wywalić drzwi i otworzyć ogień? Zajrzałam do torebki. Nie ma broni. Zapomniałam zabrać broń. Cholera, prawdopodobnie znaczy to, że muszę jechać do domu i zostawić Munsona na następny raz.

Spojrzałam prosto przed siebie i zobaczyłam samochód, który wyjechał zza rogu. W wozie był Munson. Cóż za miła niespodzianka, pomyślałam. Widzisz, Stephanie, nie bądź taka prędką w wydawaniu sądów. Ludzie czasami okazują się całkiem w porządku. Włączyłam silnik latającej maszyny i obserwowałam, jak Munson się zbliża. Zaraz, zaraz, on przyspieszył zamiast zwolnić! Widziałam wyraz jego twarzy, napięty i skoncentrowany. Ten maniak miał zamiar mnie staranować! Wrzuciłam wsteczny bieg i wgniotłam pedał gazu. Rolls odskoczył do tyłu. Nie dość szybko, żeby uniknąć zderzenia, ale wystarczająco szybko, żeby nie dać zrobić z siebie całkowitej miazgi. Wyrznęłam

głową pod wpływem uderzenia. Żaden problem dla kobiety, która urodziła się i wychowała w Burg. Tam się dorasta, zderzając się samochodami na brzegu Jersey. Wiemy, jak przyjąć cios.

Problem polegał na tym, że Munson walnął we mnie czymś, co wyglądało mi na stary wóz policyjny, crown victorię. Większy niż rollswagen. Wjechał w moje auto drugi raz, odbijając mnie na odległość jakichś pięciu metrów, po czym latająca maszyna zgasła. Kiedy gramolił się ze swojego samochodu, ja próbowałam zapalić silnik, tymczasem Munson biegł w moim kierunku z felgą.

- Chcesz zobaczyć, jak tańczy? - krzyczał. - Już ja ci zatańczę!

Scenariusz się powtarzał. Staranować samochodem, pobić felgą. Nie chciałam przypominać sobie, co było następne w kolejności. Silnik rollsa zaskoczył i wyrzuciło mnie gwałtownie do przodu, a Munson został prawie w tyle.

Wymachując felgą, chwycił drugą ręką za mój zderzak.

- Nienawidzę cię! - wrzeszczał. - Wy, kobiety, wszystkie jesteście takie same!

W połowie ulicy prędkość, z jaką jechałam, wzrosła od zera do osiemdziesięciu kilometrów na godzinę, a w zakręt weszłam z piskiem opon. Nie obejrzałam się za siebie przez następne kilkaset metrów, a kiedy wreszcie to zrobiłam, nikogo już za mną nie było. Zmusiłam się, żeby zdjąć nogę z gazu i wziąć parę głębszych oddechów. Serce mi waliło, a ręce miałam kurczowo zaciśnięte na kierownicy. Zobaczyłam bar McDonalda i samochód bezwiednie skręcił na odpowiedni pas. Zamówiłam waniliowy koktajl mleczny i zapytałam dzieciaka w okienku, czy mają wolne miejsca pracy.

- Jasne - powiedział. - Zawsze mamy wolne miejsca. Chcesz kwestionariusz?

- Macie tu dużo napadów?

- Niedużo - zapewnił, podając mi kwestionariusz i plastikową rurkę. - Jest trochę świrów, ale można ich przekupić resztkami jedzenia.

Zatrzymałam się w rogu parkingu i czytałam kwestionariusz, popijając koktajl. Pomyślałam, że taka praca nie byłaby najgorsza. Pewnie dostaje się frytki za darmo. Wysiadłam z auta i zaczęłam je oglądać. Krata rolls-royce'a była zgnieciona, w lewym tylnym błotniku

ziała wielka dziura, a tylne światła zostały rozbite. Na parking wjechał czarny lincoln i zaparkował obok mnie. Szyba zjechała w dół, Mitchell zaś uśmiechnął się na widok rollswagena.

- Co to, u licha, jest?

- Popatrzyłam się na niego złowrogo.

- Potrzebujesz auta? Moglibyśmy ci załatwić samochód. Jaki tylko będziesz chciała - obiecał Mitchell. - Nie musisz jeździć tym... wstydem.

- Nie szukam Rangera.

- Jasne - powiedział Mitchell. - Ale może on szuka ciebie. Może chce wymienić olej i liczy na to, że warto ci zaufać. Tak to bywa, no wiesz. Mężczyzna ma swoje potrzeby.

- To w waszym kraju nie wymienia się oleju w stacji? - zapytał Habib Mitchella.

- O rany - jęknął Mitchell. - Nie chodzi o ten olej. Mam na myśli tę parówkę do tentegowania się.

- Nie rozumiem. „Tentegować się”? - powiedział Habib. - Co to jest parówka?

- Ten cholerny wegetarianin nic nie rozumie - zirytował się Mitchell. Złapał się za spodnie w kroku i szarpnął. - Wiesz, parówka.

- Aha - ucieszył się Habib. - Już rozumiem. Ten facet Ranger chowa swoją parówkę w tę córkę wywłoki.

- Córka wywłoki? Przepraszam, jak? - zdumiałam się.

- Właśnie tak - potwierdził Habib. - Nieczysta dziwka.

Poczułam, że powinnam wyciągnąć broń, której nie miałam przy sobie. Załatwić tych gości. Nic straszego. Na przykład przestrzelić któremuś oko.

- Muszę już iść - powiedziałam. - Mam robotę.

- W porządku - odparł Mitchell. - Ale nie bądź dzika. I zastanów się nad tym samochodem.

- Hej! - krzyknęłam. - Jak mnie znaleźliście?

Ale ich już nie było.

Jeździłam przez jakiś czas po okolicy, chcąc się upewnić, że nikt mnie nie śledzi, a potem skierowałam się w stronę siedziby Ramosa. Pojechałam trasą numer 29 na północ w kierunku Ewing. Ramos mieszkał w bogatej dzielnicy, w której rosły stare drzewa, a ogrody

były zaprojektowane przez fachowców od zieleni. W bok od Fenwood stało nowo zbudowane osiedle domków z czerwonej cegły, z garażami na dwa samochody i ogródkami otoczonymi murem. Przed domkami były wypielęgnowane trawniki z wijącymi się ścieżkami oraz rabatami kwiatów. Bardzo gustowne. Budzące szacunek. Wymarzone miejsce dla międzynarodowego handlarza bronią.

Poruszanie się latającą maszyną w tej okolicy utrudniało przeprowadzenie wywiadu. Z tego powodu jakakolwiek inwigilacja nie mogła się udać. Dziwaczny samochód, który przystanąłby tu na dłużej, musiałby zostać zauważony. To samo odnosiło się do dziwnej kobiety, wałęsającej się po okolicy.

Wszystkie okna w domu Ramosa zasłonięte roletami, dlatego nie można było stwierdzić, czy ktoś jest w środku. Jego dom był drugi z kolei od końca w szeregu pięciu domów. Pomiędzy rzędami domków zostawiono pas zieleni.

Przejechałam się po okolicy, wczuwając się w atmosferę, a potem jeszcze raz minęłam dom Ramosa. Nic nowego. Zadzwoiłam na pager do Rangera, który oddzwonił mi w ciągu pięciu minut.

- Tak właściwie to co mam konkretnie dla ciebie zrobić? - zapytałam. - Jestem przed jego domem, ale nie widzę tu nic do oglądania, a nie mogę dłużej w tej okolicy sterczeć. Nie mam gdzie się ukryć.

- Wróć tam w nocy, kiedy będzie ciemno. Sprawdź, czy ktoś go odwiedza.

- Co on robi całymi dniami?

- Różne rzeczy - poinformował Ranger. - Mają w rodzinie podział obowiązków. Kiedy Alexander jest w swojej rezydencji, robią interesy na wybrzeżu. Przed pożarem Hannibal spędzał większość czasu w tym budynku w centrum. Miał biuro na czwartym piętrze.

- Czym on jeździ?

- Ciemnozielonym jaguarem.

- Żonaty?

- Tylko wtedy, kiedy jest w Santa Barbara.

- Jest jeszcze coś, o czym powinnam wiedzieć?

- Tak - powiedział Ranger. - Bądź ostrożna. - Ranger rozłączył się, a telefon znowu zadzwonił.



- Czy babcia jest z tobą? - zapytała mama.  
- Nie. Mówię z pracy.  
- To gdzie ona jest? Dzwoniłam na twój numer domowy i nikt nie odpowiada.

- Babcia miała dzisiaj rano lekcję jazdy.  
- Matko Boska!  
- A potem umówiła się z Melwiną.  
- Powinnaś opiekować się babcią. Co ty sobie wyobrażasz? Ta kobieta nie umie jeździć samochodem! Zabije setki niewinnych ludzi.  
- Wszystko jest w porządku. Jeździ z instruktorem.  
- Z instruktorem! Jaki instruktor poradzi sobie z babcią? A co z jej bronią? Przeszukałam cały dom i nie mogę jej znaleźć.

Babcia ma rewolwer kalibru 45, który chowa przed mamą. Dostała broń od swojej przyjaciółki Elsie, która kupiła ją na wyprzedazy. Babcia prawdopodobnie trzymała pistolet w torbie. Zawsze mówiła, że dzięki temu torebka jest cięższa, na wypadek, gdyby trzeba było odeprzeć atak krokodyla. Może to i prawda, ale według mnie, to dlatego, że babcia lubi udawać Clinta Eastwooda.

- Nie chcę, żeby jeździła po drogach z bronią! - zachnęła się mama.  
- W porządku - powiedziałam. - Porozmawiam z nią. Ale sama wiesz, jak to jest z tą jej bronią.

- Dlaczego właśnie mnie to spotkało? - zapytała mama. - Dlaczego mnie?

Nie znałam odpowiedzi na to pytanie, więc rozłączyłam się. Zaparkowałam samochód, poszłam na koniec rzędu domków i weszłam na ścieżkę rowerową. Ścieżka biegła przez pas zieleni za domem Ramosa i roztaczał się z niej wspaniały widok na okna pierwszego piętra. Niestety, niewiele dojrzałam, ponieważ rolety były spuszczone. Okna na parterze zasłaniał mur. Założę się o milion, że te okna otwarto na oścież. Nie było żadnego powodu, żeby spuszczać w nich rolety. I tak nie dało się tam zajrzeć. Oczywiście mógł to zrobić ktoś źle wychowany, kto by przeskoczył mur i zaczął się tam, jak Humpty Dumpty, czekając, aż wydarzy się katastrofa.

Zdecydowałam, że prawdopodobieństwo wydarzenia się tej katastrofy będzie mniejsze, jeśli Humpty przeskoczy mur w nocy,

kiedy będzie ciemno i nikt jej nie zobaczy. Dlatego ruszyłam dalej wzdłuż ścieżki, doszłam do ulicy i wróciłam do samochodu.

Lula stała w drzwiach, kiedy zatrzymałam się przed biurem.

- Dobra, poddaję się - powiedziała. - Co to jest?

- Rollswagen.

- Ma parę dziur.

- Morris Munson wpadł w szal.

- On to zrobił? Złapałaś go?

- Postanowiłam odłożyć tę przyjemność na później.

- Lula wyglądała tak, jakby za chwilę miała się nabawić przepukliny, powstrzymując się od wybuchu śmiechu.

- Musimy go dorwać. Trzeba mieć od groma tupetu, żeby tak podziurawić rollswagena. Hej, Connie! - krzyknęła. - Musisz przyjść zobaczyć samochód Stephanie. To prawdziwy rollswagen.

- Pożyczyłam go - powiedziałam. - Dopóki nie dostanę pieniędzy z ubezpieczenia.

- A co to za esy-floresy po bokach?

- Wiatr.

- Ach, tak. Powinnam była się domyślić.

- Czarny lśniący jeep cherokee zatrzymał się przy krawężniku za latającą maszyną i wysiadła z niego Joyce Barnhardt. Miała na sobie czarne spodnie ze skóry, obcisły gorset z czarnej skóry, w którym ledwo mieściły się jej piersi, rozmiar C, kurtkę z czarnej skóry i czarne buty na wysokich obcasach. Jej czerwone, błyszczące włosy były upięte wysoko i podkreślone, oczy podkreślone czarną kredką, a rzęsy pogrubione tuszem. Joyce wyglądała jak lalka Barbie.

- Słyszałam, że do tych tuszów wydłużających rzęsy dodają sierść szczurów - powiedziała Lula do Joyce. - Mam nadzieję, że przeczytałaś skład, zanim to kupiłaś.

Joyce popatrzyła na latającą maszynę.

- Czyżby do miasta przyjechał cyrk? A to pewnie jeden z tych pojazdów dla klaunów?

- To jedyny w swoim rodzaju rollswagen - wyjaśniła Lula. - Masz jakiś problem?

- Joyce uśmiechnęła się.

- Jedynym moim problemem jest podjęcie decyzji, na co wydam pieniądze, które dostanę za głowę Rangera.

- Jasne - odparła Lula. - Pewnie masz kupę czasu do stracenia.

- Widzisz - rzekła Joyce - ja zawsze łapię swoich facetów.

I psy, i koźły, i warzywa... i cudzych facetów też.

- Chętnie byśmy jeszcze z tobą porozmawiały - odezwała się Lula - ale mamy ciekawsze zajęcia. Bardzo ważną sprawę do załatwienia. Właśnie byliśmy na drodze do schwytania jednego wysokopłatnego skurczybyka.

- Jedziecie tym samochodem dla klaunów?

- Jedziemy moim firebirdem - powiedziała Lula. - zawsze nim jedziemy, jak mamy do załatwienia jakieś trudne zadanie.

- Muszę się zobaczyć z Winniem - zapowiedziała Joyce. - Ktoś się pomylił, wypełniając formularz Rangera. Sprawdziłam adres, ale nikt tam nie mieszka.

Popatrzyłyśmy na siebie z Lula i uśmiechnęłyśmy się pod nosem.

- O rety, naprawdę? - zapytała Lula.

Nikt nie wiedział, gdzie mieszka Ranger. W prawie jazdy miał adres schroniska dla mężczyzn przy Post Street. Niezbyt prawdopodobne w przypadku mężczyzny, który jest właścicielem biurów w Bostonie i codziennie kontaktuje się ze swoim maklerem giełdowym. Od zawsze próbowałyśmy z Lula - bez wiary w sukces - namierzyć adres Rangera, ale nigdy nam się to nie udało.

- Co sądzisz? - zapytała Lula, kiedy Joyce zniknęła w biurze. - Chcesz trochę uszkodzić tego Morrisa Munsona?

- Sama już nie wiem. To psychol.

- Psiakrew - zaklęła Lula. - Nie boję się go. Sądzę, że załatwiłabym jego kościsty tyłek. Strzelał do ciebie?

- Nie.

- A więc nie jest aż tak stuknięty, jak większość moich sąsiadów.

- Jesteś pewna, że chcesz pojechać po niego swoim firebirdem? Widząc, co zrobił z moją latającą maszyną?

- Po pierwsze, jeśli nawet zmieściłabym całe moje cielsko w tej latającej maszynie, to musiałabyś wziąć ze sobą otwieracz do konserw, żeby mnie z niej wydobyć. A po drugie, wiedząc, że w tym lekko nadgryzionym samochodzie są tylko dwa miejsca, na których my

będziemy siedzieć, przypuszczam, że musiałybyśmy przywiązać Munsona do haka holowniczego, żeby go gdziekolwiek zabrać. To nie byłby taki głupi pomysł, ale wykonanie zajęłoby za dużo czasu.

Lula podeszła do szaf z aktami i kopnęła w pierwszą od dołu szufladę po prawej stronie. Szuflada odskoczyła; Lula wyciągnęła glocka, kaliber czterdzieści, i wrzuciła go do torebki.

- Tylko bez strzelaniny! - ostrzegłam.

- Jasne, przecież wiem - przytaknęła Lula. - Chodzi o ubezpieczenie auta.

- Zanim dojechałyśmy do Rockwell Street, miałam mdłości, a serce łomotało mi w piersiach.

- Nie wyglądasz kwitnąco - powiedziała Lula.

- Myślę, że to choroba lokomocyjna.

- Nigdy nie miałaś choroby lokomocyjnej. - Mam ją zawsze wtedy, jak jadę po faceta, który niedawno rzucił się na mnie z felgą. - Nic się nie martw. Jak jeszcze raz to zrobi, przestrzelę mu tyłek.

- Nie! Mówiłam ci, żadnej strzelaniny.

- Ale tutaj chodzi o ubezpieczenie na życie. Chciałam spojrzeć na nią surowo, zamiast tego jednak westchnęłam.

- Który to dom? - zapytała Lula.

- Ten z zielonymi drzwiami.

- Trudno powiedzieć, czy ktoś tam jest.

Przejechałyśmy obok domu dwa razy, a potem wjechałyśmy w jednokierunkową drogę wewnętrzną, prowadzącą na tyły budynku, i zatrzymałyśmy się koło garażu Munsona. Wsiadłam i zajrzałam przez oblepione brudem boczne okno. W środku stał tam wóz. Crown victoria. A niech to.

- Mam plan - powiedziałam do Luli. - Pójdiesz do drzwi wejściowych. On cię nie zna. Nie będzie podejrzliwy. Powiesz mu, kim jesteś i że chcesz go zabrać ze sobą do centrum. Wtedy będzie usiłował wymknąć się chyłkiem do samochodu przez tylne drzwi, a tam już nie będzie czujny i ja go złapię i skuję kajdankami.

- Brzmi niezłe. Jak będziesz miała jakieś problemy, to zwołasz, a ja przylecę.

Lula wycofała swojego firebirda, a ja podeszłam na czubkach palców do tylnych drzwi domu Munsona i przykleiłam się do ściany,

żeby mnie nie zobaczył. Wstrząsnęłam moim sprejem na psy, żeby sprawdzić, czy działa, i nasłuchiwałam pukania Luli do drzwi.

Po kilku minutach usłyszałam pukanie; przytłumione odgłosy rozmowy, a potem szuranie nogami i szcęk zamka. Drzwi otworzyły się i wyszedł z nich Morris Munson.

- Stój - powiedziałam i kopnęłam w drzwi, które się zamknęły. - Nie ruszaj się z miejsca. Nawet nie drgnij, bo potraktuję cię sprejem.

- Ty! Zrobiłaś mnie w konia!

W lewej ręce miałam sprej, a w prawej kajdanki.

- Odwróć się - poleciłam. - Ręce nad głowę, dłonie oprzeć na ścianie.

- Nienawidzę cię! - zawył. - Jesteś taka sama jak moja była żona. Donosiocielska, kłamliwa, apodyktyczna suka. Nawet wyglądasz tak samo. Te same idiotyczne kręcone brązowe włosy.

- Idiotyczne? Słucham?

- Dobrze mi się żyło, dopóki ta dziwka wszystkiego nie zepsuła. Miałem duży dom i ładny samochód. Miałem wszystko.

- I co się stało?

- Zostawiła mnie. Powiedziała, że jestem nudny. Stary nudny Morris. Któregoś dnia wynajęła sobie adwokata, podjechała ciężarówką od strony podwórka i wyczyściła dom ze wszystkiego. Zabrała każdy cholerny mebel, każdą francowatą sztukę chińskiej porcelany, każdą zafajdaną łyżkę. - Wskazał na dom. - Zostałem z tym. Gówniany dom szeregowy i używany crown victoria z ratami na dwa lata. Po piętnastu latach pracy w fabryce guzików, gdzie harowałem jak wół, jem na kolację kaszę w tej pułapce na szczury.

- Ja cię kręcę.

- Zaczekaj chwilę - powiedział. - Pozwól mi przynajmniej zamknąć drzwi. Ten dom nie jest wart wiele, ale to wszystko, co mam.

- W porządku. Tylko żadnych gwałtownych ruchów.

- Odwrócił się do mnie plecami, zamknął drzwi na klucz, obrócił się na pięcie i popchnął mnie.

- Cholera - rzucił. - Przepraszam. Straciłem równowagę.

Cofnęłam się.

- Co masz w ręce?

- Zapalniczkę. Widziałas kiedyś zapalniczkę, prawda? Wiesz, jak działa? - Munson pstryknął i zapalił się płomień.

- Rzuć to na ziemię!

- Pomachał nią.

- Popatrz, jaka ładna. Spójrz na tę zapalniczkę. Wiesz, co to za zapalniczka? Założę się, że nie zgadniesz.

- Powiedziałam, rzuć to.

Podniósł zapalniczkę na wysokość twarzy.

- Spalisz się. Nie możesz temu zapobiec.

- O czym ty mówisz? Rany!

Miałam na sobie dzinsy, biały podkoszulek wsunięty w spodnie i zielono-czarną koszulę flanelową, podobną do kurtki. Spojrzałam w dół i zobaczyłam, że poła koszuli się pali.

- Spalisz się! - krzyczał do mnie. - Usmażysz się w piekle!

Rzuciłam kajdanki i sprej, rozerwałam koszulę, wyskoczyłam z niej, rzuciłam ją na ziemię i zaczęłam po niej deptać, żeby ugasić ogień. Kiedy mi się udało, rozejrzałam się wokół siebie, ale Munsona już nie było. Próbowалаm otworzyć tylne drzwi. Były zamknięte na zamek. Usłyszałam odgłos zapalania silnika. Popatrzyłam na drogę i zobaczyłam cownika, który pędził w dal.

Podniosłam koszulę i włożyłam ją z powrotem. Brakowało prawej poły.

Lula stała oparta o samochód, kiedy weszłam za róg.

- Gdzie Munson? - zapytała.

- Zwiął.

Popatrzyła na moją koszulę i zmarszczyła brwi.

- Mogłabym przysiąc, że miałaś całą koszulę.

- Nie chcę o tym mówić.

- Wygląda na to, że koszula została spalona. Najpierw samochód, teraz koszula. Ten tydzień można by uznać za twój rekord.

- Wiesz, nie muszę się tym zajmować. Jest mnóstwo dobrych posad, które mogłabym dostać.

- Na przykład?

- McDonald przy rynku szuka pracowników.

- Słyszałam, że dostaje się frytki za darmo.

Spróbowałam otworzyć drzwi frontowe domu Munsona. Zamknięte. Zajrzałam przez okno na poziomie ulicy. Munson zasłonił je wyblakłym prześcieradłem w kwiatki, ale z jednej strony była szpara. Pokój, który zobaczyłam, znajdował się w opłakanym stanie. Porysowana drewniana podłoga. Zapadnięta kanapa, przykryta wyłysiałą narzutą z żółtej szenili. Stary telewizor na taniej metalowej szafce. Bukowy stół-ława przed kanapą. Nawet z tej odległości było widać, jak odłazi z niego okleina.

- Staremu szurniętemu Munsonowi niezbyt dobrze się powodzi - orzekła Lula, przyglądając się pokojowi razem ze mną. - Zawsze wyobrażałam sobie, że maniackalny gwałcieciel żyje w lepszych warunkach.

- Jest rozwiedziony - powiedziałam. - Żona ogołociła go ze wszystkiego.

- Posłuchaj, niech to będzie dla nas nauczka. Zawsze bądź tą stroną, która pierwsza podjeżdża ciężarówką pod drzwi.

Kiedy wróciliśmy, samochód Joyce nadal stał przed biurem.

- Można by pomyśleć, że o tej porze już jej tu nie będzie - zauważyła Lula. - Musi być w środku na popołudniowym bara-bara z Vinniem.

Odruchowo się skrzywiłam. Mówiło się, że Vinnie kiedyś zakochał się w kacze. I że Joyce lubi ogromne psy. Ale jakoś myśl o tym, że mogliby to robić razem, była jeszcze gorsza.

Odetchnęłam z ulgą, kiedy weszliśmy z Lula do biura i zobaczyłam, że Joyce siedzi na kanapie.

- Wiedziałam, że takie dwa beztalencia, jak wy, nie zabawią tam długo - powiedziała Joyce. - Nie złapałyście go. Prawda?

- Stephanie miała wypadek z koszulą - wyjaśniła Lula. - Dlatego zdecydowałyśmy się nie ścigać naszego delikwenta.

Connie siedziała za biurkiem i malowała sobie paznokcie.

- Joyce twierdzi, że wiecie, gdzie mieszka Ranger.

- Jasne, że wiemy - przytaknęła Lula. - Tylko nie zdradzimy tego Joyce, bo wiemy, jak lubi trudne wyzwania.

- Lepiej to zróbcie - powiedziała Joyce - albo poskarżę Vinniemu, że się ociągacie.

- Ludzie - powiedziała Lula. - Muszę to przemyśleć.

- Nie wiem, gdzie on mieszka - wyznałam. - Nikt tego nie wie. Ale kiedyś słyszałam, jak rozmawiał przez telefon ze swoją siostrą ze Staten Island.

- Jak ona się nazywa?

- Marie.

- Marie Manoso?

- Nie wiem. Może być mężatką. Mimo to nie powinno być kłopotów z jej odszukaniem. Pracuje w fabryce płaszczy przy Macko Street.

- Spadam - oświadczyła Joyce. - Jak coś ci się jeszcze przypomni, zadzwoń na mój telefon w aucie. Connie ma numer.

Nikt się nie odezwał, dopóki nie zobaczyłyśmy, jak wóz Joyce ruszył i pojechał ulicą w dół.

- Kiedy ona tu wchodzi, przysięgam, że czuję siarkę - powiedziała Connie. - To tak jakby antychryst siedział na kanapie.

Lula spojrzała na mnie.

- Ranger naprawdę ma siostrę w Staten Island?

- Wszystko jest możliwe. - Ale nieprawdopodobne. Teraz, kiedy się nad tym zastanawiam, to nawet nie jestem pewna, czy ta fabryka płaszczy rzeczywiście mieści się przy Macko Street.



## Rozdział 4

- O kurna - powiedziała Lula, spoglądając mi przez ramię. - Nie patrz tam, właśnie nadchodzi twoja babcia.

- Otworzyłam szeroko oczy.

- Moja babcia?

- A niech to kule biją! - rzucił Vinnie z czeluści swojego gabinetu. Usłyszaliśmy szuranie nogami. Drzwi do gabinetu zatrzasnęły się z hukiem i szczęknął zamek.

Babcia weszła i rozejrzała się wokół.

- Ludzie, co za nora! - zdumiała się. - Czegoś takiego można się spodziewać tylko po kimś z Plumów.

- Gdzie jest Melvina? - zapytałam.

- Obok, w delikatesach, kupuje mielonkę. Pomyślałam, że skoro już jesteśmy w tej okolicy, to porozmawiam z Vinniem na temat pracy.

Wszystkie popatrzyłyśmy na zamknięte drzwi do gabinetu Vinniego.

- Jaki rodzaj pracy ma pani na myśli? - zapytała Connie.

- Łowczyni nagród - wyjaśniła babcia. - Chcę robić duże pieniądze. Mam broń i całą resztę.

- Hej, Vinnie! - krzyknęła Connie. - Gość do ciebie.

- Drzwi otworzyły się, Vinnie wysunął głowę i spojrzał na Connie spode łba. Potem popatrzył na babcię.

- Edna - powiedział, usiłując przywołać coś na kształt uśmiechu, ale niezbyt mu wyszło.

- Vincent - powitała go babcia, uśmiechając się słodko.

Vinnie przestępował z nogi na nogę, chcąc zwiąć i wiedząc jednocześnie, że to niemożliwe.

- W czym mogę ci pomóc, Edna? Chcesz kogoś wykupić?

- Nic z tych rzeczy - odparła babcia. - Chcę podjąć pracę i pomyślałam sobie, że mogłabym zostać łowczynią nagród.

- To nie jest najlepszy pomysł - orzekł Vinnie. - A nawet bardzo zły pomysł. Babcia aż się zjeżyła.

- Chyba nie uważasz, że jestem za stara, co?

- Nie! U licha, nic podobnego. Chodzi o twoją córkę. Chyba zniosłaby jajko. To znaczy, nie chcę powiedzieć nic złego o Ellen, ale nie spodobałby jej się ten pomysł.

- Ellen jest wspaniałym człowiekiem - powiedziała babcia - ale pozbawionym wyobraźni. Jest taka sama, jak jej ojciec, oby spoczywał w spokoju. - Zaciśnięła usta. - to był ponurak.

- Powiedz, o co chodzi - odezwała się do Vinniego Lula.

- To jak będzie? - zwróciła się babcia do Vinniego. - dostanę tę pracę?

- W żaden sposób się nie da, Edna. To nie to, że nie chcę ci pomóc, ale zawód łowcy nagród wymaga posiadania wielu różnych umiejętności.

- Posiadam umiejętności - zapewniła babcia. - Umiem strzelać i przeklinać i potrafię być naprawdę wścibska. Poza tym mam przecież jakieś prawa. Choćby prawo do zatrudnienia. Spojrzała na Vinniego z ukosa. - Nie widzę, żeby pracowały u ciebie jakieś starsze osoby. Wygląda na to, że nie mają równych szans. Dyskryminujesz starych ludzi. Mogę nasłać na ciebie ASE.

- ASE to Amerykańskie Stowarzyszenie Emerytów - powiedział Vinnie. - E oznacza Emerytów. Stowarzyszenia nie obchodzą starzy ludzie, którzy pracują.

- Dobrze - odparła babcia. - A co sądzisz o innym rozwiązaniu? Jeśli nie dasz mi tej pracy, będę siedziała na tamtej kanapie, dopóki nie umrę z głodu.

Lula wstrzymała oddech.

- To było z grubej rury.

- Zastanowię się nad tym - obiecał Vinnie. - Nie mogę niczego przyrzec, ale być może, jeśli nadarzy się sposobność... - Dał nura do gabinetu i zamknął drzwi na klucz.

- To dopiero początek - oświadczyła babcia. - Muszę już iść i sprawdzić, jak tam sobie radzi Melvina. Mamy dużo planów na dzisiejsze popołudnie. Chcemy obejrzeć kilka mieszkań, a potem idziemy do Stivy na pokaz. Madeline Krutchman właśnie została wystawiona i słyszałam, że wygląda naprawdę nieźle. Doiły ją czesała i powiedziała mi, że zrobiła jej farbę, żeby twarz stała się bardziej wyrazista. Mówiła, że jeśli mi się spodoba, to może mi zrobić to samo.

- Kapitalne - zachwyciła się Lula. Babcia i Lula wymienili jeden z tych skomplikowanych gestów pożegnalnych, po czym babcia wyszła.

- Są jakieś nowości na temat Rangera albo Homera Ramosa? - zapytałam Connie.

Connie odkręciła buteleczkę z lakierem do paznokci.

- Do Ramosa strzelono z niewielkiej odległości. Niektórzy mówią, że to pachnie egzekucją.

Connie pochodzi z rodziny, która zna się na egzekucjach. Jej wujem jest Jimmy zwany Kosą. Nie znam jego prawdziwego nazwiska. Wiem tylko tyle, że jeśli Jimmy kogoś szuka... to koniec. Dorastałam, słuchając opowieści o Jimmym Kosie, tak jak inne dzieci słuchały bajek o Piotrusiu Panie. Jimmy Kosa jest słynny w mojej okolicy.

- A co z policją? Jaki jest obecny punkt widzenia glin?

- Szukają Rangera, wyższa szkoła jazdy.

- Jako świadka?

- O ile wiem, jako nie wiadomo kogo. - Connie i Lula popatrzyły na mnie.

- No i? - zapytała Lula.

- No i co?

- Dobrze wiesz co.

- Nie jestem pewna, ale sądzę, że żyje - powiedziałam. - Po prostu takie mam przecucie.

- Ha! - wykrzyknęła Lula. - Wiedziałam! Byłaś goła, jak miałaś to przecucie?

- Nie!

- To źle - oświadczyła. - Ja bym była.

- Muszę iść - poinformowałam. - Muszę przekazać Księżycowi złe wiadomości o latającej maszynie.

Zaletą Księżyca jest to, że zawsze można go zastać w domu. Jego wadą jest to, że w domu przybywa tylko ciałem, a duchem często bawi gdzie indziej.

- Cholera - powiedział, otwierając drzwi. - Znowu zapomniałem o wizycie w sądzie?

- W sądzie masz być za dwa tygodnie, licząc od jutra.

- W dechę.

- Muszę z tobą pogadać o latającej maszynie. Jest trochę podziurawiona. I nie ma tylnych świateł. Ale naprawię ją.

- Hej, nie przejmuj się tym, facetka. Zdarza się.

- Może powinnam porozmawiać z właścicielem.

- Dilerem.

- Tak. Gdzie on ma swoją siedzibę?

- W ostatnim domu w szeregu. Ma garaż, facetka. Czujesz to? Garaż.

Ponieważ spędziłam całą zimę na skrobaniu lodu z szyb, rozumiałam, dlaczego Księżyc tak się podnieca tym garażem. Też uważałam, że garaż to cudowna rzecz.

Ostatni dom stał w odległości około czterystu metrów, więc podjechaliśmy tam samochodem.

- Myślisz, że go zastaniemy? - zapytałam Księżyc, kiedy znaleźliśmy się na końcu ulicy.

- Diler zawsze jest w domu. Musi tam być, żeby ubijać interesy.

Zadzwoniłam do drzwi i otworzył je Dougie Kruper. Chodziłam z Dougiem do szkoły, ale nie widziałam go od lat. Tak naprawdę to słyszałam plotki, że wyprowadził się do Arkansas i zmarł.

- Niech cię kule biją, Dougie - powiedziałam. - Myślałam, że nie żyjesz.

- Teraz sam wolałbym nie żyć. Mój ojciec przeniósł się do Arkansas, więc pojechałem z nim, ale mówię ci, Arkansas to nie dla mnie. Nic się tam nie dzieje, wiesz, co mam na myśli? A jak chcesz zobaczyć ocean, to musisz jechać całe wieki.

- Jesteś dilerem?

- Tak jest, sir. Dilerem. We własnej osobie. W pewnym sensie. Potrzebujesz czegoś. Ja to mam. Robimy interes.

- Zła wiadomość, Dougie. Latająca maszyna miała katastrofę.

- Dziewczyńko, latająca maszyna to jedna wielka katastrofa. Wydawało mi się, że to będzie coś, ale teraz nie mogę się jej pozbyć. Miałem zamiar zepchnąć ten wóz z mostu, jak tylko go oddasz. Chyba że chcesz go kupić.

- Tak naprawdę nie odpowiada moim potrzebom. Za bardzo zapada w pamięć. Potrzebuję samochodu, którego się nie pamięta.

- Samochód widmo. Diler powinien mieć coś takiego - powiedział Dougie. - Chodźmy na podwórko, rozejrzemy się.

Na podwórku stały samochody, jeden przy drugim. Samochody stały na drodze, na podwórku, a w garażu też stał samochód.

Dougie zaprowadził mnie do czarnego forda escorta.

- To jest prawdziwy samochód widmo.
- Ile sobie liczy lat?
- Dokładnie nie wiem, ale ma nieduży przebieg.
- Nie podają rocznika w papierach?
- Ten szczególnie samochód nie ma papierów. Hm. Diler to chyba raczej ksywa.

- Jeśli potrzebujesz samochodu z papierami, będzie to miało niekorzystny wpływ na cenę - powiadomił mnie Dougie.

- Do jakiego stopnia niekorzystny?

- Myślę, że możemy przejść do omówienia warunków. Mimo wszystko jestem przecież dilerem.

Dougie Kruper był największym trepem w naszej klasie maturalnej. Nie umawiał się na randki, nie uprawiał żadnego sportu i nie jadł jak normalny człowiek. Jego największym osiągnięciem w szkole średniej było to, że zdołał wciągnąć do nosa kawałek galaretki przez słomkę.

Księżyc spacerował między samochodami, kładąc na nich dłonie, by wyczuć karmę.

- To jest to - oświadczył, stojąc koło małego jeepa w kolorze khaki. - Ten samochód ma właściwości obronne.

- Masz na myśli to, że jest jak anioł stróż?
- Mam na myśli to, że są w nim pasy bezpieczeństwa.
- A co z papierami? - zapytałam Dougiego. - I czy wóz działa?
- Jestem niemal pewien, że działa - odpowiedział Dougie.

W pół godziny później miałam dwie pary nowych dżinsów i nowy zegarek, ale nie miałam nowego samochodu. Dougie chciał sprzedać mi jeszcze kuchenkę mikrofalową, tyle że już jedną posiadam.

Było wczesne popołudnie i okropna pogoda, więc udałam się do domu moich rodziców i pożyczyłam buicka rocznik 1953, który należał kiedyś do wujka Sandora. Nikt tego wozu nie używał, samochód działał, no i miał papiery. Powiedziałam sobie, że to bardzo fajny samochód. Klasyka. Wujek Sandor kupił go jako nowkę i buick nadal

znajdował się w idealnym stanie, czego nie można było powiedzieć o wujku Sandorze, który leżał głęboko pod ziemią. Wóz był w kolorze niebieskobiałej farbki do bielizny, ze świecącymi chromowanymi światłami i dużym silnikiem V-8. Spodziewałam się, że dostanę pieniądze z ubezpieczenia, zanim babcia zrobi prawo jazdy i będzie potrzebowała buicka. Miałam nadzieję, że szybko dostanę tę forszę, bo szczerze nienawidziłam tego auta.

Kiedy w końcu dotarłam do domu, słońce już zachodziło. Parking przed moim domem był prawie zapełniony, a obok nielicznych wolnych miejsc stał czarny lincoln. Zaparkowałam buicka na jednym z tych miejsc, a szyba w lincolnie od strony pasażera zjechała w dół.

- Co to jest? - zapytał Mitchell. - Inny samochód? Nie próbowałaś wprowadzić nas w błąd, prawda? Ach, jakby tylko o to chodziło!

- Mam trochę problemów z samochodem.

- Jeżeli nie znajdziesz wkrótce tego kolesia Rangera, to będziesz miała inne problemy, które mogą okazać się dla ciebie zgubne.

Mitchell i Habib byli z pewnością gangsterami, ale ja przeszłam właśnie ciężką próbę radzenia sobie z autentycznym strachem. Jakoś nie wyglądali mi na kolesi z tej samej drużyny co psychol Morris Munson.

- Co się stało z twoją koszulą? - zapytał Mitchell.

- Ktoś usiłował mnie podpalić.

- Pokiwał głową.

- Ludzie są kopnięci. W dzisiejszych czasach trzeba mieć oczy z tyłu głowy - powiedział gość, który przed chwilą groził mi śmiercią.

Weszłam do holu, wypatrując Rangera. Drzwi od windy otworzyły się i zajrzałam do środka. Pusta. Sama nie wiedziałam, czy poczułam ulgę, czy rozczarowanie. Na piętrze też nikogo nie było. W moim mieszkaniu natomiast sytuacja nie wyglądała już tak różowo. Babcia wyjrzała z kuchni natychmiast, jak usłyszała, że otwieram drzwi wejściowe.

- W samą porę - oświadczyła. - Kotlety są gotowe. Zrobiłam też makaron z tartym żółtym serem. Brakuje tylko jarzyn, ponieważ pomyślałam, że skoro nie ma tutaj twojej matki, to możemy jeść, co chcemy.

Stół w części jadalnej był nakryty, stały na nim talerze, leżały noże i widelce, i papierowe serwetki, złożone na pół.

- Ho, ho - powiedziałam. - Miło z twojej strony, że przygotowałaś taką kolację.

- Zrobiłabym jeszcze lepszą, ale masz tylko jeden garnek. Co się stało z tym kompletem, który dostałaś na prezent ślubny?

- Wyrzuciłam go, jak przyłapałam Dicka... na wiesz czym, z Joyce. Babcia przyniosła makaron z serem.

- Myślę, że cię rozumiem. - Usiadła przy stole i wzięła sobie kotlet.

- Muszę się gdzieś ruszyć. Nie miałyśmy z Melwiną czasu, żeby pójść do Stivy dziś po południu, więc wybieramy się tam wieczorem. Możesz pójść z nami. Następną rzeczą, za którą przepadam, zaraz po wsadzeniu sobie widelca do oka, jest oglądanie zwłok.

- Dzięki, ale dziś wieczór pracuję. Robię wywiad dla przyjaciela.

- To kiepsko - powiedziała babcia. - Zapowiada się dobra zabawa.

Po wyjściu babci obejrzałam powtórkę *Simpsonów*, powtórkę *Niani* i pół godziny *Milionerów*, usiłując oderwać się od myśli o Rangerze. Malutka, złośliwa cząstka mojego umysłu wątpiła w niewinność Rangera w związku z morderstwem Ramosa. Reszta mojego umysłu odczuwała niepokój, że Ranger mógłby zostać zastrzelony lub zabity, zanim znajdą prawdziwego mordercę. A żeby jeszcze bardziej skomplikować sprawę, zgodziłam się zrobić dla niego wywiad. Ranger był najlepszym łowcą nagród u Vinniego, ale zaangażowanym również w mnóstwo podejrzanych interesów, choć czasami legalnych. Pracowałam kiedyś dla Rangera ze zmiennym powodzeniem. W końcu wypisałam się z listy jego pomocników, ponieważ doszłam do wniosku, że nasze współdziałanie nie przyniosłoby nikomu korzyści. Wyglądało na to, że teraz miałam zrobić wyjątek. Mimo że nie byłam pewna, dlaczego potrzebuje akurat mojej pomocy. Nie wydawałam się też sobie szczególnie kompetentna.

Z drugiej strony, byłam lojalna, miałam szczęście i, jak mi się wydaje, niewielkie wymagania finansowe.

Kiedy było już prawie ciemno, przebrałam się. Czarne spodnie do joggingu z ortalionu, czarny podkoszulek, buty do biegania, czarna bluza z kapturem i jako dopełnienie całości kieszonkowy sprej na psy. Gdyby złapali mnie na węszeniu, zawsze mogę powiedzieć, że

uprawiam jogging. Każdy perwersyjny podglądacz w podobnych sytuacjach wykorzystuje to alibi, i zawsze z powodzeniem.

Dałam Reksowi kawałek żółtego sera i wytłumaczyłam mu, że będę z powrotem za parę godzin. Kiedy znalazłam się na parkingu, zaczęłam szukać wzrokiem hondy civic, ale przypomniałam sobie, że została spalona. Potem jęłam się rozglądać za latającą maszyną, ale i z tego nic nie wyszło. W końcu westchnęłam ciężko i podeszłam do buicka.

Nocą ulica Fenwood wyglądała przytulnie. W oknach się świeciło, a ścieżki prowadzące do domów były usiane śladami podeszew. Na ulicy panował zupełny spokój.

Rolety w domu Hannibala Ramosa nadal były spuszczone, ale prześwitywało przez nie światło. Objechałam blok dookoła i zaparkowałam przy ścieżce rowerowej, którą szłam tego samego dnia rano.

Zrobiłam parę skłonów i trochę pobiegałam na wypadek, gdyby ktoś mnie obserwował, zastanawiając się, czy nie jestem jakąś podejrzaną postacią. Ruszyłam powolnym truchtem i szybko dotarłam do ścieżki, która biegła wzdłuż znanego mi terenu za domami. Przyćmione światło prześwitywało zza drzew aż tutaj. Przez chwilę przyzwyczajalam do niego wzrok. Każde ogrodzenie miało furtkę, więc ostrożnie szłam wzdłuż muru, licząc drzwi, aż uznałam, że znajduję się za domem Hannibala. W oknach na pierwszym piętrze było ciemno, ale nad murem widniało rozproszone światło, pochodzące z parteru.

Spróbowałam otworzyć drzwi w murze. Były zamknięte. Mur z cegły miał ponad dwa metry wysokości. Cegły były gładkie, więc nie dało się po nich wspiąć. Nie było o co zaczepić ręki ani stopy. Rozejrzałam się wokół w poszukiwaniu czegoś, na czym można byłoby stanąć. Nic. Dostrzegłam sosnę, która rosła tuż koło muru. Stała trochę niefortunnie, ze ściśniętymi dolnymi konarami. Wyższe zwiślały nad podwórkiem. Jeśli weszłabym na drzewo, mogłabym się schować między gałęziami i obserwować Hannibala. Chwyciłam się pnia i podciągnęłam do góry. Wdrapałam się jeszcze wyżej i w nagrodę zobaczyłam tyły domu Hannibala. Wzdłuż muru były kwiatowe grządki, teraz pokryte kompostem. Kamienne patio o nieregularnym kształcie przylegało do drzwi od strony ogrodu. Resztę zajmował trawnik.



Dokładnie tak, jak przypuszczałam, rolety w oknach parteru były odsłonięte. Przez podwójne okno widziałam kuchnię. Tylne drzwi prowadziły do jadalni. Za jadalnią widoczna była część kolejnego pomieszczenia. Trudno określić dokładnie jakiego, ale prawdopodobnie pokoju gościnnego. Nie zauważyłam, żeby ktoś się tam kręcił.

Posiedziałam tak jakiś czas, nadal jednak nic się nie działo. W domu Hannibala Ramosa panował absolutny spokój. W sąsiednich domach też. Co za nuda. Na ścieżce rowerowej również nikt się nie pojawiał. Żadnych ludzi spacerujących z psami. Żadnych biegaczy. Za ciemno. Dlatego kocham szpiegowanie. Nie dzieje się nic. A potem wychodzisz na chwilę do toalety i okazuje się, że przegapiłaś podwójne zabójstwo.

Po godzinie poczułam się senna, a nogi zdrętwiały mi z bezruchu. Uderzam w kimono, pomyślałam. Przecież i tak nie wiedziałam, czego szukam.

Odwrociłam się, żeby zeskoczyć na dół, straciłam równowagę i spadłam na ziemię. Bum! Runęłam na tyłek. Do ogrodu Hannibala.

Zapaliły się światła na tarasie i wyrzwał Hannibal.

- Co się dzieje, do cholery? - zapytał.

Poruszałam palcami i nogami. Wyglądało na to, że wszystko jest w porządku.

Hannibal stanął nade mną, z rękami opartymi na biodrach, jakby czekał na wyjaśnienia.

- Spadłam z drzewa - wyjaśniłam. Było to zresztą dość oczywiste, ponieważ wokół mnie leżało sosnowe igliwie i gałązki.

Hannibal nawet nie mrugnął.

Z trudem wstałam.

- Próbowалам sięgnąć na dół mojego kota. Siedział tam od południa.

- Popatrzył na drzewo.

- Czy ten kot dalej tam siedzi?

Zabrzmiało to tak, jakby ani trochę mi nie wierzył.

- Myślę, że zeskoczył, kiedy spadłam. -

- Hannibal Ramos miał kalifornijską opaleniznę i wydelikaconą cerę lenia kanapowego. Nie byłam tym zaskoczona, ponieważ wcześniej widziałam jego zdjęcia. Nie spodziewałam się natomiast

zmęczenia na jego twarzy. Ale przecież dopiero co stracił brata, a to musiało odcisnąć na nim piętno. Miał rzadkie brązowe włosy. Baczenie mi się przyglądał zza swoich ogromnych okularów. Ubrany był w szare spodnie od garnituru, które aż się prosiły, żeby je wyprasować, i białą koszulę rozpiętą pod szyją, też zmiętoszoną. Przeciętny biznesmen po ciężkim dniu w biurze. Domyślałam się, że może mieć nieco po czterdziestce i parę lat do operacji wstawienia bypassów.

- I pewnie uciekł? - powiedział Ramos.

- Boże, tylko nie to. Mam już dość latania za nim. - jestem wspaniałą kłamczuchą. Czasami zadziwiam nawet siebie samą.

Hannibal otworzył bramkę w ogrodzeniu i uważnie spojrzął na ścieżkę rowerową.

- Zła wiadomość. Nie widzę żadnego kota. Spojrzałam mu przez ramię.

- Tutaj, kici, kici! - zawołałam. Czułam się dość głupawo, ale nie było innego wyjścia poza tym, żeby brnąć w to dalej.

- Wiesz, co o tym sądzę? - zapytał Hannibal. - Myślę, że nie ma żadnego kota. A ty siedziałaś na tym drzewie, bo mnie szpiegujesz.

Spojrzałam na niego z głębokim zdumieniem. Jak... że niby ja?

- Słuchaj - powiedziałam, usiłując czmychnąć w stronę bramki. - Muszę iść. Muszę znaleźć mojego kota.

- Jakiej maści jest ten kot?

- Czarny.

- To powodzenia.

Zajrzałam pod krzaki, które rosły po drodze do ścieżki rowerowej.

- Chodź tutaj, kici, kici!

- Może powinnaś zostawić swój adres i numer telefonu na wypadek, gdybym go znalazł - zauważył Hannibal.

Jego wzrok na chwilę skrzyżował się z moim i serce zamarło mi w piersiach.

- Nie - powiedziałam. - Nie sądzę, żeby to było konieczne. - I wyszłam, kierując się w stronę przeciwną niż ta, z której przyszłam. Zeszłam ze ścieżki rowerowej i okrążyłam domy, żeby dostać się do samochodu. Przeszłam przez ulicę i stałam przez chwilę w mroku, patrząc na dom Hannibala i zastanawiając się nad jego osobą. Gdybym spotkała faceta na ulicy, wzięłabym go za agenta ubezpieczeniowego.

Albo członka średniego personelu zarządzającego w jakiejś spółce. To, że jest następcą tronu w nielegalnym handlu bronią, nawet nie przyszłoby mi do głowy.

W oknie na pierwszym piętrze zapaliło się światło. Następcą tronu pewnie przebierał się w strój domowy. Było za wcześnie, żeby iść spać, a na parterze nadal się świeciło. Miałam już jechać, kiedy zobaczyłam samochód, który skręcił na podjazd domu Hannibala.

Prowadziła go kobieta. Nie widziałam jej twarzy. Drzwi wozu otworzyły się i wysunęła się z nich długa noga w pończosze, a potem zabójcze ciało w ciemnym kostiumie. Krótkie blond włosy. Aktówka pod pachą.

Zapisałam numer rejestracyjny wozu w notesie, który trzymałam w torebce, wyjęłam z kieszonki swoją mini-lornetkę i udałam się na tyły domu Hannibala. Kolejny raz. Była cisza. Hannibal chyba czuł się pewnie, wiedząc, że mnie wystraszył. Co za idiota byłby tak szalony, żeby próbować tropić Hannibala dwa razy w ciągu jednej nocy?

Taką idiotką byłam właśnie ja.

Wdrapałam się na drzewo tak cicho, jak tylko umiałam. Tym razem poszło łatwiej. Wiedziałam, dokąd zmierzam. Znalazłam swoje miejsce i wyjęłam lornetkę. Niestety, nie było na co patrzeć. Hannibal i jego gość znajdowali się w pokoju od frontu. Widziałam część pleców Hannibala, ale kobieta była poza zasięgiem mojego wzroku. Po kilku minutach usłyszałam, jak drzwi wejściowe się zamykają, a samochód odjeżdża.

Hannibal poszedł do kuchni, wyjął nóż z szuflady i otworzył nim kopertę. Wyłuskał z niej list i zaczął go czytać. Nie widać było żadnej reakcji na jego twarzy. Ostrożnie wsunął list z powrotem do koperty i położył ją na ladzie kuchennej.

Popatrzył przez okno, wyglądając na pogrążonego w myślach. Zamarłam, wstrzymując oddech, ale wytłumaczyłam sobie, że przecież nie może mnie widzieć. Na drzewie jest ciemno. Nie ruszaj się, a na pewno sobie pójdzie. Guzik, guzik, guzik. Podniósł rękę do góry, natychmiast się zaświeciło i byłam w potrzasku.

- Tutaj, kici, kici! - mruknęłam, zasłaniając oczy dłonią, żeby zobaczyć coś pod światło.

Podniósł drugą rękę i ujrzałam w niej broń.

- Złaź - powiedział, idąc w moim kierunku. - Powoli.

Jasne. Spadłam z drzewa, łamiąc po drodze wszystkie gałęzie i ładując na nogach, które już w powietrzu zaczęły uciekać.

Puk. Łatwy do rozpoznania dźwięk kuli, która przeszła powietrze.

Zwykle nie jestem szybka, ale gnałam ścieżką z prędkością światła. Pobiegłam prosto do samochodu, wskoczyłam do środka i odjechałam z rykiem silnika.

Kilka razy spoglądałam w lusterko, aby się upewnić, że nikt za mną nie jedzie. W okolicy mojego mieszkania wjechałam w ulicę Makefield, stanęłam za rogiem, wyłączyłam światła i czekałam. Żadnego samochodu w zasięgu wzroku. Włączyłam z powrotem światła i zauważyłam, że ręce prawie przestały mi drżeć. Uznałam to za dobry znak i skierowałam się w stronę domu.

Kiedy skręciłam na oświetlony parking, zobaczyłam Morellego. Stał oparty o swój 4X4, z założonymi rękami i ze skrzyżowanymi nogami. Zamknęłam buicka i podeszłam do Joego. Wyraz nudy na jego twarzy ustąpił miejsca niezdrowej ciekawości.

- Znowu jeździsz buickiem? - zapytał.

- Chwilowo.

Obejrzał mnie od stóp do głów i wyjął mi z włosów igłę sosnową.

- Aż się boję zapytać - powiedział.

- Wywiad.

- Cała się kleisz.

- Żywica. Siedziałam na sośnie.

- Uśmiechnął się szeroko.

- Słyszałem, że szukają pracowników w fabryce guzików.

- Co wiesz o Hannibalu Ramosie?

- Chryste, nie mów, że szpiegujesz Ramosa. To naprawdę niedobry koleś.

- Nie wygląda na złego. Wygląda przeciętnie. - To znaczy wyglądał, dopóki nie wymierzył we mnie spluwy.

- Nie doceniasz go. Zarządza mocarstwem Ramosów.

- Myślałam, że robi to jego ojciec.

- Hannibal zajmuje się całym interesem na co dzień. Podobno stary Ramos jest chory. Zawsze był rozrywkowy, ale dowiedziałem się z moich źródeł, że zachowuje się coraz bardziej dziwnie, a rodzina

wynajmuje opiekunki, chcąc mieć pewność, że któregoś dnia staruszek sobie po prostu gdzieś nie pójdzie i więcej już go nie zobaczą.

- Alzheimer?

Morelli wzruszył ramionami.

- Nie wiem.

Spojrzałam w dół i zobaczyłam, że mam podrapane i zakrwawione kolana.

- Pomagając Rangerowi, możesz stać się narzędziem w jakiś ciemnych interesach - odezwał się Morelli.

- Ja?

- Powiedziałaś mu, żeby się ze mną skontaktował?

- Nie miałam możliwości. A przy okazji, on odbiera wiadomości, które mu wysyłasz na pager. Po prostu nie chce na nie odpowiadać.

Morelli przyciągnął mnie do siebie.

- Pachniesz jak las sosnowy.

- To pewnie żywica.

Położył mi ręce na biodrach i pocałował mnie w kark.

- Bardzo sexy. - Morelli uważał, że wszystko jest sexy. - Pojedziesz do mnie - powiedział. - Pocałuję twoje obdarte ze skóry kolano i sprawię, że lepiej się poczujesz.

Kuszenie.

- A co z babcią?

- W ogóle nie zauważy. Prawdopodobnie jest pogrążona w głębokim śnie.

Okno na drugim piętrze otworzyło się. To było moje okno. Wyrzała przez nie babcia.

- To ty, Stephanie? Kto jest z tobą? Joe Morelli?

- Joe pomachał do niej.

- Dobry wieczór, pani Mazurowa.

- Po co tam stoicie? - zapytała babcia. - Może wejdziecie do środka i zjecie coś słodkiego? Wracając od Stivy, wstąpiłyśmy do supermarketu i kupiłyśmy tort.

- Dzięki - powiedział Joe - ale muszę jechać do domu. Jutro mam ranną zmianę.

- Też coś! - prychnęłam. - Przepuścić tort!

- Nie mam ochoty na tort. Poczulałam skurcz mięśni w miednicy.

- Idę sobie ukroić kawałek - oświadczyła babcia. - Umieram z głodu. Po oglądaniu nieboszczyków zawsze mam apetyt. - Okno się zamknęło i babcia zniknęła.

- Nie jedziesz ze mną do domu, prawda? - upewnił się Morelli.

- A masz tort?

- Mam coś lepszego.

Mówił prawdę. Wiedziała o tym.

Okno znowu się otworzyło i babcia wystawiła głowę.

- Stephanie, telefon do ciebie. Mam powiedzieć, żeby zadzwonił później?

Morelli zmarszczył brwi.

- Zadzwonił?

Obydwoje pomyśleliśmy o Rangerze.

- A kto dzwoni? - zapytałam.

- Jakiś gość imieniem Brian.

- To musi być Brian Simon - powiedziałam do Morellego. - Musiałam u niego skamlać, żeby wyciągnąć z tarapatów Carol Zabo.

- Dzwoni w sprawie Carol Zabo?

- Boże, spodziewam się, że tak. - W tej albo ma jakiś inny interes. - Już idę! - krzyknęłam do babci. - Weź od niego numer telefonu i powiedz, że oddzwonię.

- Łamiesz mi serce - rzekł Morelli.

- Babcia będzie u mnie jeszcze tylko kilka dni, a potem możemy świętować.

- Za kilka dni będę gryzł własną rękę.

- Brzmi groźnie.

- Nigdy w to nie wątp - powiedział Morelli.

Pocałował mnie i nie wątpiłam. Wsunął mi dłoń pod bluzkę, a język głęboko w moje usta... i wtedy usłyszałam gwizd.

Pani Fine i pan Morgenstern, zwabieni krzykami moimi i babci, prawie wyszli przez okna i pogwizdywali. Oboje zaczęli klaskać i pohukiwać radośnie.

Pani Benson otworzyła okno.

- Co się tu dzieje? - zapytała.

- Seks na parkingu - poinformował ją pan Morgenstern.

Morelli spojrział na mnie pytającym wzrokiem.

- Czemu nie?

Odwrociłam się, dopadłam drzwi i wbiegłam schodami na górę. Ukroiłam sobie kawałek tortu i zadzwoniłam do Simona.

- Co słyszać?

- Możesz mi wyświadczyć przysługę.

- Nie uprawiam seksu przez telefon - oświadczyłam.

- Nie chodzi o seks przez telefon. Cholera, skąd ci to w ogóle przyszło do głowy?

- Nie wiem. Tak sobie powiedziałam.

- Chodzi o mojego psa. Muszę wyjechać z miasta na parę dni i nie ma się nim kto zająć. A ponieważ jesteś mi winna przysługę...

- Mieszkam w bloku! Nie mogę trzymać psa.

- Tylko przez parę dni. To naprawdę dobra psina.

- A schronisko?

- Nie znosi schronisk. Nic nie chce jeść. Jest przygnębiony.

- Co to za pies?

- Mały.

A niech to diabli.

- Ale tylko na kilka dni?

- Podrzuciłbym go jutro rano, a odebrał w niedzielę.

- No, nie wiem. To nie jest najlepsza pora. Mieszka u mnie babcia.

- On uwielbia starsze panie. Przysięgam. Twoja babcia będzie za nim szaleć.

Popatrzyłam na Reksa. Nie chciałabym, żeby nic nie jadł i był przygnębiony, więc domyślałam się, co Simon może odczuwać w związku ze swoim psem.

- W porządku - zgodziłam się. - O której?

- Może być około ósmej?

Otworzyłam oczy i zastanawiałam się, która to godzina. Leżałam na kanapie, była ciemna noc i poczułam zapach kawy. Przez chwilę byłam całkowicie zdezorientowana. Mój wzrok spoczął na fotelu, który stał naprzeciw kanapy, i zobaczyłam, że ktoś tam siedzi. Mężczyzna. W ciemnościach trudno było dostrzec. Wstrzymałam oddech.

- Jak poszło dzisiaj wieczór? - zapytał. - Dowiedziałas się czegoś?

Ranger. Nie było sensu pytać, jak się tu dostał, skoro okna i drzwi były zamknięte.

- Która godzina?
- Trzecia.
- Nie przyszło ci na myśl, że są ludzie, którzy śpią o tej porze?
- Pachnie tutaj lasem sosnowym - powiedział Ranger.
- To ode mnie. Za domem Hannibala rośnie sosna i teraz nie mogę pozbyć się tej żywicy. Włosy mam całkiem zlepione.

W ciemności dostrzegłam, że Ranger się uśmiecha. Usłyszałam, jak cicho się śmieje.

Usiadłam na łóżku.

- Hannibal ma przyjaciółkę. Przyjechała o dziesiątej wieczór czarnym bmw. Spędziła u niego około dziesięciu minut, dała mu list i wyszła.

- Jak ona wygląda?
- Krótkie blond włosy. Szczupła. Ładnie ubrana.
- Masz numer rejestracyjny?
- Tak. Zapisałam. Nie miałam czasu, żeby go sprawdzić.

Popijał kawę.

- Coś jeszcze?
- Tak jakby mnie widział.
- Tak jakby?
- Spadłam z drzewa na jego podwórko.
- Uśmiech zniknął mu z twarzy.
- I co?
- I powiedziałam mu, że szukam kota, ale nie wiem, czy to kupił.
- Gdyby znał cię lepiej... - zauważył Ranger.
- Potem przyłapał mnie na drzewie po raz drugi, wyciągnął broń, więc zeskoczyłam i uciekłam.
- Dobry refleks.
- Hej - powiedziałam, wskazując palcem na swoją głowę. - Nie ma tu siana.

Ranger znowu się uśmiechnął.



## Rozdział 5

- Myślałam, że nie pijasz kawy - powiedziałam do Rangera. - A co na to twoje ciało, które podobno jest świątynią?

Upił łyk.

- To część mojego przebrania. Pasuje do krótkich włosów.
- Zapuścisz włosy?
- Pewnie tak.
- I wtedy przestaniesz pić kawę?
- Zadajesz mnóstwo pytań.
- Po prostu usiłuję się w tym połapać.

Siedział rozparty w fotelu, z wysuniętymi nogami, z rękami opartymi o poręczę i utkwionym we mnie wzrokiem. Postawił filiżankę na stoliku, wstał i stanął nad kanapą. Schylił się i pocałował mnie delikatnie w usta.

- Lepiej, żeby niektóre rzeczy pozostały tajemnicą - powiedział. I ruszył w kierunku drzwi.

- Hej, poczekaj chwilę - powiedziałam. - Czy mam nadal obserwować Hannibala?

- A możesz go obserwować, nie dając się zastrzelić?

Spojrzałam na niego krzywo poprzez ciemności.

- Rozumiem - powiedział.
- Morelli chce z tobą pogadać.
- Może zadzwonię do niego jutro.

Drzwi otworzyły się i zamknęły. Ranger wyszedł. Przyłgnęłam do drzwi i popatrzyłam przez wizjer. Nie było go. Założyłam łańcuch i wróciłam do łóżka. Przetrzepałam poduszkę i wślizgnęłam się pod kołdrę.

I zaczęłam się zastanawiać nad pocałunkiem. Co miałam o nim myśleć? Przyjacielski, powiedziałam sobie. Był przyjacielski. Bez języczka. Bez macania. Bez zgrzytania zębów w gwałtownym uniesieniu. Przyjacielski pocałunek. Tyle że nie smakował jak przyjacielski. Smakował... sexy.

A niech to!

- Co zjesz na śniadanie? - zapytała babcia. - Może dobrą owsiankę?

Gdybym była sama, wybrałabym tort.

- Jasne - powiedziałam. - Owsianka będzie w sam raz.

Nalałam sobie filiżankę kawy i wtedy ktoś zapukał do drzwi. Otworzyłam i wbiegło coś dużego i pomarańczowego.

- O rany! - zdumiałam się. - A cóż to takiego?

- Pies myśliwski - powiedział Simon. - To znaczy, w większości myśliwski.

- Czy nie jest za duży jak na psa myśliwskiego? Simon wciągnął do przedpokoju dwudziestokilową torbę psiej karmy.

- Złapałem go koło stawu i tak mi powiedzieli. Pies myśliwski.

- Mówiłeś, że chodzi o małego psa.

- Kłamałem. Możesz mnie podać do sądu.

- Pies wbiegł do kuchni, wsadził nos w krocze babci i zasapał.

- Cholera - ucieszyła się babcia. - Widzę, że te moje nowe perfumy naprawdę działają. Wypróbuję je na spotkaniu seniorów.

Simon odciągnął psa od babci i wręczył mi brązową reklamówkę.

- Tu są jego rzeczy. Dwie miski, psie zabawki, gumowa kość do gryzienia, szufelka i zmiotka do kup.

- Zmiotka do kup? Hej, zaczekaj chwilę...

- Muszę lecieć - powiedział Simon. - Chcę zdążyć na samolot.

- Jak on się wabi? - krzyknęłam przez korytarz.

- Bob.

- To jest coś - podsumowała babcia. - Pies imieniem Bob.

Nalałam wody do miski Boba i postawiłam ją na podłodze w kuchni.

- On zostaje tylko na kilka dni - powiedziałam. - Simon przyjdzie po niego w niedzielę.

Babcia popatrzyła na torbę z karmą dla psa.

- Cholernie duża torba zarcia, jak na parę dni.

- Może dużo je.

- Jeśli on to zje w ciągu dwóch dni, to nie będzie ci potrzebna zmiotka do kup - oznajmiła babcia. - Będzie ci potrzebna łopata.

Odpięłam smycz Boba i powiesiłam ją na wieszaku.

- No cóż, Bob - powiedziałam. - Nie będzie tak źle. Zawsze chciałam mieć psa myśliwskiego.

Bob zamachał ogonem i popatrywał to na mnie, to na babcie.

Babcia nalala owsiankę dla nas trojga. Wzięliśmy talerze do jadalni, a Bob jadł swoją porcję w kuchni. Kiedy tam wróciliśmy, miska Boba była pusta. Kartonowe pudełko, w którym leżał tort, również.

- Zdaje się, że Bob lubi łakocie - zauważyła babcia.
- Pogroziłam mu palcem.
- To było niegrzeczne. A poza tym będziesz gruby.
- Bob pomachał ogonem.
- Może on nie jest aż tak inteligentny - powiedziała babcia.

Wystarczająco inteligentny, żeby zjeść tort. Babcia miała lekcję jazdy o dziewiętej.

- Prawdopodobnie przez cały dzień będę poza domem - poinformowała. - Dlatego nie martw się o mnie.

Po lekcji idę na deptak z Louise Greeber. A potem obejrzymy kilka mieszkań. Jeśli chcesz, mogę po południu kupić wołowinę. Pomyślałam, że na kolację niezła byłaby pieczeń rzymska.

Poczułam się winna. Babcia sama zajmowała się kuchnią.

- Teraz moja kolej - powiedziałam. - Ja zrobię tę pieczeń.
- Nie wiedziałam, że potrafisz.
- Jasne. Umiem zrobić mnóstwo rzeczy. - Wielkie kłamstwo. Nie umiem nic ugotować ani upiec.

Dałam Bobowi zabawkę i wyszłyśmy obie z babcią. W połowie korytarza babcia przystanąła.

- Co to za odgłos? - zapytała.

Przysłuchiwałyśmy się obie. Bob wyl za zamkniętymi drzwiami.

Moja sąsiadka z mieszkania obok, pani Karwatt, wyjrzała na korytarz.

- Co to za hałas?
- To Bob - powiedziała babcia. - Nie lubi sam zostawać w domu.

Dziesięć minut później jechałam samochodem w towarzystwie Boba, który wystawiał łeb przez okno, a jego uszy trzepotały na wietrze.

- A to co? - zdziwiła się Lula, kiedy weszliśmy do biura. - Kto to jest?

- Wabi się Bob. Jestem jego psią opiekunką.
- Tak? A co to za rasa?

- Pies myśliwski.
- Wygląda tak, jakby za długo siedział u fryzjera pod suszarką. Przyglądziłam część jego kudłów.
- Trzymał łeb za oknem.
- Chyba że tak - zamknęła sprawę Lula. Spuściłam Boba ze smyczy, pobiegł do Luli i powtórzył swój numer z wachaniem.
- Hej - powiedziała Lula. - Spadaj, zostawiasz ślady na moich nowych spodniach. Poklepała go po łbie. - Jak będziesz dalej tak robił, to zrobimy z ciebie sutenera.

Skorzystałam z telefonu Connie, żeby zadzwonić do mojej przyjaciółki Marilyn Truro z wydziału komunikacji.

- Muszę sprawdzić numer rejestracyjny. Masz trochę czasu? - zapytałam.

- Żarty sobie ze mnie robisz? Mam czterdziestu klientów w kolejce. Jak zobaczą, że rozmawiam przez telefon, pójdą na skargę. - Głos jej zmiękł. - Czy to ci jest potrzebne do jakiejś sprawy? W związku z jakimś mordercą, czy coś takiego?

- To może mieć związek z morderstwem Ramosa.
- Nie chrzanisz? To super!
- Podałam jej numer.

- Poczekaj - poleciła. Usłyszałam stukanie w klawiaturę i Marilyn zaraz była z powrotem. - Ten numer należy do Terry Gilman. Czy ona przypadkiem nie pracuje u Vita Grizollego?

Na chwilę zaniemówiłam. Zaraz po Joyce Barnhardt najbardziej nie cierpiałam Terry Gilman. Ponieważ w tym momencie nie przychodzi mi do głowy nic innego, powiedzmy, że umawiała się na randki z Joem w liceum, a ja czułam, że nie miałaby nic przeciwko, by odnowić tę znajomość. Terry pracuje teraz u swojego wuja Vita Grizollego, co rzuca cień na jej plany w stosunku do Joego, ponieważ Joe walczy z przestępczością, a Vito ją stwarza.

- Ho, ho! - powiedziała Lula. - Czy ja dobrze słyszę? Wtykasz swój duży nos w sprawę Ramosa?
- Przypadkiem natknęłam się...
- Lula zrobiła wielkie oczy.
- Pracujesz dla Rangera!
- Vinnie wyjrzał ze swojego gabinetu.

- To prawda? Pracujesz dla Rangera?
- Nie. To nieprawda. Nie ma w tym nawet krzty prawdy. - No co, u licha, cóż to jest jedno kłamstwo więcej?

Drzwi otworzyły się z hukiem i wkroczyła Joyce Barnhardt.

Lula, Connie i ja rzuciłyśmy się, żeby zapiąć smycz Bobowi.

- Ty głupia dziwko! - krzyknęła do mnie Joyce. - wysłałaś mnie z motyką na słońce. Ranger nie ma żadnej siostry, która pracuje w fabryce płaszczy przy Macko Street.

- Może się zwolniła - powiedziałam.
- Tak - dodała Lula. - Ludzie ciągle się zwalniają.
- Joyce popatrzyła na Boba.
- Co to jest?
- To pies - odparłam, skracając mu smycz.
- Dlaczego tak mu stoją kudły?

I o to pyta kobieta, która dodaje sobie dwadzieścia centymetrów wzrostu za pomocą fryzury przypominającej szczurzy ogon!

- Poza porywaniem się z motyką na słońce, jak ci leci w łowieniu Rangera? - zapytała Lula. - Już go namierzyłaś?

- Jeszcze nie, ale jestem coraz bliżej.

- Myślę, że łiesz - orzekła Lula. - Założę się, że nic jeszcze nie masz.

- A ja się założę, że nie masz talii - odcięła się Joyce.
- Lula pochyliła się do przodu.
- Naprawdę? Jeśli rzucę kijek, przyniesiesz go?
- Bob pomachał ogonem.
- Może później - powiedziałam do niego.
- Vinnie znowu wyjrzał ze swojego biura.
- Co tu się, u licha, dzieje? Nie słyszę własnych myśli.
- Wymieniłyśmy spojrzenia z Lula i Connie i przygryzłyśmy wargi.

- Vinnie! - zagruchała Joyce, zwracając swoje miski rozmiar C w jego stronę. - Wyglądają nieźle, co?

- Tak, nie wyglądasz najgorzej - przytaknął Vinnie. Popatrzył na Boba. - A co z tym psem z okropnymi kudłami?

- Opiekuję się nim - wyjaśniłam.
- Mam nadzieję, że zarobisz na tym kupę kasy. To psi wrak.

Pieszczotliwie podrapałam Boba za uchem.

- Myślę, że jest oryginalny. - Na swój prehistoryczny sposób.
- No więc, co się tu dzieje? - zapytała Joyce. - Macie dla mnie coś nowego?

Vinnie zastanowił się przez chwilę, popatrzył na Connie, Lulę i na mnie i wycofał się do gabinetu.

- Nic nowego - poinformowała Lula.
- Joyce popatrzyła zmrużonymi oczami na zamknięte drzwi.
- Bęczał.

Vinnie otworzył drzwi i spojrzał na Joyce wzrokiem pełnym wściekłości.

- Tak, o tobie mowa - potwierdziła Joyce.
- Vinnie schował głowę i zamknął drzwi na zasuwkę.
- Kanalia - powiedziała Joyce z wymownym gestem. Obróciła się na obcasach i wyniosła z biura. Wszystkie wzniosłyśmy oczy do góry.
- Co dalej? - zapytała Lula. - Ty i Bob macie jakieś wielkie plany na dziś?

- Wiesz... Trochę tego, trochę tamtego.
- Drzwi od gabinetu Vinniego otworzyły się.
- A może by tak trochę Morrisa Munsona? - krzyknął mój kuzyn. - Nie jestem organizacją charytatywną.

- Morris Munson to świr! - odpowiedziałam mu również krzykiem.
- Próbował mnie podpalić!

- Vinnie stanął z rękami opartymi na biodrach.
- No i co z tego?
- Cóż, nic, wszystko w porządku. Zaraz pójde złapać Morrisa Munsona. Najwyżej mnie przejedzie. Najwyżej mnie podpali i walnie mnie w głowę felgą. To przecież jest moja praca, prawda? A zatem idę ją wykonać.

- To się nazywa mieć charakter - rzekł Vinnie.
- Zaczekaj - powiedziała Lula. - Nie przepuszczę temu draniowi.

Jadę z tobą.

Wcisnęła na siebie kurtkę i porwała portfel, który był wystarczająco duży, żeby zmieścić rewolwer.

- W porządku - powiedziałam, zerkając na portfel. - Co tam masz?
- Model Tech-9.

Idealny do napadów z bronią w rękę.

- Masz na niego pozwolenie?

- Co mówisz?

- Możesz nazwać mnie wariatką, ale czułabym się znacznie lepiej, gdybyś zostawiła tutaj tę swoją pukawkę.

- Boże, ty wiesz, jak zepsuć dobrą zabawę.

- Zostaw go u mnie - powiedziała Connie. - Użyję tego gnata jako przycisku do papierów. To wprowadzi odpowiedni nastrój w biurze.

- Kurna - rzuciła krótko Lula.

Otworzyłam drzwi i Bob wybiegł na zewnątrz. Zatrzymał się przy buicku, machając ogonem i łypiąc ślepiami.

- Zobacz, jaki to bystry pies - powiedziałam do Luli. - Rozpoznaje mój samochód, chociaż jechał nim tylko raz.

- Co się stało z rollswagenem?

- Oddałam go dilerowi.

Słońce wspinało się po niebie, przeganiając poranną mgłę i ogrzewając Trenton. Fala biurokratów i sklepikarzy płynęła do centrum. Szkolne autobusy stały na parkingu, czekając, aż dzień w szkole się skończy. Gospodynie domowe pochylały się nad swoimi odkurzaczami marki Hoover. A moja przyjaciółka Marilyn Truro z wydziału komunikacji siedziała nad trzecią bezkofeinową kawą z mlekiem, zastanawiając się, czy pomogłoby jej dodanie drugiego plastra antynikotynowego do tego, który już miała na ręce, i myśląc, jakby to było dobrze, gdyby mogła udusić następną osobę w kolejce.

Lula, Bob i ja byliśmy pogrążeni we własnych myślach, jadąc Hamilton Street do fabryki guzików. Robiłam w myślach przegląd swego wyposażenia. Paralizator: lewa kieszeń. Sprej: prawa kieszeń. Kajdanki: przypięte do sprzączki z tyłu moich lewisów. Rewolwer: w domu, w misce na herbatniki. Odwaga: została w domu, razem z bronią.

- Nie wiem, jak ty - powiedziała Lula, kiedy dojechaliśmy do domu Munsona. - Ale ja nie mam zamiaru dać się dzisiaj puścić z dymem. Jestem za tym, żebyśmy wywaliły drzwi tego kolesia i przygniotły go, zanim zdąży coś podpalić.

- Jasne - zgodziłam się. - Oczywiście, wiedziałam z wcześniejszych doświadczeń, że żadna z nas nie jest w stanie wyważyć

drzwi. Jednak mimo wszystko brzmiało to dobrze, kiedy powoli dojeżdżałyśmy do krawężnika, siedząc w zamkniętym samochodzie.

Objechałam dom, wysiadłam i zajrzałam przez okno do garażu. Samochodu nie było. Choroba, niedobrze. Prawdopodobnie Munsona nie ma w domu.

- Nie widzę samochodu.
- O kurna.

Objechałyśmy dom jeszcze raz, zaparkowałyśmy auto i zastukałyśmy do frontowych drzwi domu. Nikt nie otwierał. Popatrzyłyśmy na okna od frontu. Też nic.

- Może schował się pod łóżkiem - zasugerowała Lula. - Może powinnyśmy wyważyć te drzwi.

- Zrobiłam krok do tyłu i machnęłam ręką.
- Najpierw ty.
- Niech to szlag - powiedziała Lula. - Najpierw ty.
- Nie, nie... Nalegam.
- Do diabła z twoim naleganiem. To ja nalegam.

- W porządku. Spójrzmy prawdzie w oczy. Żadna z nas nie wyważy tych drzwi.

- Potrafiłabym to zrobić, gdybym tylko chciała - świadczyła Lula. - Tylko jakoś teraz nie mam na to ochoty.

- Jasne.
- Myślisz, że nie dałabym rady zdemolować tych drzwi?
- To tylko moja sugestia.
- Hm - mruknęła Lula.

Drzwi w sąsiednim domu otworzyły się i wyjrzała z nich starsza kobieta.

- O co chodzi?
- Szukamy Morrisa Munsona - powiedziałam.
- Nie ma go w domu.
- Tak? Skąd pani wie? - zapytała Lula. - Jest pani całkiem pewna, że nie ukrywa się pod łóżkiem?

- Byłam na dworze, kiedy odjeżdżał. Wypuszczalam właśnie psa, jak Munson wyszedł z walizką. Powiedział, że wyjeżdża na jakiś czas. Domyślałam się, że mógł wyjechać na zawsze. To psychol. Aresztowali



go za zabójstwo żony i jakiś sędzia kretyń pozwolił, żeby go wypuszczono za kaucję. Wyobrażają sobie panie?

- Coś takiego! - powiedziała Lula. Kobieta przyjrzała nam się od stóp do głów.

- Domyślam się, że jesteście jego przyjaciółkami.

- Niezupełnie - wyjaśniłam. - Pracujemy dla agenta, który wpłacił za Munsona kaucję. - Wręczyłam jej wizytówkę. - Gdyby się pojawił, proszę dać mi znać.

- Oczywiście - przyrzekła kobieta. - Ale mam przeczucie, że on tu nieprędko wróci.

Bob czekał cierpliwie w samochodzie i wyglądał na uszczęśliwionego, kiedy otworzyłyśmy drzwi i wsiadłyśmy do środka.

- Może Bob chciałby zjeść śniadanie - powiedziała Lula.

- Bob już zjadł śniadanie.

- Pozwól, że postawię sprawę inaczej. Może Lula chciałaby zjeść śniadanie.

- Masz coś konkretnego na myśli?

- Myślę, że mogłabym zjeść jajko McMuffin. I koktajl waniliowy.

I frytki.

Włączyłam bieg i pojechałam w kierunku wjazdu.

- Co słysząc? - zapytał dzieciak w okienku. - Nadal szuka pani pracy?

- Zastanawiam się.

Kupiłyśmy wszystkie trzy dania i zatrzymałyśmy się na brzegu parkingu, żeby podzielić i zjeść to wszystko. Bob zjadł jajko i frytki za jednym kłapnięciem. Wychleptał koktajl i spoglądał tęsknym wzrokiem przez okno.

- Zdaje się, że Bob ma ochotę rozprostować łapy - zauważyła Lula.

Otworzyłam drzwi i wypuściłam go.

- Nie idź za daleko.

Bob wyskoczył i zaczął biegać, zataczając koła i od czasu do czasu obwąchując chodnik.

- Co on robi? - zapytała Lula. - Dlaczego biega w kółko? Dlaczego... O kurna, to nie wygląda dobrze. Bob robi chyba wielką kupę na środku parkingu. Psiakrew, patrz na to! To jest góra gówna.

Bob podszedł do buicka i siadł, machając ogonem, szczerząc zęby i czekając, aż będzie mógł wejść do środka.

Wpuściłam go, a następnie obniżyłyśmy się z Lula na siedzeniach.

- Myślisz, że ktoś to widział? - zapytałam ją.

- Myślę, że wszyscy widzieli.

- Cholera. Nie zabrałam ze sobą zmiotki do sprzątania kup.

- Zmiotki, kurczę blade! Nie podeszłabym do tego nawet w kombinezonie ochronnym i w masce.

- Nie mogę tak po prostu tego zostawić.

- Może byś po tym przejechała - doradziła Lula. - Wiesz... rozplaszczyc to.

Włączyłam silnik, cofnęłam się i skierowałam buicka na tą stertę kupy.

- Lepiej spuść szyby - powiedziała Lula.

- Gotowi?

Lula zebrała się w sobie.

- Gotowi.

Nacisnęłam na pedał gazu i ruszyłam.

Mamałyga!

Otworzyłyśmy okna i wyjrzałyśmy.

- Co o tym sądzisz? Myślisz, że powinnam przejechać jeszcze raz?

- Nie zaszkodzi - powiedziała Lula. - I na twoim miejscu zapomnialabym o pracy tutaj.

Chciałam zrobić szybkie rozeznanie siedziby Hannibala i nie wtajemniczać Luli w moje interesy z Rangerem, więc poczęstowałam ją małym kłamstwem, mówiąc, że cały dzień będę uwiązana z Bobem, i odwiozłam ją do biura. Zatrzymałam się przy krawężniku przed stopem, a za mną stanął czarny lincoln.

Wysiadł z niego Mitchell i podszedł do mojego okna.

- Nadal jeździsz tym starym buickiem - powiedział. - o musi być coś w rodzaju twojego osobistego rekordu. A co tutaj robi ten pies i ta duża lalunia?

Lula zmierzyła go wzrokiem.

- W porządku - uspokoiliam ją. - Znam go.

- Założę się, że chciałabyś, abym go zastrzeliła, czy coś w tym rodzaju? - zapytała.

- Może później.
  - Kurna - powiedziała Lula. Dźwignęła się z siedzenia i poczłapała do biura.
  - No i co będzie? - zapytał Mitchell.
  - Nic nie będzie.
  - Rozczarowujesz mnie.
  - Więc nie lubisz Alexandra Ramosa?
  - Powiedzmy, że nie jesteśmy z jednej drużyny.
  - Musi przechodzić teraz ciężkie chwile, oplakując syna.
  - Tego syna nie ma co oplakiwać - oświadczył Mitchell. - To był cholerny nieudacznik. Cholerny ćpun.
  - A Hannibal? Też bierze?
  - Nie, Hannibal nie. Hannibal to francowaty rekin. Alexander powinien nazwać go Szczęki.
  - Muszę iść - powiedziałam. - Sprawy do załatwienia. Spotkania do obskoczenia.
  - Arabus i ja nie mamy dzisiaj nic do roboty, więc pomyśleliśmy sobie, że będziemy za tobą jeździć.
  - Powinniście zmienić plany. - Mitchell uśmiechnął się.
  - I nie życzę sobie, żebyście się za mną włóczyli - strzegłam. Uśmiechnął się jeszcze szerzej.
- Rzuciłam okiem na sznur samochodów, które jechały w naszym kierunku wzdłuż Hamilton, i dostrzegłam niebieski wóz. Wydawało mi się, że to crown victoria. I wyglądało na to, że za kierownicą siedzi Morris Munson!
- Ratunku! - krzyknęłam, ponieważ Munson wjechał autem za białą linię i kierował się w moją stronę.
  - Kurza twarz! - zawył Mitchell, wpadając w panikę i podrygując w miejscu niczym ogromny tresowany niedźwiedź.
- Munson w ostatniej chwili skręcił, żeby nie wpaść na Mitchella, stracił panowanie nad kierownicą i wpakował się w lincolna. Przez chwilę wydawało się, że oba samochody się połączyły, a potem słychać było, jak Munson zapala silnik. Crown odskoczył do tyłu, przedni zderzak spadł z łoskotem na ziemię i samochód natychmiast odjechał.
- Podbiegliśmy z Mitchellem do lincolna i zajrzeliśmy do Habiba.
- Co to, do wszystkich piorunów, było? - wrzasnął Habib.

Lewy przedni błotnik był wgnieciony i blokował koło, a maska została pocięta. Wyglądało na to, że Habibowi nic się nie stało, ale cadillac nie będzie mógł nigdzie pojechać, dopóki ktoś nie odegnie łomem błotnika od koła. To dla nich prawdziwy pech. A dla mnie szczęśliwy traf. Habib i Mitchell nie będą mogli mnie śledzić przez jakiś czas.

- To szalaniec - orzekł Habib. - Widziałem jego oczy. To świr. Zapisaleś jego numer rejestracyjny?

- Wszystko działo się w takim tempie... - powiedział Mitchell. - Rany, on jechał prosto na mnie. Myślałem, że to mnie chce dorwać. Myślałem... Rany boskie, myślałem...

- Byłeś przerażony jak kobieta - powiedział Habib.

- Tak - przyznał Mitchell. - Jak córka wywłoki.

Miałam dylemat. Naprawdę chciałam im powiedzieć, kto siedział za kierownicą tego samochodu. Gdyby zabili Munsona, miałabym go z głowy. Nigdy więcej płonących koszul. Koniec z maniakiem wymachującym felgą. Niestety, w pewnym sensie byłabym też odpowiedzialna za śmierć Munsona i nie czułam się z tym najlepiej. Już raczej doprowadzę go do sądu.

- Musisz to zgłosić na policję - powiedziałam. - Poczekałabym z wami i pomogła, ale sami wiecie, jak to jest.

- Tak - odparł Mitchell. - Sprawy do załatwienia. Spotkania do obskoczenia.

Było prawie południe, kiedy przejechaliśmy koło domu Hannibala. Zaparkowałam na rogu i wykręciłam numer Rangera, żeby nagrać się na sekretarkę, że mam wiadomości. Potem przez dłuższą chwilę przygryzałam dolną wargę, zbierając się w sobie, żeby wysiąść z samochodu i tropić Ramosa.

Hej, to nic trudnego, powiedziałam sobie. Spójrz na ten dom. Ładny i cichy. A jego nie ma w domu. Tak jak wczoraj. Pójdiesz od tyłu, zerkniesz i zwiejesz. Pestka.

W porządku, dam radę. Głęboki oddech. Myśl pozytywnie. Wzięłam do ręki smycz i ruszyłam w kierunku ścieżki rowerowej za domami. Kiedy dotarłam do domu Hannibala, zatrzymałam się i słuchałam. Cisza. Poza tym Bob robił wrażenie znudzonego. Gdyby ktoś stał po drugiej stronie muru, Bob byłby zdenerwowany, prawda?

Obejrzałam mur. Zniechęcający. Zwłaszcza że kiedy byłam tu ostatnio, strzelano do mnie.

Przestań, powiedziałam sobie. Żadnych negatywnych myśli. Co w takiej sytuacji zrobiłby człowiek-pająk? Jak zachowałby się Batman? A Bruce Willis? Bruce zrobiłby rozgrzewkę, postawił nogę w tenisówce na murze i wdrapałby się na niego. Umieściłam moje sketchersy numer 38 w połowie wysokości muru, zacisnęłam dłonie na szczycie i zawisłam. Wzięłam głęboki oddech, zacisnęłam zęby i spróbowałam się podciągnąć, ale nie udało się ani o milimetr. A niech to. Bruce podciągnąłby się na sam szczyt. Ale Bruce pewnie chodzi na siłownię.

Zeskoczyłam na ziemię i wlepiłam wzrok w drzewo. W jego pniu tkwiła kula. Naprawdę nie miałam najmniejszej ochoty wdrapywać się na to drzewo. Trochę pochodziłam, rozruszałam stawy w palcach. A co z Rangerem? - zadałam sobie pytanie. Powinnaś mu pomagać. Jeśli on znalazłby się w podobnej sytuacji, wszedłby na drzewo, żeby się rozejrzeć.

- Tak, ale ja nie jestem Rangerem - powiedziałam do Boba.

Bob spojrział na mnie karcącym wzrokiem.

- W porządku - wycofałam się. - Wleżę na to głupie drzewo.

Szybko wdrapałam się na górę, rozejrzałam się, zobaczyłam, że nic się nie dzieje w domu ani w ogrodzie, i rzuciłam się na dół. Odwiązałam Boba i cichaczem wróciłam do samochodu, gdzie usadowiłam się wygodnie i czekałam, aż zadzwoni telefon. Po kilku minutach Bob przeniósł się na tylne siedzenie i ułożył do drzemki.

O pierwszej po południu nadal czekałam na telefon od Rangera i właśnie pomyślałam, że chętnie zjadłabym lunch, kiedy drzwi od garażu Hannibala otworzyły się i wyjechał z niego zielony jaguar.

Niech to szlag, dom wcale nie był pusty!

Drzwi się zamknęły, jaguar skręcił i pojechał w przeciwną stronę, w kierunku autostrady. Trudno powiedzieć, kto siedział za kierownicą, ale założę się, że był to Hannibal. Włączyłam silnik i popędziłam za nim, namierzając go, jak opuszczał wyjazd na autostradę. Zostałam tak daleko w tyle, jak tylko mogłam, żeby nie stracić go z pola widzenia.

Minęliśmy centrum miasta, jadąc na południe, a potem w kierunku wschodnim, na autostradę międzystanową. W Monmouth konie jeszcze

nie biegały, a „Wielka Przygoda” była nadal zamknięta. W znacznym stopniu skracało to drogę do Deal.

Bob traktował moje podniecenie ze stoickim spokojem, pochrapując na tylnym siedzeniu. Nie mogłam tego samego powiedzieć o sobie. Nie zajmowałam się na co dzień tropieniem mafiosów. Chociaż z formalnego punktu widzenia Hannibal Ramos nie był członkiem mafii. Nie miałam co do tego całkowitej pewności, ale w moim rozumieniu mafia opierała się na innych układach niż kartel handlarzy bronią.

Przy Parkway Hannibal zjechał na drogę numer 195, przejechał dwa wyjazdy w kierunku północnym, potem zawrócił w stronę Asbury Park, gdzie skręcił w lewo na Ocean Avenue i ruszył w kierunku Deal. Deal to miasteczko nad oceanem, w którym ogrodnicy próbują hodować trawę w niesprzyjającym temu powietrzu, przesyconym solą, niańki przyjeżdżają do pracy z pobliskiego Long Branch, a wartość nieruchomości przewyższa średnią krajową. Domy są ogromne i nie-rzadko prowadzą do nich zamykane bramy. Mieszkają tu przeważnie chirurdzy plastyczni i handlarze dywanów. Jedynym pamiętnym wydarzeniem, które miało miejsce w Deal, było zastrzelenie gangstera Benny’ego Raguchiego, zwanego Rybą, w motelu „Morska Bryza” w 1982 roku.

Hannibal był o dwa samochody przede mną. Zwolnił i włączył prawy kierunkowskaz, chcąc skręcić do obwarowanego murem domu, do którego prowadziła brama wjazdowa. Dom stał na wydmie, więc drugie piętro i dach były widoczne z ulicy, a resztę posiadłości zasłaniał mur z różowych kamieni. Brama była gustowna, kute żelazo, z wolutami. Alexander Ramos, międzynarodowy handlarz bronią i słynny macho, mieszka w różowym domu, otoczonym różowym murem. Trudno to sobie wyobrazić. W Burg to byłoby nie do pomyślenia. Mieszkanie w różowym domu w Burg zostałoby potraktowane na równi z kastracją.

Zapewne różowe kamyczki miały charakter bardzo śródziemnomorski. I zapewne w lecie, kiedy rolety były odsłonięte, meble wystawione na werandę, a upalne słońce zalewało wybrzeże Jersey, dom ożywiał się. W marcu jednak wyglądał tak, jakby czekał na prozac, który mu doda energii. Blady, zimny i otepiały.

Przejeżdżając koło domu, rzuciłam okiem na człowieka, który wysiadał z jaguara. Sylwetka i kolor włosów, takie same, jak u Hannibala, więc to musiał być on. Oczywiście pod warunkiem, że to Hannibal widział mnie znowu na drzewie, a potem obserwując mnie z ulicy, że to nie jego sąsiad przemknął podwórkami i jechał jaguarem do Deal tylko po to, żeby się mnie pozbyć.

- Co o tym sądzisz? - zapytałam Boba.

Bob otworzył jedno oko, zerknął na mnie bezmyślnie i znowu zasnął.

Byłam takiego samego zdania.

Pojechałam kilkaset metrów wzdłuż Ocean Avenue, zawróciłam i jeszcze raz przejechałam koło różowego domu. Zatrzymałam się za rogiem, tak żeby nie było mnie widać.

Schowałam włosy pod czapkę z daszkiem z wizerunkiem zespołu Metallica, włożyłam ciemne okulary, wzięłam Boba na smycz i ruszyłam w kierunku twierdzy Ramosa. Deal to cywilizowane miasteczko ze staroświeckimi chodnikami z cementu, które zostały zaprojektowane z myślą o nianiach i wózkach dla dzieci. Świetnie nadawały się dla szpiegów, którzy udawali ludzi wyprowadzających psy na spacer.

Byłam jakieś sto metrów od bramy wjazdowej, kiedy podjechał czarny cadillac. Brama otworzyła się i samochód wjechał do środka. Z przodu siedziało dwóch mężczyzn. Tylne szyby były zaciemnione. Szarpnęłam za smycz Boba i pozwoliłam mu trochę powęszyć. Cadillac zatrzymał się przed wejściem w kształcie portyku i wysiedli z niego dwaj mężczyźni. Jeden z nich poszedł wyjąć rzeczy z bagażnika. Drugi otworzył tylne drzwi dla pasażera. Pasażer wyglądał na sześćdziesiątkę. Średniego wzrostu. Szczupły. Ubrany w sportową kurtkę i półbuty. Kręcone szpakowate włosy. Ze sposobu, w jaki wszyscy koło niego skakali, wywnioskowałam, że to Alexander Ramos. Zapewne przyleciał na pogrzeb syna. Hannibal wyszedł, żeby przywitać się ze staruszką. Młodsza, szczuplejsza wersja Hannibala pojawiła się w drzwiach, ale nie zeszła po schodach. Ulysses, średni syn, pomyślałam.

Żaden z nich nie wyglądał na szczególnie ucieszonego tym zjazdem rodzinnym. Biorąc pod uwagę okoliczności, wydawało się to zrozumiałe. Hannibal powiedział coś do staruszka. Staruszek

wyprostował się i zdzielił go przez łeb. To nie było silne uderzenie. Nie takie, które ma na celu nokaut przeciwnika. To było raczej stwierdzenie. Głupiec.

Jednak odruchowo się wzdrygnęłam. Nawet z tej odległości dostrzegłam, że Hannibal zacisnął zęby.



## Rozdział 6

Przez całą drogę do domu jedna rzecz nie dawała mi spokoju. Czy ojciec oplakujący śmierć syna przywitałby się ze swoim pierworodnym, waląc go w łeb?

- Hej, co ty wiesz? - powiedziałam do Boba. - Może startują w konkursie na najbardziej patologiczną rodzinę roku.

Mówiąc prawdę, to miłe odkryć, że istnieje rodzina, która jest bardziej patologiczna niż moja własna. Zresztą moja rodzina nie jest aż tak pokrecona, oczywiście według standardów panujących w Jersey.

Kiedy dojechałam do Hamilton, zatrzymałam się przy sklepie Rite'a, wyjęłam komórkę i zadzwoniłam do mamy.

- Jestem pod sklepem mięsnym - powiedziałam. - chcę zrobić pieczeń rzymską. Co mam kupić?

Po drugiej stronie słuchawki zapadła cisza, a ja już wyobraziłam sobie matkę, która właśnie się przeżegnała i zastanawia się, co mogło sprawić, że jej córka chce zrobić pieczeń rzymską, łudząc się nadzieją, że chodzi o mężczyznę.

- Pieczeń rzymską - powiedziała w końcu.

- To dla babci - wyjaśniłam jej. - Miała ochotę na pieczeń rzymską.

- Oczywiście - ucieszyła się moja matka. - O czym ja myślałam?

Kiedy wróciłam do domu, znowu zadzwoniłam do matki.

- W porządku, jestem już w domu - powiedziałam. - Co się teraz z tym robi?

- Mieszasz wszystko, wkładasz do brytfanki i wstawiasz na godzinę do piekarnika nagrzanego do stu osiemdziesięciu stopni.

- Nic nie mówiłaś o żadnej brytfance, kiedy byłam w sklepie - zajęczałam.

- Nie masz brytfanki?

- Oczywiście, że mam brytfankę. Chciałam tylko powiedzieć, że... Nieważne.

- Powodzenia - powiedziała mama. Bob siedział na środku kuchni, próbując to wszystko zrozumieć.

- Nie mam brytfanki - pożaliłam się Bobowi. - Ale przecież nie możemy pozwolić, żeby taki drobiazg nam przeszkodził, prawda?

Wrzuciłam do miski mielone mięso i resztę składników niezbędnych do przyrządzenia pieczeni rzymskiej. Dodałam jajko i obserwowałam, jak rozplywa się po powierzchni. Zamieszałam wszystko łyżką.

- Rany boskie - poskarżyłam się Bobowi.

Bob pomachał ogonem. Wyglądało na to, że jest żarłokiem. Znow zamieszałam masę łyżką, ale jajko nie chciało się z nią połączyć. Wzięłam głęboki oddech i zanurzyłam w mięsie obie dłonie. Po kilku minutach ręcznego mieszania wszystkie składniki połączyły się w jednolitą masę. Ulepiłam z niej bałwana. Potem Humpty Dumpty'ego. Następnie wszystko wyrównałam. Masa bardzo przypominała to, co zostawiłam na parkingu przy McDonalddie. W końcu uformowałam z niej dwie kule.

Na deser kupiłam mrożony placek z kremem bananowym, przełożyłam ciasto z aluminiowej tacki na talerz, a tackę wykorzystałam jako brytfankę.

- Potrzeba jest matką wynalazku - pouczyłam Boba. Umieściłam mięsne kule w piekarniku, obrałam ziemniaki i nastawiłam je, otworzyłam puszkę z przecierem z kukurydzy i przełożyłam go do miski, żeby tuż przed podaniem podgrzać danie w mikrofal. Gotowanie nie jest takie straszne, pomyślałam. W rzeczywistości bardzo podobne do seksu. Czasami z początku nie wygląda zachęcająco, ale skoro się już zacznie...

Nakryłam stół na dwie osoby, a kiedy skończyłam, zadzwonił telefon.

- Cześć, laluniu - powiedział Ranger.

- Sam jesteś lalunia. Mam wiadomości. Samochód, który widziałam u Hannibala zeszłej nocy, należy do Tery Gilman. Powinnam była ją rozpoznać, jak wysiadła z auta, ale widziałam tylko jej plecy i nie spodziewałam się, że to może być ona.

- Zapewne przyjechała przekazać kondolencje od Vita.

- Nie wiedziałam, że Vito przyjaźni się z Ramosem.

- Vito i Alexander współpracują ze sobą.

- Jeszcze coś - powiedziałam. - Dzisiaj rano pojechałam za Hannibalem do jego domu w Deal. - Następnie opowiedziałam Rangerowi o staruszku w cadillacu, o uderzeniu w głowę i o

pojawieniu się młodego mężczyzny, który prawdopodobnie był Ulyssesem Ramosem.

- Skąd wiesz, że to był Ulysses?

- Domyśliłam się. Jest podobny do Hannibala, tylko szczuplejszy.

Na chwilę zapadła cisza.

- Chcesz, żebym nadal obserwowała jego dom w mieście?

- Rób wywiad raz na jakiś czas. Chcę wiedzieć, czy ktoś tam mieszka.

- Nie dziwi cię to, że Ramos uderzył w głowę swojego syna? - zapytałam.

- Nie wiem - przyznał Ranger. - W mojej rodzinie ciągle się bijemy.

Potem rozłączył się i przez kilka minut stałam bez ruchu, zastanawiając się, co przeoczyłam. Ranger zwykle trzymał język za zębami, ale krótkie milczenie i nieznaczną zmianę modulacji głosu mówiły mi, że usłyszał ode mnie coś interesującego. Przeanalizowałam naszą rozmowę i nie dostrzegłam w niej nic nadzwyczajnego. Ojciec i dwóch braci spotkało się z powodu tragedii rodzinnej. Zdziwiła mnie reakcja Alexandra w odpowiedzi na powitanie Hannibala, ale miałam wrażenie, że nie to przykuło uwagę Rangera.

Babcia weszła do mieszkania, słaniając się na nogach.

- Ludzie, co za dzień! - poskarżyła się. - Jestem wykończona.

- Jak tam lekcja jazdy?

- Całkiem nieźle, jak sądzę. Nikogo nie przejechałam. Nie skasowałam auta. A tobie jak minął dzień?

- Mniej więcej podobnie.

- Wybierałyśmy się z Louise do centrum, żeby odbyć wzmacniający spacer dla starszych ludzi, ale zboczyłyśmy do sklepów. A potem, po lunchu, poszłyśmy obejrzeć mieszkania. Widziałam kilka, w których mogłabym zamieszkać, ale żadne mi do końca nie przypasowało. Jutro idziemy zobaczyć parę mieszkań w blokach spółdzielczych. - Babcia wetknęła nos do garnka z ziemniakami. - To jest coś. Wracam do domu po całodziennym bieganinie, a tu czeka na mnie obiad. Czuję się prawie jak mężczyzna.

- Na deser jest placek z kremem bananowym - powiedziałam - ale musiałam wykorzystać tackę na pieczeń.

- Babcia zerknęła do lodówki na placek.
- Może powinniśmy go zjeść, zanim się rozmrozi i straci kształt.

Uznałam, że to dobry pomysł, więc zjadłyśmy po kawałku, a mięso dalej się piekło.

Jako mała dziewczynka nigdy nie pomyślałabym, że babcia jest osobą, która najpierw rzuci się na placek. Jej dom zawsze był schludny i lśnił czystością. Meble były z ciemnego drzewa, tapicerka praktyczna, ale nijaka. Posiłki, jak nakazywała tradycja w Burg, zawsze gotowe na dwunastą i osiemnastą. Gołąbki, dziczyzna, pieczony kurczak, czasami szynka lub pieczeń wieprzowa. Mój dziadek nie zjadłby nic innego. Miał ustalone przekonania i pomniejszał pokoje w ich domku szeregowym. Prawda jest taka, że czubek głowy babci sięgał mojego podbródka, a dziadek był niewiele wyższy. Ale przecież wielkość nie ma nic wspólnego z centymetrami.

Później zastanawiałam się, kim byłaby moja babcia, gdyby nie wyszła za męża za mojego dziadka. Ciekawa jestem, czy o wiele wcześniej nie zaczęłaby najpierw rzucać się na deser. Przed posiłkiem.

Wyjęłam mięsne kule z piekarnika i przełożyłam je na talerz. Leżąc tak obok siebie, wyglądały jak narządy płciowe trolla.

- Spójrz na tych dużych chłopców - powiedziała babcia. - Przypominają mi twojego dziadka, oby spoczywał w spokoju.

Kiedy zjadłyśmy, zabrałam Boba na spacer. Latarnie były zapalone, a w oknach domów, które stały za moim blokiem, świeciły się światła. Minęliśmy kilka budynków w błogiej ciszy. Jest to jedna z zalet psów. Nie gadają za dużo, więc możesz iść przed siebie, zagłębiając się we własne myśli i układając w głowie listę spraw do załatwienia.

Na mojej liście było złapanie Morrisa Munsona, lęk o Rangera i zastanawianie się nad Morellim. Nie wiedziałam za bardzo, co mam z nim zrobić. Serce czuło miłość. Głowa nie była tego taka pewna. Nie miało to żadnego znaczenia, bo Morelli nie chciał się żenić. To ja, ze swoim bijącym zegarem biologicznym, myślałam o małżeństwie, a wokół mnie było tylko niezdecydowanie.

- Nie cierpię tego! - zwróciłam się do Boba.

Bob przystanął i obejrzał się na mnie, jakby chciał powiedzieć: „Co to za wielki problem tam z tyłu?”. Ale co Bob mógł wiedzieć na ten temat? Ktoś obciął mu siusiaka, kiedy był szczeniakiem. Została mu

fałdka zbędnej skóry i mgliste wspomnienie. Bob nie miał matki, która czekała na wnuki. Bob nigdy nie czuł tej presji!

Kiedy wróciłam, babcia spała przed telewizorem. Napisałam na karteczce, że muszę na chwilę wyjść, przyczepiłam ją do swetra babci, nakazałam Bobowi, żeby się przyzwoicie zachowywał i nie gryzł mebli. Rex był zagrzebany w trocinach i spał obok kawałka placka. W gospodarstwie Stephanie Plum wszystko było na swoim miejscu.

Pojechałam prosto do domu Hannibala. Była ósma wieczór i dom wyglądał na pusty, ale przecież zawsze tak wyglądał. Zaparkowałam dwie ulice dalej, wysiadłam z samochodu i poszłam na tyły domu. Nie świeciło się w żadnym oknie. Wspięłam się na drzewo i popatrzyłam na ogród Hannibala. Całkowita ciemność. Zeszłam z drzewa, wróciłam na ścieżkę i pomyślałam, że jest tu dziwnie strasznie. Czarne drzewa i krzaki. Księżyc nie oświetlał drogi. Jedyne jakiś nikły promyk światła padał z okien.

Nie chciałabym natknąć się teraz na jakiegoś zbira. Ani na Munsona. Ani na Hannibala Ramosa. Może nawet nie na Rangera... Chociaż on był zły w bardzo intrygujący sposób.

Przestawiłam auto tam, gdzie kończył się szereg domków, stąd było lepiej widać. Odsunęłam siedzenie, zamknęłam drzwi, obserwowałam i czekałam.

Nie minęło wiele czasu, kiedy poczułam, że jestem tym czekaniem znużona. Żeby czas szybciej mi zleciał, zadzwoniłam do Morellego.

- Zgadnij kto? - powiedziałam.
  - Babcia się wyprowadziła?
  - Nie. Pracuję, a ona jest w domu z Bobem.
  - Z Bobem?
  - Psem Briana Simona. Opiekuję się nim przez ten czas, kiedy Simon jest na urlopie.
  - Simon nie jest na urlopie. Widziałem go dzisiaj.
  - Co?
  - Nie mogę uwierzyć, że dałaś się złapać na jego kit z wakacjami - oświadczył Morelli. - Simon usiłuje pozbyć się tego psa, odkąd go ma.
  - Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś?
  - Nie wiedziałem, że ma zamiar ci go dać.
- Zmarszczyłam brwi.

- Śmiejesz się? Czy ja słyszę śmiech?

- Nie. Przysięgam.

Ale to był śmiech. Ten szczur się śmiał.

- To nie jest powód do śmiechu - oświadczyłam. - Co ja teraz zrobię z tym psem?

- Myślałem, że zawsze chciałaś mieć psa.

- Tak... Kiedyś. Ale nie teraz! Ten pies wyje. Nie lubi zostawać sam.

- Gdzie jesteś? - zapytał Morelli.

- Tajemnica.

- Chryste, chyba nie sterczysz znowu pod domem Hannibala?

- Nie. Nie robię tego.

- Mam ciasto - rzekł kusząco. - Może wpadłabyś na ciasto?

- Kłamiesz. Nie masz żadnego ciasta.

- Ale mógłbym mieć.

- Nie mówię, że sterczę pod domem Hannibala, gdyby jednak tak było, sądziś, że to miałyby sens?

- Mogę ci tylko powiedzieć, że Ranger dysponuje garstką ludzi, którym ufa, i właśnie oni obserwują rodzinę Ramosa. Natknąłem się na kogoś koło domu Homera w Hunterdon County, wiem także, że jest ktoś w Deal. Ty siedzisz na Fenwood Street. Nie wiem, czego Ranger szuka, ale domyślam się, że wie, co robi. Posiada informacje na temat tej zbrodni, których my nie posiadamy.

- Wygląda na to, że nikogo nie ma w domu - oznajmiłam.

- Alexander jest w mieście, więc Hannibal pewnie przeprowadził się do południowego skrzydła rezydencji w Deal. - Morelli odczekał chwilę. - Ranger prawdopodobnie chce, żebyś tam siedziała, ponieważ jesteś bezpieczna. Chce, żebyś miała poczucie, że coś robisz, bo wtedy nie wpakujesz się w tarapaty. Zdaje się, że powinnaś dać sobie spokój i po prostu wpaść do mnie.

- Niezły pomysł, ale ja sądzę inaczej.

- I tak warto było spróbować - orzekł Morelli.

Rozłączyliśmy się i zajęłam się z powrotem węszeniem. Morelli pewnie miał rację, Hannibal przebywał teraz na wybrzeżu. Istniał tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać: obserwować i czekać. O północy Hannibala nadal nie było. Zmarzły mi stopy i miałam

serdecznie dość siedzenia w samochodzie. Wysiadłam i rozprostowałam kości. Jeszcze tylko rzucę okiem na tył domu i zbieram się.

Szłam ścieżką rowerową, trzymając w dłoni sprej. Było ciemno jak w piekle. Żadnego światła. Wszyscy wokół spali. Dostałam się do tylnego wejścia do domu Hannibala i popatrzyłam w okna. Zimne, ciemne szyby. Miałam już odejść, kiedy usłyszałam stłumiony odgłos spuszczenia wody. Nie było żadnej wątpliwości, skąd wydobywał się ten dźwięk. Z domu Hannibala. Ciarki przeszły mi po plecach. W tych ciemnościach ktoś mieszkał. Zamarłam, wstrzymując oddech i nasłuchując każdą cząsteczką ciała. Nie docierały więcej żadne odgłosy ani oznaki życia. Nie miałam pojęcia, co to może znaczyć, ale byłam do głębi przerażona. Pognałam wzdłuż ścieżki, pobiegłam przez trawnik do samochodu i zwałam.

Kiedy stanęłam w drzwiach, Rex kręcił się w swoim kole, a Bob podbiegł do mnie z błyszczącymi ślepiami, sapiąc w oczekiwaniu na poklepanie po łbie i jedzenie. Przywitałam się z Reksem i dałam mu rodzynka. Potem podsunęłam kilka rodzyneków Bobowi, co sprawiło, że zaczął machać ogonem tak gwałtownie, iż cała tylna część jego ciała ruszała się z prawa na lewo.

Postawiłam pudełko z rodzynekami na kuchennej ladzie i poszłam do łazienki. Kiedy wróciłam, rodzynki zniknęły. Zostało po nich tylko zaślinione i poszarpane pudełko.

- Masz zaburzenia przewodzenia pokarmowego - powiedziała do Boba. - Każdy, kto się na tym zna, powie ci, że nałogowe obżeranie się nie jest najlepszym rozwiązaniem. Zanim się zorientujesz, skóra na tobie pęknie.

Babcia zostawiła mi w pokoju gościnnym poduszkę i kołdrę. Zrzuciłam buty, wpełzłam pod kołdrę i w ciągu sekundy zasnęłam.

Obudziłam się z uczuciem zmęczenia i dezorientacji. Popatrzyłam na zegarek. Druga. Spojrzałam w ciemność.

- Ranger?
- Co to za pies?
- Opiekuję się nim. Zdaje się, że nie ma zbyt wiele cech psa obronnego.
- Gdyby tylko mógł znaleźć klucz, na pewno otworzyłby mi drzwi.

- Wiem, że poradzić sobie z zamkiem to pestka, ale co zrobiłeś z łańcuchem?

- Tajemnica zawodowa.
- To także mój zawód.

Ranger wręczył mi dużą kopertę.

- Przejrzyj te zdjęcia i powiedz mi, kogo rozpoznajesz.

Usiadłam, zapaliłam lampkę nocną i otworzyłam kopertę. Rozpoznałam Alexandra Ramosa i Hannibala. Były tam również zdjęcia Ulyssesa, Homera Ramosa i dwóch kuzynów. Wszyscy czterej byli do siebie podobni; każdy z nich mógł być człowiekiem, którego widziałam w drzwiach domu w Deal. Oczywiście z wyjątkiem Homera, który nie żył. Na zdjęciu z Homerem Ramosem była jeszcze jakaś kobieta. Niska, o blond włosach. Uśmiechała się. Homer obejmował ją i też się do niej uśmiechał.

- Kto to jest?

- Ostatnia przyjaciółka Homera. Nazywa się Cynthia Lotte. Pracuje w centrum. Recepcjonistka u kogoś, kogo znasz.

- O rany! Teraz poznaję. Pracuje u mojego byłego męża.
- Tak - stwierdził Ranger. - Świat jest mały.

Powiedziałam mu o ciemnym domu Hannibala, w którym nie dostrzegłam żadnych oznak czyjejś obecności, i o odgłosie spuszczonej wody.

- Co to znaczy? - zapytałam Rangera.
- To znaczy, że w tym domu ktoś jest.
- Hannibal?
- Hannibal jest w Deal.

Ranger zgasił lampkę i wstał. Był w czarnym podkoszulku, czarnej wiatrówce z goreteksu i czarnych spodniach, wpuszczonych w czarne buty, styl wojskowy. Dobrze ubrany miejski Ranger. Założę się, że każdy facet, który spotkałby go na pustej ulicy, miałby pełno w gaciach. A każda kobieta oblizywałaby suche wargi i sprawdzała, czy ma zapięte wszystkie guziki. Objął mnie wzrokiem, trzymając ręce w kieszeniach. Jego twarz ledwie było widać w ciemnościach pokoju.

- Zechciałabyś odwiedzić swojego eks i sprawdzić Cynthię Lotte?
- Jasne. Coś jeszcze?

Uśmiechnął się, a kiedy odpowiadał, zmiękł mu głos.



- Nie wtedy, kiedy twoja babcia śpi w pokoju.

A niech to.

Kiedy wyszedł, założyłam łańcuch i zwałam się na łóżko, rozmyślając. Przychodziły mi do głowy erotyczne myśli. Nie było cienia wątpliwości. Byłam zdesperowaną dziwką. Popatrzyłam w stronę nieba, natykając się wzrokiem jedynie na sufit.

- To wszystko przez hormony - powiedziałam do kogokolwiek, kto mógł mnie słyszeć. - To nie moja wina. Mam zbyt dużo hormonów.

Wstałam, wypiliśmy szklankę soku pomarańczowego, wróciłam na kanapę i rozmyślałam dalej, ponieważ babcia chrapała tak głośno, że obawiałam się, by nie wessała języka do gardła i nie udusiła się.

- Czyż to nie cudowny poranek? - zagadnęła babcia, idąc do kuchni. - Mam ochotę na ciasto!

Popatrzyłam na zegarek. Szósta trzydzieści. Zwlokłam się z łóżka i poszłam do łazienki, gdzie długo stałam pod prysznicem, w podłym nastroju. Wyszłam spod prysznica i popatrzyłam na swoje odbicie w lustrze nad umywalką.

Miałam ogromnego syfa na policzku. Czyż to nie wspaniałe? Muszę zobaczyć się z moim byłym mężem, mając taki ohydny pryszcz na policzku. Pewnie Pan Bóg mnie pokarał za wczorajsze lubieżne myśli.

Pomyślałam o rewolwerze kalibru 38 w misce na herbatniki. Zacisnęłam dłoń w pięść, wystawiłam palec wskazujący, a kciuk podniosłam do góry. Przyłożyłam palec wskazujący do skroni i powiedziałam:

- Pif, paf!

Ubrałam się w stylu Rangera. Czarny podkoszulek, czarne spodnie, czarne buty. Wielki pryszcz na twarzy. Wyglądałam jak idiotka. Zdjęłam czarny podkoszulek, spodnie i buty i wskoczyłam w biały podkoszulek, flanelową koszulę w kratkę i levisy z małą dziurką w kroku, co do której byłam przekonana, że nikt jej nie zobaczy. To był strój odpowiedni dla kogoś z pryszczem.

Kiedy wyszłam z łazienki, babcia czytała gazetę.

- Skąd ją masz? - zapytałam.

- Pożyczyłam od tego miłego pana, który mieszka po przeciwnej stronie korytarza. Tylko on jeszcze nic o tym nie wie.

Babcia czytała szybko.

- Lekcję jazdy mam dopiero jutro, więc idziemy z Louise obejrzeć kilka mieszkań. Sprawdzalam też, co slychać na rynku pracy, i wyglada na to, że jest mnóstwo ciekawych ofert. Szukają kucharzy, sprzątaczek, wizażystek i sprzedawców do salonów samochodowych.

- A gdybyś mogła mieć dowolną pracę, to jaki zawód wybrałabyś?
- To proste. Zostałabym gwiazdą filmową.
- Byłabyś niezła - powiedziałam.

- Jasne. Chciałabym być najlepsza. Niektóre części ciała odmawiają mi posłuszeństwa, ale nogi nadal mam niezłe.

Popatrzyłam na nogi babci, które wystawały spod sukienki. Myślę, że wszystko jest względne.

Bob stał już pod drzwiami, więc zapięłam mu smycz i wyszliśmy. Proszę, proszę, od rana ćwiczę. Po dwóch tygodniach wyprowadzania Boba będę musiała kupić nowe ubrania, bo zrobię się chuda jak szczapa. Świeże powietrze nie zaszkodzi też mojemu pryszczowi. Do licha, może nawet całkiem go wyleczy. Zanim wrócę do mieszkania, pryszcz zniknie.

Spacerowaliśmy z Bobem w całkiem niezłym tempie. Skręciliśmy za róg i weszliśmy na parking, gdzie zobaczyłam Habiba i Mitchella, którzy czekali na mnie w swoim dziesięcioletnim dodge'u, całym pokrytym jakimiś paskudztwami. Neon na dachu reklamował sklep z dywanami „Art's”. Latająca maszyna była przy tym szczytem dobrego smaku.

- Niech mnie kule biją! - zdumiałam się. - Cóż to jest?

- To, co można było kupić z ogłoszeń ekspresowych - wyjaśnił Mitchell. - I na twoim miejscu nie robiłbym z tego afery, bo to czuły punkt. Nie chciałbym zmieniać tematu, ale zaczynamy się niecierpliwić. Nie mamy zamiaru cię straszyć, ale będziemy musieli zrobić naprawdę coś ekstra, jeśli nie dostarczysz nam wkrótce swojego narzeczonego.

- Czy to ma być groźba?

- No tak, jasne - potwierdził Mitchell. - To jest groźba. Habib siedział za kierownicą w wielkim kołnierzu ortopedycznym. Nie wykazywał głębszego zainteresowania.

- Jesteśmy zawodowcami - dodał Mitchell. - Nie daj się zwieść naszym uprzejmym zachowaniem.

- Tak, właśnie - powiedział Habib.  
- Zamierzacie włóczyć się dzisiaj za mną? - zapytałam.  
- Taki mamy plan - przyznał Mitchell. - Spodziewam się, że dokonasz czegoś ciekawego. Nie chciałbym spędzić dnia na przyglądaniu się damskim pantoflom na deptaku. Tak jak powiedzieliśmy, nasz szef zaczyna się wkurzać.

- Dlaczego wasz szef chce dorwać Rangera?  
- Ranger ma coś, co należy do szefa, i chciałby omówić z nim tę sprawę. Możesz mu o tym powiedzieć.

Podejrzewałam, że omawianie tej sprawy mogłoby pociągnąć za sobą fatalne skutki.

- Przekażę mu, jeśli otrzymam od niego jakieś wiadomości.  
- Powiedz mu, że jeśli odda to, co ma, będzie w porządku. Wszystko pójdzie w niepamięć. Bez urazy.

- Mhm. Dobra, muszę lecieć. Do zobaczenia, chłopaki.  
- Byłbym wdzięczny, gdybyś wychodząc z domu, przyniosła mi aspirynę - powiedział Habib. - Mam uraz kręgosłupa szyjnego.

- Nie wiem, jak ty - zwróciłam się do Boba, kiedy wsiedliśmy do windy - ale ja jestem lekko przerażona.

Kiedy weszłam do domu, babcia czytała Kekswi komiksy. Bob przysunął się, żeby się przyłączyć do zabawy, a ja zabrałam telefon do pokoju gościnnego, żeby zadzwonić do Briana Simona.

Simon podniósł słuchawkę po trzecim sygnale.

- Halo.  
- To była krótka wycieczka - powiedziałam.  
- Kto mówi?  
- Stephanie.  
- Skąd masz mój numer? Jest zastrzeżony.  
- Jest nadrukowany na obroży twojego psa.  
- Ach.  
- Mam nadzieję, że teraz, kiedy już wróciłeś do domu, wpadniesz po Boba.

- Dzisiaj jestem trochę zajęty...  
- Nie ma sprawy. Podrzucę go. Gdzie mieszkasz?  
- Zapadło milczenie.

- W porządku, sprawa wygląda tak - powiedział Simon - że właściwie nie chcę zabrać Boba.

- To twój pies!

- Już nie. Według prawa, masz z niego dziewięć dziesiątych. Ty masz jedzenie. Ty masz zmiotkę do kup. Ty masz psa. Posłuchaj, to sympatyczne zwierzę, ale zabiera mi za dużo czasu. Poza tym swędzi mnie nos. Myślę, że to alergia.

- A ja myślę, że dupek z ciebie. Simon westchnął.

- Nie jesteś pierwszą kobietą, która mi to mówi.

- Nie mogę go trzymać u siebie. Wyje, kiedy wychodzę z domu.

- Skąd ja to znam! A jak go zostawisz samego, to zjada meble.

- Słucham? Co to znaczy: zjada meble?

- Zapomnij o tym. Nie to miałem na myśli. Nie zjada mebli. To znaczy, żucie nie oznacza jeszcze zjadania. A właściwie on nawet nie żuje. O cholera - powiedział Simon. - Powodzenia. - I odłożył słuchawkę.

Wykręciłam jeszcze raz jego numer, ale nie odebrał telefonu.

Odniosłam aparat do kuchni i dałam Bobowi miskę psich chrupek na śniadanie. Sobie nalałam filiżankę kawy i zjadłam kawałek placka. Został jeszcze jeden, więc poczęstowałam Boba.

- Nie jesz mebli, prawda? - zapytałam. Babcia siedziała rozparta przed telewizorem, oglądając prognozę pogody.

- Nie przejmuj się dzisiejszą kolacją - powiedziała. - Możemy zjeść mięso z wczoraj.

Podniosłam kciuk do góry w geście „tak trzymać”, ale była pochłonięta sprawą pogody przewidywanej dla Cleveland, więc nie widziała mnie.

- Chyba muszę już wyjść - poinformowałam ją.

Babcia kiwnęła głową.

Wyglądała na wypoczętą. Ja czułam się, jakby przejechał po mnie czołg. Brakowało mi snu. Te wizyty w środku nocy i chrapanie babci zrobiły swoje. Wysłam z mieszkania i powlokłam się na dół. Kiedy czekałam na windę, oczy same mi się zamykały.

- Jestem wykończona - poskarżyłam się Bobowi. - potrzebuję więcej snu.

Pojechałam do rodziców, gdzie wkroczyliśmy do domu razem z Bobem. Mama tłukła się po kuchni, ponieważ właśnie robiła placek z jabłkami.

- To pewnie jest Bob - powiedziała. - Babcia powiedziała mi, że masz psa.

Bob podbiegł do mamy.

- Nie! - krzyknęła. - Jak śmiesz!

Bob zatrzymał się tuż przed nią i popatrzył na mnie.

- Wiesz, o co chodzi - zwróciłam się do Boba.

- Co za dobrze wychowany pies - oświadczyła mama.

- Zwędziłam kawałek jabłka z placka.

- Czy babcia powiedziała ci również o tym, że chrapie, wstaje bladym świtkiem i ogląda bez przerwy kanał z prognozami pogody? - Nalałam sobie filiżankę kawy. - Pomocy - zwróciłam się do kawy.

- Zdaje się, że przed pójściem spać lubi wypić parę łyków alkoholu - poinformowała mnie mama. - Zawsze chrapie, kiedy wypije sobie parę głębszych.

- To nie może być z tego powodu. Nie mam w domu ani grama alkoholu.

- Zajrzyj do szafy. Zwykle trzyma tam alkohol. Zawsze wyrzucam stamtąd butelki.

- To znaczy, że sama go kupuje i chowa w szafie?

- Ona tego nie chowa w szafie. Ona tam to trzyma.

- Chcesz powiedzieć, że babcia jest alkoholiczką?

- Nie, oczywiście, że nie. Po prostu trochę popija. Mówi, że pomaga jej to zasnąć.

Może na tym polegał mój problem. Może ja też powinnam sobie popijać. Rzecz w tym, że kiedy za dużo wypiję, zbiera mi się na wymioty. A jak raz zacznę, to ciężko mi będzie przyznać, że piję za dużo, aż będzie już na to za późno. Jedno upicie się zwykle pociąga za sobą następne.

Owionęło mnie gorące kuchenne powietrze, przeniknęło przez moją koszulę, a ja poczułam się jak placek, który tkwi w piekarniku i dymi. Z wysiłkiem zdjęłam koszulę, położyłam głowę na stole i zasnęłam. Śniło mi się, że jest lato i smażyć się na plaży w Point Pleasant. Pode mną gorący piasek, a nade mną prażące słońce. Moja skóra jest

brązowa i spieczona jak skórka na cieście. Kiedy się obudziłam, placek był już gotowy, a w całym domu pachniało niczym w niebie. I mama wyprasowała mi koszulę.

- Czy jadasz deser przed posiłkiem? - zapytałam mamę.

Popatrzyła na mnie osłupiałym wzrokiem. Jak gdybym zapytała ją, czy w każdą środę o północy zabija koty w ofierze.

- Przypuśćmy, że jesteś sama w domu - powiedziałam. - W lodówce masz kruche ciasto z truskawkami, a mięso jeszcze w piekarniku. Co zjadłabyś najpierw?

Mama myślała przez chwilę, oczy miała szeroko otwarte ze zdziwienia.

- Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek w ogóle jadła sama obiad. Nawet nie jestem w stanie sobie tego wyobrazić.

Zapięłam koszulę i włożyłam dzinsową kurtkę.

- Muszę iść. Mam robotę.

- Mogłabyś przyjść jutro wieczór na kolację - powiedziała mama. - No i zabrać ze sobą babcię i Josepha. Będzie pieczeń wieprzowa i tłuczone ziemniaki.

- Dobrze, ale nie wiem, jak będzie z Joem. Podeszłam do drzwi wejściowych i zobaczyłam, że za buickiem stoi latający dywan.

- Co teraz? - zapytała mama. - Kim są ci mężczyźni w dziwnym samochodzie?

- To Habib i Mitchell.

- Po co tutaj stoją?

- Jeżdżą za mną, ale nic się nie martw. Są w porządku.

- Co masz na myśli, mówiąc „nie martw się”? Takich rzeczy nie mówi się do matki. Oczywiście, że będę się martwiła. Wyglądają na rzezimieszków. - Mama przepchnęła się koło mnie, podeszła do auta i zastukała w szybę.

Szyba zjechała w dół i Mitchell popatrzył na moją mamę.

- Jak leci? - zapytał.

- Dlaczego śledzicie moją córkę?

- Powiedziała pani, że ją śledzimy? Nie powinna była tego robić.

Nie chcemy martwić matek.

- W domu mam broń i jeśli będę musiała, zrobię z niej użytek - ostrzegła mama.

- Rety, proszę pani, nie trzeba od razu stawiać sprawy na ostrzu noża - próbował je uspokoić Mitchell. - Co się z tą rodziną dzieje? Wszyscy są zawsze wrogo nastawieni. Po prostu trochę sobie jeździmy za pani dzieciakiem.

- Mam wasz numer rejestracyjny - oznajmiła mama. - Jeśli mojej córce cokolwiek się stanie, zadzwonię na policję.

Mitchell nacisnął guzik i okno zamknęło się.

- Przecież ty nawet nie masz broni, prawda? - zapytałam mamę.

- Powiedziałam tak, żeby ich nastraszyć.

- Hm. Dzięki. Myślę, że teraz wszystko będzie w porządku.

- Ojciec mógłby uruchomić swoje znajomości i załatwić ci dobrą posadę w zakładach Personal Products - powiedziała mama. - Córka Evelyn Nagy tam pracuje i ma trzytygodniowy płatny urlop.

Spróbowałam wyobrazić sobie Cudowną Kobietę, pracującą przy linii produkcyjnej w fabryce Personal Products, ale nie był to pociągający obraz.

- Nie wiem - zawahałam się. - Nie sądzę, żeby moja przyszłość była związana z Personal Products. - Wsiadłam do Wielkiego Błękitu i pomachałam mamie na pożegnanie.

Jeszcze raz spojrzała groźnie na Mitchella i wróciła do domu.

- Przechodzi klimakterium - powiedziałam do Boba. - łatwo się denerwuje. Nie ma się czym martwić.

## Rozdział 7

W końcu pojechałam do biura, a za mną Mitchell i Habib, którzy cały czas siedzieli mi na ogonie.

Kiedy Bob i ja stanęliśmy w drzwiach, Lula wyjrzała przez okno.

- Wygląda na to, że ci dwaj idioci mają latający dywan.

- Tak. Włóczą się za mną od świtu. Mówią, że ich szef traci cierpliwość do szukania Rangera.

- Nie tylko on - powiedział Vinnie ze swojego gabinetu. - Joyce znalazła jeden cholerny znak zapytania, a ja czuję, jak rośnie mi wrzód. Nie mówiąc o tym, że mogę stracić grubą forszę za Morrisa Munsona. Lepiej zabieraj się stąd i znajdź tego psychola.

Na całe szczęście Munson na pewno dotarł już do Tybetu i nigdy go nie znajdę.

- Coś nowego? - zapytałam Connie.

- Nic, o czym chciałabyś wiedzieć.

- Powiedz jej. To jest dobre - powiedziała Lula.

- Wczoraj w nocy Vinnie wykupił gościa, który nazywa się Douglas Kruper. Kruper sprzedał samochód piętnastoletniej córce jednego z szanowanych senatorów naszego stanu. Wracając do domu nowo kupionym samochodem, dzieciak dał się złapać za jazdę na czerwonym świetle i bez prawa jazdy, i okazało się, że samochód jest kradziony. A teraz najlepsze. Napisano, że ten samochód to rollswagen. Czy przypadkiem nie znasz kogoś, kto nazywa się Douglas Kruper?

- Znany także jako Diler - powiedziałam. - Chodziłam z nim do szkoły.

- No cóż, przez jakiś czas nie będzie mógł robić interesów.

- Jak się zachowywał, kiedy go aresztowali? - zapytałam Vinniego.

- Płakał jak dziecko - odparł Vinnie. - To było niesmaczne.

Przyniósł wstyd wszystkim przestępcom.

Dla świętego spokoju podeszłam do szafy z aktami, żeby sprawdzić, czy mamy coś na temat Cynthii Lotte. Nie byłam zbyt zadowolona tym, że nic nie znalazłam.

- Mam sprawę do załatwienia w mieście - poinformowałam. - Mogę zostawić tu Boba? Powinno wrócić za jakąś godzinę.



- Pod warunkiem, że nie wejdzie do mojego gabinetu - odezwał się Winnie.

- Cóż, nie mówiłbyś tak, gdyby Bob był kaczką - powiedziała Lula.

Winnie trzasnęła drzwiami i zarygłował się.

Zapewniłam Boba, że wrócę na lunch, i popędziłam do samochodu. W najbliższym bankomacie wyciągnęłam pięćdziesiąt dolarów z konta; potem pojechałam na Grant Street. Dougie miał dwie buteleczki perfum Dolce Vita, które wydawały się zbytnim luksusem, kiedy oddawałam latającą maszynę, ale może teraz, gdy miał problemy z prawem, cena spadnie. Oczywiście nie jestem osobą, która czerpie korzyści z czyjegoś nieszczęścia, ale, do cholery, tutaj chodzi o perfumy Dolce Vita.

Kiedy dojechałam do domu Dougiego, stały przed nim trzy samochody. Rozpoznałam jeden z nich, który należał do mojego przyjaciela Eddiego Gazzary. Eddie i ja dorastaliśmy razem. Teraz on jest gliną i mężem mojej kuzynki Shirley Jęczybuły. Na drugim samochodzie był identyfikator drogowki, a trzeci był piętnastoletnim cadillakiem z oryginalnym lakierem i bez cienia rdzy. Nie chciałam myśleć o możliwych konsekwencjach, ale wyglądał jak samochód Louise Greeber. Co robiła tutaj jedna z przyjaciółek babci?

W środku malutki domek szeregowy był wypełniony towaram i ludźmi. Dougie kręcił się między nimi, kompletnie oszołomiony.

- Wszystko musi pójść - powiedział do mnie. - Zamykam interes.

Księżyc też tam był.

- Hej, to nie jest w porządku, facetka - zagadnął. - ten człowiek miał interes, który się kręcił. Ma prawo prowadzić interes, prawda? Chcę przez to zapytać, gdzie się podziały jego prawa? Jasne, sprzedał kradziony samochód dzieciakowi. Hej, wszyscy popełniamy błędy. Mam rację?

- Popelniasz przestępstwo, płacisz czasem - oświadczył Gazzara, trzymając stertę lewisów. - Dougie, ile za to chcesz?

Wzięłam Gazzarę na bok.

- Muszę z tobą pogadać o Rangerze.

- Allen Barnes szuka go od dłuższego czasu - rzekł Eddie.

- Czy Barnes ma jakieś dowody przeciwko Rangerowi, oprócz tej kasety wideo?

- Nie mam pojęcia. Nie jestem dopuszczony do śledztwa. Brak jakichkolwiek przecieków. Nie chcą popełnić żadnego błędu w tej sprawie.

- Czy Barnes bierze pod uwagę innych podejrzanych?

- W każdym razie ja nic na ten temat nie słyszałem. Ale, jak mówiłem, nie jestem dopuszczony do sprawy. Wóz policyjny zatrzymał się na środku ulicy i weszło dwóch mundurowych.

- Słyszałem, że wyprzedajecie towar - powiedział jeden z nich. - Macie tutaj jakieś tostery?

Wyjęłam z pudła dwie buteleczki perfum i dałam Dougiemu dziesiątaka.

- Co masz zamiar teraz robić?

- Nie wiem. Czuję się przegrany - oświadczył Dougie. - Nic mi się nie udaje. Niektórzy faceci po prostu nie mają szczęścia.

- Głowa do góry, facet - powiedział Księżyc. - Coś się znajdzie. Musisz robić tak, jak ja. Płynąć z prądem.

- Pójdę do więzienia! - zajęczał Dougie. - Wpakują mnie do więzienia!

- Słyszysz, co do ciebie mówię? - ciągnął Księżyc. - Coś się znajdzie. Pójdiesz do więzienia, to nie będziesz musiał się o nic martwić. Nie będzie trzeba płacić czynszu. Ani przejmować się rachunkami za jedzenie. Opieka dentystyczna za darmo. To ma swoją wartość, facet. Chyba nie będziesz kręcił nosem na darmowego dentystę.

Wszyscy przez chwilę wpatrywali się w Księżyc, podziwiając rozwagę jego wypowiedzi.

Przeszłam przez dom i zajrzałam na podwórze, ale nie zauważyłam ani babci, ani Louise Greeber. Pożegnałam się z Gazzara i zaczęłam się przeciskać przez tłum w stronę drzwi.

- Miło z twojej strony, że wsparłaś Dougstera - powiedział Księżyc, kiedy wychodziłam. - To było cholernie luzackie z twojej strony, facetka.

- Po prostu chciałam mieć Dolce Vita - wyjaśniłam.

Cadillac już odjechał. Latający dywan sterczał na rogu. Wsiadłam do buicka i popsikałam się perfumami, żeby zrekompensować sobie pryszcz na policzku i te beznadziejne dziurawe dżinsy. Doszłam do wniosku, że perfumy nie wystarczą, więc pociągnęłam rzęsy tuszem i spięłam włosy. Lepiej wyglądać jak dziwka z pryszczem niż jak ćwok z pryszczem.

Pojechałam do centrum, do biura mojego byłego męża, które znajdowało się w Shuman Building. Richard Orr, adwokat z urzędu i skurczybyk, który lata za spółniczkami. Był młodszym wspólnikiem w spółce prawniczej Rabinowitz, Rabinowitz, Zeller i Skurczybyk. Wjechałam windą na drugie piętro i poszukałam drzwi z jego nazwiskiem wygrawerowanym złotymi literami. Nie byłam tutaj częstym gościem. Nasz rozwód nie odbył się w przyjaznej atmosferze i nie wysyłaliśmy do siebie kartek świątecznych. Raz na jakiś czas nasze drogi zawodowe krzyżowały się.

Cynthia Lotte siedziała przy biurku i wyglądała w tym swoim popielatym kostiumie i białej bluzce jak żywa reklama Ann Taylor.

Kiedy weszłam, popatrzyła na mnie z popłochem w oczach, prawdopodobnie pamiętając mnie z ostatniej wizyty, kiedy to trochę się posprzeczcaliśmy z Dickiem.

- Nie ma go w biurze - powiedziała.
- Bóg naprawdę istnieje.
- A kiedy będzie?
- Trudno powiedzieć. Dzisiaj jest w sądzie.

Nie miała obrączki na palcu. I nie wyglądała na głęboko zasmuconą. Mało tego, wyglądała na w pełni szczęśliwą, może z małym wyjątkiem: że zwariowana ekszona Dicka jest właśnie w jej biurze.

Spojrzałam z udawanym podziwem na część recepcyjną biura.

- Jak tu miło. Praca w takim miejscu musi być wspaniała.
- Przeważnie.

Odebrałam to jako „prawie zawsze, z wyjątkiem tej chwili”.

- Sądzę, że to bardzo dobre miejsce pracy dla niezamężnych kobiet. Pewnie masz okazję spotykać wielu mężczyzn?

- Do czego zmierzasz?

- No cóż, właśnie myślałam o Homerze Ramosie. Wiesz, zastanawiałam się, czy poznałaś go tutaj.

Na chwilę zapadła głucha cisza i mogłabym przysiąc, że słyszałam, jak wali jej serce. Nie odezwała się ani słowem. Nie wiedziałam, co dzieje się w jej umyśle, ale łamałam sobie nad tym głowę. Pytanie o Homera Ramosa zabrzmiało trochę bardziej obraźliwie, niż planowałam, i czułam się jakoś niezręcznie. Zwykle bywam grubiańska jedynie w myślach.

Cynthia Lotte pozbierała się i spojrzała mi prosto w oczy. Miała poważny wyraz twarzy i opanowany głos.

- Nie chcę zmieniać tematu - powiedziała - ale czy nie próbowałaś zatuszować tego pryszczu korektorem? Wzięłam głębszy oddech.

- Nie. Nie sądziłam...

- Musisz uważać, bo jak pryszcz robi się taki duży, czerwony i jest wypełniony ropą, to może po nim zostać blizna.

Ręce powędrowały w kierunku twarzy, zanim zdołałam je zatrzymać. Ludzie, ona ma rację! Pryszcz był ogromny. Powiększał się. Niech to diabli! Uruchomił mi się alarm krytycznych sytuacji i do mózgu została wysłana wiadomość następującej treści: „Wiać! Kryć się!”.

- Muszę już iść - oświadczyłam, wycofując się. - Powiedz Dickowi, że nie miałam nic pilnego. Po prostu byłam w okolicy i chciałam się przywitać.

Wyszłam, dotarłam do schodów i pognałam przez hol do drzwi wyjściowych. Wpadłam do buicka i nachyliłam się do lusterka, żeby obejrzeć pryszcz.

Obrzydliwe!

Oparłam się o siedzenie i zamknęłam oczy. Nie dość, że miałam ohydny wyprysk, to jeszcze Cynthia Lotte spuściła mnie po brzytwie. Nie dowiedziałam się niczego dla Rangera. Wiedziałam na temat Cynthii jedynie to, że nieźle wygląda w popielatym i że nadepnęła mi na odcisk. Wystarczyła jedna wzmianka o moim syfku i już byłam za drzwiami.

Popatrzyłam za siebie, na Shuman Building, zastanawiając się, czy Ramos prowadził jakieś interesy z firmą Dicka. I co to były za interesy? Wtedy wydawałoby się prawdopodobne, że Lotte poznała

Ramosa w biurze. Oczywiście, mogła równie dobrze spotkać go na ulicy. Budynek, w którym mieściło się biuro Ramosa, stał o jeden dom dalej.

Włączyłam silnik i przejechałam powoli obok budynku Ramosa. Usunięto już taśmę policyjną, a w holu było widać pracowników. Podjazd zastawiono samochodami firm remontowych.

Przejechałam z powrotem przez miasto i zatrzymałam się przy Radio Shack na Trzeciej.

- Potrzebuję jakiegoś alarmu - zwróciłam się do dzieciaka w recepcji. - Nic nadzwyczajnego. Po prostu chodzi o coś, co da mi znać, kiedy ktoś będzie otwierał drzwi do mego mieszkania. I przestań się gapić na mój policzek!

- Nie gapiłem się na pani policzek. Słowo! Nawet nie zauważyłem tego wielkiego pryszcza.

Pół godziny później jechałam do biura, żeby odebrać Boba. Na tylnym siedzeniu, schowany w małej torebce, leżał mały wykrywacz ruchu, przeznaczony do moich drzwi wejściowych. Powiedziałam sobie, że potrzebuję go dla poczucia bezpieczeństwa, ale prawda była taka, że kupiłam go tylko w jednym celu: żeby ostrzegał mnie zawsze, gdy Ranger włamuje się do mojego mieszkania. Ale do czego był mi potrzebny ten alarm? Czy się bałam? Nie. Chociaż Ranger czasami bywał przerażający. A może chodziło o brak zaufania? Nie. Ufałam Rangerowi. Tak naprawdę kupiłam ten alarm, ponieważ chociaż raz chciałam mieć przewagę. Fakt, że Ranger wchodzi do mojego mieszkania, nawet mnie nie budząc, doprowadzał mnie do szału.

Zatrzymałam się przy barze i kupiłam pudełko skrzydełek z kurczaka na lunch. Pomyślałam sobie, że to będzie najlepsze dla Boba. Żadnych większych gości, po których mógłby zwymiotować.

Wszystkie twarze rozpromieniły się, kiedy pojawiłam się w drzwiach z pudełkiem skrzydełek z kurczaka.

- Właśnie mieliśmy z Bobem ochotę na kurczaka - oświadczyła Lula. - Czytasz w naszych myślach.

Zdjęłam pokrywkę z pudełka, położyłam ją na podłodze i rzuciłam na nią garść skrzydełek. Wzięłam sobie jedno, a resztę oddałam Luli i Connie. Potem zadzwoniłam do swojej kuzynki Bunny, która pracuje w dziale kredytów.

- Co masz na temat Cynthii Lotte? - zapytałam ją. Oddzwoniła błyskawicznie.

- Niewiele - powiedziała. - Ostatnio wzięła kredyt na samochód. Płaci raty w terminie. Wszystko u niej w porządku. Mieszka w Ewing. - Na chwilę w słuchawce zapadła cisza. - A czego właściwie szukasz?

- Nie wiem. Ona pracuje dla Dicka.

- Ach. - Tak jakby to wszystko tłumaczyło.

Wzięłam adres i telefon do Lotte i pożegnałam się z Bunny.

Następną osobą, do której zadzwoniłam, był Morelli. Żaden z jego numerów nie odpowiadał, więc wysłałam mu wiadomość na pager.

- To zabawne - powiedziała Lula. - Nie kładłaś tych skrzydełek na pokrywkę od pudełka? Nie mogę jej nigdzie znaleźć.

Wszyscy popatrzyli na Boba. Z pyska wystawał mu kawałek kartonu.

- O kurna - zachwyciła się Lula. - Przy nim jestem cieniem.

- Czy zauważyłaś u mnie coś niezwykłego? - zapytałam.

- Tylko to, że wyhodowałaś na policzku dużego syfa. Pewnie masz te dni, hm?

- To stres! - Wsadziłam głowę do torebki, szukając korektora. Latarka, szczotka do włosów, szminka, guma do żucia Juicy Fruit, rewolwer, chusteczki, balsam do rąk, sprej. Korektora nie było.

- Mam plaster - powiedziała Connie. - Mogłabyś spróbować zakleić go plastrem.

- Przykleiłam plaster na pryszcz.

- Już lepiej - orzekła Lula. - Teraz wygląda tak, jakbyś się zacięła przy goleniu. Wspaniale.

- Zanim zapomnę - dodała Connie. - Jak rozmawiałaś z tym biurem kredytowym, dzwonili w sprawie Rangera. Rozesłano list gończy w związku z morderstwem Ramosa.

- Co tam napisali? - zapytałam.

- Poszukiwany w celu przesłuchania.

- Tak samo się zaczęło z OJ. Simpsonem - powiedziała Lula. - Mieli zamiar go tylko przesłuchać. I patrzcie, jak to się skończyło.

Chciałam sprawdzić dom Hannibala, nie ciągnąc za sobą Habiba i Mitchella.

- Muszę zrobić małą dywersję - zwróciłam się do Luli. - Mianowicie pozbyć się tych gości z latającego dywanu.

- Chodzi ci o to, żeby się ich pozbyć? Czy nie chcesz, żeby się za tobą włóczyli?

- Nie chcę, żeby się za mną włóczyli.

- Skoro tak, to dziecinnie proste. - Wyjęła z szuflady kaliber 45. -

Po prostu przestrzelę im opony.

- Nie! Żadnego strzelania!

- Te twoje zasady! - obruszyła się Lula.

- Vinnie wyjrzał z gabinetu.

- A może numer z płonąca torbą?

- Obróciłyśmy głowy w jego stronę.

- To taki kawał, który zwykle robi się na czyjejs werandzie - powiedział Vinnie. - Wkładasz do torby psie kupy. Stawiasz torbę na werandzie takiego frajera i dzwonisz do drzwi. A potem podpalasz torbę i wiejesz stamtąd na złamanie karku. Naiwniak otwiera drzwi, widzi płonąca torbę i zaczyna po niej deptać, żeby ugasić ogień.

- I co dalej?

- A potem ma buty upaprane psimi kupami - dokończył Vinnie. - Gdybyś zrobiła taki numer tym koleśiom, mieliby buty upaprane psimi kupami, to zaprzętnęłoby ich uwagę, a ty mogłabyś uciec.

- Tylko że nie mamy werandy - zauważyła Lula.

- Zróbcie użytek z wyobraźni! - poradził Vinnie. - możesz to położyć za samochodem. Potem wymkniesz się chyłkiem, a ktoś z biura krzyknie do nich, że coś się pali pod ich wozem.

- Nawet mi się to podoba - rzekła z uznaniem Lula. - tylko jeszcze potrzebujemy trochę psich odchodów.

- Wszyscy popatrzyli na Boba.

Connie wyjęła z dolnej szuflady swojego biurka brązową papierową torbę na lunch.

- Mam torbę, a jako szufelki można użyć pudełka po kurczaku.

Wzięłam Boba na smycz i wyszłyśmy z Lula przez tylne drzwi, żeby trochę pospacerować. Bob siknął ze czterdzieści razy, ale nie wniósł żadnego wkładu w sprawę torby.

- Wygląda na to, że brak mu motywacji - uznała Lula. - Może powinniśmy go zabrać do parku.

Park był dwa bloki dalej, więc zaprowadziłyśmy tam Boba i stałyśmy, czekając, aż odpowie na zew natury. Tylko że natura jakoś nie wzywała Boba.

- Zauważyłaś, że jak nie potrzebujesz psich kup, to są wszędzie? - zagadnęła Lula. - A teraz, kiedy potrzebujemy trochę... - Szeroko otworzyła oczy. - Poczekaj chwilę. Pies w samo południe. I to duży pies.

No proszę, ktoś pojawił się w parku na spacerze z psem. Pies był duży i czarny. Na drugim końcu smyczy szła starsza pani, mała i siwa. Miała buty na niskim obcasie i bardzo obszerny tweedowy płaszcz, a jej włosy były częściowo schowane pod włóczkowym kapeluszem. Trzymała w ręce plastikową torbę i papierowy ręcznik. Torba była pusta.

- Nie mam zamiaru bluźnić ani nic w tym rodzaju - świadczyła Lula. - Ale Bóg zesłał nam tego psa.

- Pies nagle zatrzymał się i zaczął węszyć, a ja, Lula i Bob ruszyliśmy przez trawnik. Trzymałam Boba na smyczy, Lula machała papierowym pudełkiem i papierową torbę, bieglyśmy cwałem, kiedy kobieta nas zauważyła. Zbladła i zrobiła krok do tyłu.

- Jestem stara - powiedziała. - Nie mam pieniędzy. Odejdźcie. Nie róbcie mi krzywdy.

- Nie chcemy pani pieniędzy - zapewniła Lula. - Chcemy psią kupę.

Kobieta przyciągnęła do siebie smycz.

- Nie możecie dostać kupy. Muszę ją zabrać do domu. Takie są przepisy.

- Przepisy nie mówią, że to pani musi zabrać kupę do domu - przekonywała Lula. - Po prostu ktoś ją musi zabrać. A my jesteśmy wolontariuszkami.

Duży czarny pies przerwał na chwilę swoje zajęcie i obwąchał natarczywie Boba. Bob też go obwąchał, a potem popatrzył na krocze starszej pani.

- Nawet o tym nie myśl - ostrzegłam Boba.

- Nie wiem, czy to zgodne z przepisami - wahała się kobieta. - Nigdy o czymś takim nie słyszałam. Sądzę, że powinnam zabrać kupę do domu.



- W porządku - zwróciła się Lula do mnie. - Daj jej kilka dolców za tę kupę. Przeszukałam kieszenie.

- Nie mam przy sobie pieniędzy. Nie zabrałam portfela.

- Nie mogę za to wziąć mniej niż pięć dolarów - świadczyła kobieta.

- Okazuje się, że nie mamy przy sobie żadnych pieniędzy - wyjaśniła Lula.

- Więc kupa jest moja - rzekła rezolutnie kobieta.

- Do jasnej cholery, jest twoja - przytaknęła Lula, spychając kobietę ze ścieżki i zgarniając kupę do pudełka. - Potrzebujemy tej kupy.

- Na pomoc! - krzyczała kobieta. - Zabierają mi kupę! Łapać złodziejki!

- Mam ją - powiedziała Lula. - Mam ją całą.

I pobiegliśmy z Lula i z Bobem jak na skrzydłach do biura, niosąc pudełko z bezcenną kupą.

Dotarliśmy do tylnych drzwi wejściowych. Bob skakał wokół nas i był cały szczęśliwy. Ale Lula i ja oddychałyśmy ciężko.

- Jezu, przez chwilę myślałam, że nas złapie - westchnęła Lula. - Jak na starszą damę, całkiem szybko biega.

- Ona nie biega - powiedziałam. - Ciągnął ją pies, który chciał dogonić Boba.

Otworzyłam papierową torbę, a Lula wrzuciła do niej kupę.

- Zapowiada się niezły ubaw - orzekła. - Nie mogę się już doczekać, kiedy zobaczę tych dwóch kolesi, depczących po torbie pełnej gówna.

Lula udała się z torbą i zapalniczką przed frontowe wejście. Ja i Bob weszliśmy tylnymi drzwiami. Habib i Mitchell zaparkowali przy krawężniku przed biurem, zaraz za moim buickiem.

Connie, Vinnie i ja zerkaliśmy przez okno na ulicę, podczas gdy Lula skradała się do latającego dywanu. Postawiła torbę na ziemi tuż za tylnym zderzakiem. Dostrzeżliśmy płomień zapalniczki, Lula odskoczyła i schowała się za rogiem.

Connie wyrzała przez drzwi.

- Hej! - krzyknęła. - Hej, wy tam, w samochodzie... Coś się pali za wami!

- Mitchell otworzył szybę.
- Co?
- Coś się pali za waszym autem!

Mitchell i Habib wysiedli, żeby zobaczyć, co się dzieje, a my wszyscy wybiegliśmy przez drzwi i stanęliśmy obok.

- To jakieś śmieci - odezwał się Mitchell do Habiba. - Kopnij to na bok, bo samochód się zniszczy.

- To się pali - powiedział Habib. - Nie mam zamiaru dotykać butem płonącej torby.

- Tak to jest, kiedy się wynajmuje cholernego abdula - rzucił Mitchell. - Wy nie wiecie, co to jest etos pracy.

- To nieprawda. W Pakistanie ciężko pracuję. W mojej wiosce w Pakistanie jest fabryka kilimów, a moje zajęcie polega na tym, że biję nieposłuszne dzieci, które tam pracują. To bardzo dobry zawód.

- Uch - stęknął Mitchell. - Bijesz małe dzieci, które pracują w fabryce?

- Tak. Kijem. To jest posada wymagająca wysokich kwalifikacji. Trzeba dzieci bić ostrożnie, żeby nie połamać ich małych paluszków, bo inaczej nie będą w stanie wiązać pięknych supełków.

- Obrzydliwe - powiedziałam. - Ależ nie - odparł Habib. - Dzieci to lubią i zarabiają dużo pieniędzy dla swoich rodzin. - Obrócił się w stronę Mitchella i pogroził mu palcem. - I ja bardzo ciężko pracuję, bijąc te małe dzieci, więc nie powinieneś mówić o mnie takich rzeczy.

- Przepraszam - rzekł Mitchell. - Chyba się pomyliłem co do ciebie.

Kopnął torbę. Torba pękła i parę kawałków gówna przykleiło mu się do buta.

- Co to jest, u diabła? - Mitchell potrząsnął stopą i płonące kawałki psiej kupy rozbryzwały się na wszystkie strony. Wielka pecyna wylądowała na reklamie dywanów; słychać było syk ognia i cały samochód stanął w płomieniach.

- Rany! - krzyknął Mitchell, chwycił Habiba i uciekli obaj do tyłu.

Płomienie trzaskały i strzelały w górę, a ogień ogarnął wnętrze samochodu. Nastąpił mały wybuch, kiedy zapalił się bak, a potem samochód zasłoniły czarny dym i płomienie.

- Zdaje się, że nie mieli dywanu odpornego na ogień - powiedziała Lula.

Habib i Mitchell stali przyklejeni do ściany budynku, z szeroko otwartymi ustami.

- Chyba możesz już jechać - zdecydowała Lula. - Nie sądzę, żeby ruszyli za tobą.

Kiedy nadjechała straż pożarna, z samochodu pozostały szczątki, a ogień zmniejszył się do rozmiarów grilla. Mój buick stał w odległości jakiś trzystu metrów od latającego dywanu, ale Wielki Błękit był nietknięty. Lakier buicka nie został nawet drażniony. Jediną zauważalną różnicą była cieplejsza niż zazwyczaj klamka u drzwi.

- Muszę lecieć - powiedziałam do Mitchella. - Przykra sprawa z tym samochodem. Na waszym miejscu nie martwiłabym się o brwi. Trochę się osmałyły, ale na pewno odrosną. Też mi się coś takiego przydarzyło, a potem wszystko wróciło do normy.

- Co... jak...? - wybełkotał Mitchell.

Zapakowałam Boba do buicka i odjechałam od krawężnika, torując sobie drogę między wozami policyjnymi i strażą pożarną.

Carl Costanza w mundurze stał i kierował ruchem.

- Wygląda na to, że jesteś na fali - powiedział. - To już drugi samochód, który spaliłaś w tym tygodniu.

- To nie była moja wina! To nawet nie był mój samochód!

- Słyszałem, że ktoś zrobił numer z torbą dwóm ludziom Artura Stolle'a.

- Żartujesz? Wiesz, kto go zrobił?

- Zabawne, ale właśnie miałem zapytać cię o to samo.

- Ja byłam pierwsza.

- Costanza lekko się skrzywił.

- Nie. Nie wiem, kto to zrobił.

- Ja też nie - powiedziałam.

- Jesteś szurnięta - orzekł. - Nie mogę uwierzyć, że dałaś się wrobić i wzięłaś psa Simona.

- Nawet go polubiłam.

- Tylko nie zostawiaj go samego w samochodzie.

- Chcesz powiedzieć, że to niezgodne z prawem?

- Nie. Chcę powiedzieć, że ten pies zjadł przednie siedzenie w samochodzie Simona. Zostawił tylko parę strzępów pianki i kilka sprężyn.

- Dziękuję, że zechciałeś się ze mną podzielić tą informacją.

Constanza uśmiechnęła się szeroko.

- Sądziłem, że wolałabyś o tym wiedzieć.

Odjechałam, myśląc, że gdyby Bob zjadł siedzenie Wielkiego Błękitu, to ono na pewno by się odrodziło. Ryzykując, że upodobnię się do babci, zaczęłam myśleć z zadziwieniem o Wielkim Błękitcie. Wyglądało na to, że ten cholerny samochód jest niezniszczalny. Miał prawie pięćdziesiąt lat, a lakier był w doskonałym stanie. Wszystkie inne samochody rdzewiały, zostawały spalone albo zmiażdżone jak naleśnik, ale Wielkiemu Błękitowi nigdy nic się nie przytrafiało. - Jest po prostu bezkonkurencyjny - powiedziałam do Boba.

Bob przykleił nos do szyby i nie wyglądał na zainteresowanego.

Jechałam dalej Hamilton Street, kiedy zadzwoniła komórka.

- Cześć, lalczko - odezwał się Ranger. - Co masz dla mnie?

- Tylko podstawowe dane Cynthii Lotte. Chcesz wiedzieć, gdzie mieszka?

- Dalej.

- Wygląda nieźle w popielatym.

- To zaledwie utrzyma mnie przy życiu.

- Hm. Czyżbyś był dzisiaj w kiepskim humorze?

- Niezupełnie. Chciałbym cię prosić o przysługę. Chcę, żebyś przyjrzała się rezydencji w Deal od tyłu. Każdy z moich ludzi byłby podejrzany, ale kobieta spacerująca po plaży z psem nie powinna wzbudzić obaw w ochroniarzach Ramosa. Chciałbym, żebyś sprawdziła, jaki jest rozkład domu. Policz okna i drzwi.

Plaża publiczna była oddalona od rezydencji Ramosa o czterysta metrów. Zaparkowałam przy drodze i przeszliśmy z Bobem przez wąski pas wydm. Niebo było zachmurzone, a powietrze chłodniejsze niż w Trenton. Bob wystawił nos na wiatr i wyglądał na ożywionego, a ja zapięłam kurtkę pod samą szyję i żałowałam, że nie zabrałam ze sobą nic cieplejszego do ubrania. Większość tych kosztownych domów, które stały na wydmach, była zaryglowana i nikt w nich nie mieszkał. Przed nami z hukiem uderzały spienione szare fale. Kilka

mew podskakiwało na granicy wody i piasku, a poza tym nie było nikogo. Tylko ja, Bob i te mewy.

Na horyzoncie pojawił się duży różowy dom, który był lepiej widoczny od strony plaży niż z ulicy. Widać było jak na dłoni większą część parteru i całe pierwsze piętro. Wzdłuż domu ciągnęła się weranda. Do głównego korpusu budynku przylegały dwa skrzydła. W skrzydle północnym, na poziomie parteru, znajdowały się garaże, a nad nimi prawdopodobnie sypialnie. Skrzydło południowe miało dwie wyższe kondygnacje i wyglądało na to, że jest to w całości część mieszkalna.

Brnęłam dalej przez piasek, nie chcąc wyglądać na zbyt ciekawską, chociaż właśnie liczyłam okna i drzwi. Po prostu jakaś kobieta spacerująca z psem, której marznie tyłek. Miałam ze sobą lornetkę, ale obawiałam się z niej skorzystać. Nie chciałam wzbudzić jakichkolwiek podejrzeń. Nie wiedziałam, czy ktoś przypadkiem nie obserwuje mnie przez okno. Bob skakał wokół mnie, nie myśląc o niczym oprócz radości przebywania na świeżym powietrzu. Przeszłam jeszcze wzdłuż kilku sąsiednich domów, narysowałam na kartce szkic budynku, zawróciłam i doszłam do wejścia na plażę publiczną, gdzie stał Błękit. Misja spełniona.

Wskoczyliśmy z Bobem do Wielkiego Błękitu i ruszyliśmy z turkotem w górę ulicy, mijając po raz ostatni dom Ramosa. Kiedy zatrzymałam się na rogu, jakiś facet koło sześćdziesiątki zeskoczył z krawężnika w moim kierunku. Miał na sobie dres i buty do joggingu. I machał rękami.

- Zatrzymaj się! - zawołał. - Zatrzymaj się na sekundę!

Mogłabym przysiąc, że to Alexander Ramos. Nie, to byłoby absurdalne.

Podbiegł do samochodu od mojej strony i zapukał w szybę.

- Masz papierosy? - zapytał.

- Cholera... hm, nie.

- Rzucił mi dwudziestkę.

- Podwieź mnie na nadbrzeże po papierosy. To zajmie tylko chwilę.

Lekki akcent. Te same ostre rysy twarzy. Ten sam wzrost i budowa ciała. Naprawdę wyglądał jak Alexander Ramos.

- Mieszka pan gdzieś w okolicy? - zapytałam go.
- Tak, mieszkam w tym cholernym różowym paskudztwie. A co to ma do rzeczy? Podwieziesz mnie czynie?

O Boże! To Ramos.

- Nie mam zwyczaju wpuszczać obcych mężczyzn do samochodu.
- Przestań chrzanić! Potrzebuję papierosów. Na tylnym siedzeniu masz dużego psa i wyglądasz mi na kogoś, kto ciągle wozi obcych facetów. Myślisz, że urodziłem się wczoraj?

- Wczoraj to chyba nie.

Otworzył drzwi od strony pasażera i wsiadł do samochodu.

- Bardzo śmieszne. Muszę jeździć na łebka z dowcipniasiami.
- Nie znam drogi. Gdzie pan kupuje te papierosy?
- Skręć za tym rogim. Sklep jest jakieś pięćset metrów stąd.
- Jeśli to tylko pięćset metrów, to dlaczego nie wybrał się pan na piechotę?

- Mam swoje powody.

- Nikt nie wie, że pan pali, co? Lepiej, żeby nikt nie widział, jak pan idzie do sklepu?

- Cholerni lekarze. Powinienem to sprzedać. Nigdy go nie lubiłem, od samego początku, ale właśnie się ożeniłem, a moja żona musiała mieć ten dom. Wszystko, co miała, było różowe. - Zastanawiał się przez chwilę. - Jak ona miała na imię? Trixie? Trudie? Jezu, nawet nie mogę sobie przypomnieć.

- Nie może pan sobie przypomnieć imienia swojej żony?
- Miałem wiele żon. Mnóstwo. Cztery. Nie, poczekaj... pięć.
- A teraz jest pan żonaty?
- Pokręcił głową.
- Skończyłem z małżeństwami. W zeszłym roku miałem operację prostaty. Było, minęło, kobiety wychodziły za mnie dla moich jaj i pieniędzy. Teraz poślubiłyby mnie tylko dla pieniędzy. - Znów pokręcił głową. - Dosyć tego. Trzeba mieć zasady, wiesz?

Zatrzymałam się przy sklepie, a Ramos wyskoczył z samochodu.

- Nie odjeżdżaj. Zaraz wracam.

Część mojego ja pragnęła opuścić scenę. Tchórzliwa część. A druga część chciała brnąć w to dalej. Juhuu! Głupia część.

Dwie minuty później siedział już w samochodzie, zapalając papierosa.

- Hej - powiedziałam. - Nie ma palenia w samochodzie.

- Dam ci jeszcze jednego dwudziestaka.

- Nie chcę nawet tego pierwszego. Odpowiedź brzmi „nie”. Nie ma palenia w samochodzie.

- Nie cierpię tego kraju. Nikt tutaj nie potrafi żyć. Każdy pije cholerne odtłuszczone mleko. - Wskazał na boczną ulicę. - Skręć tam i wjedź w Shoreline Avenue.

- Dokąd jedziemy?

- Jest tam taki bar.

Tego mi tylko było trzeba. Żeby Hannibal wyszedł na poszukiwanie ojca i zastał nas na kumpelskiej pogawędce w barze.

- Nie wiem, czy to dobry pomysł.

- Pozwolisz mi palić w samochodzie?

- Nie.

- Więc idziemy do Sala.

- W porządku, podwożę pana do Sala, ale nie wejść.

- Jasne, że wejdiesz.

- Ale mój pies...

- Pies też może iść z nami. Kupię mu piwo i kanapkę.

Bar „U Sala” był ciemną klitką. Przez całą długość pomieszczenia ciągnął się bar. Na jego końcu siedziało dwóch starszych panów, popijając w milczeniu i oglądając telewizję. Na prawo od drzwi stały ciasno stłoczone trzy puste stoliki. Ramos usiadł przy jednym z nich.

Kelner bez pytania przyniósł mu butelkę ouzo i dwie szklaneczki. Żaden z nich się nie odezwał. Ramos wypił jednego; potem zapalił papierosa i głęboko się zaciągnął.

- Ach - powiedział na wydechu.

Czasami zazdroszczę ludziom, którzy palą. Wyglądają na takich szczęśliwych, kiedy wciągają do płuc pierwszy haust dymu. Nie przychodzi mi do głowy zbyt wiele rzeczy, które mogłyby mnie aż tak uszczęśliwić. No, może tort urodzinowy.

Ramos nalał sobie drugą kolejkę i popchnął butelkę w moim kierunku.

- Nie, dziękuję - odmówiłam. - Prowadzę. Pokiwał głową.

- Kraj mięczaków. - Odepchnął od siebie szklaneczkę. - Nie zrozum mnie źle. Niektóre rzeczy mi się podobają. Lubię duże amerykańskie samochody. Lubię amerykańską piłkę nożną. No i lubię amerykańskie kobiety z dużymi cyckami.

O nie.

- Często pan jeździ okazją? - zapytałam go.

- Jak tylko mogę.

- Nie sądzi pan, że to niebezpieczne? Przypuśćmy, że trafi pan na jakiegoś świra?

- Wyjął z kieszeni kaliber 22.

- Zastrzelę go. - Położył broń na stole, zamknął oczy i znowu się zaciągnął. - Mieszkasz w okolicy?

- Nie. Czasami przyjeżdżam tutaj z psem na spacer. Lubi chodzić po plaży.

- A co to za plaster na policzku?

- Zacięłam się przy goleniu.

- Rzucił dwudziestkę na stół i wstał.

- Zaczaj się przy goleniu. Podobasz mi się. Jesteś w porządku. A teraz możesz mnie odwieźć do domu.

Wysadziłam go przy rezydencji, która sąsiadowała z jego domem.

- Wróc tutaj jutro - powiedział. - O tej samej godzinie. Może wynajmę cię na osobistego kierowcę.

Kiedy weszliśmy do domu, babcia nakrywała do stołu. Księżyc siedział rozwalony na kanapie, oglądając telewizję.

- Hej - przywitał mnie. - Jak leci?

- Nie mogę narzekać - powiedziałam. - A co u ciebie?

- Nie wiem, facetka. Trudno uwierzyć, że już nie ma Dilera. Myślałem, że Diler jest wieczny. To znaczy, że zawsze będzie kręcił swój interes. Zawsze będzie Dilerem. - Pokiwał głową. - To zburzyło mój świat, facetka.

- Potrzebuje jeszcze jednego piwka i trochę relaksu - orzekła babcia. - A potem będzie miła kolacja. Zawsze lubiłam towarzystwo przy posiłku. Zwłaszcza jeśli to był mężczyzna.

Nie byłam pewna, czy Księżyc można uznać za mężczyznę. Raczej za kogoś w rodzaju Piotrusia Pana. Księżyc spędzał mnóstwo czasu w krainie marzeń.



Bob wybiegł z kuchni i wetknął nos między nogi Księżycyca.

- Hej, facet - powstrzymał go Księżyc. - Nie od razu na pierwszej randce, koleś.

- Kupiłam dzisiaj samochód - zawiadomiła mnie babcia. - I Księżyc przywiózł mi go pod dom.

- Czułam, że rozdziawiam usta.

- Ale przecież ty już masz samochód. Masz buicka wuja Sandora.

- To prawda. Nie zrozum mnie źle, ale myślę, że to syf, a nie samochód. Doszłam do wniosku, że nie pasuje do mojego nowego wizerunku. Pomyślałam, że powinnam mieć coś bardziej sportowego. Najlepsze jest to, jak do tego doszło. Louise wpadła, żeby mnie podwieźć na lekcję jazdy, i powiedziała mi, że Diler likwiduje interes. No i oczywiście natychmiast pojechałyśmy, żeby zdążyć na wyprzedaż przy Metamucil. No i kupiłyśmy tam samochód.

- Kupiłaś samochód od Dougiego?

- Chcesz się założyć? Prawdziwe cacko.

Spojrzałam groźnie na Księżycyca, ale nie zrobiło to na nim najmniejszego wrażenia. Skala jego emocji kończyła się na stanie otumanienia.

- Czekaj no, aż zobaczysz brykę babci - powiedział. - to wspaniały wózek.

- Bryczka dla lasek - uściśliła babcia. - Wyglądam w niej całkiem jak Christie Brinkley.

Zapewne chodziło babci o Davida Brinkleya. Christie była jedynie wytworem jej wyobraźni. Ale jeśli dzięki temu babcia czuła się szczęśliwa, mnie to nie przeszkadzało.

- Co to za wóz?

- Corvette - oznajmiła babcia. - Czerwona.

## Rozdział 8

Tak więc babcia miała czerwoną corvette, a ja buicka rocznik 1953 i wielki pryszcz na policzku. Do licha, mogło być gorzej, powiedziałam sobie. Co mi tam pryszcz.

- Zresztą - oświadczyła babcia - wiem, jak lubisz buicka. Nie chciałam ci go zabierać.

Kiwnęłam głową, usiłując zaimprovizować coś na kształt uśmiechu.

- Przepraszam - powiedziałam. - Idę umyć ręce przed obiadem.

Poszłam spokojnie do łazienki, zamknęłam drzwi na klucz, popatrzyłam w lustro nad umywalką i pociągnęłam nosem. Łza poleciała mi z lewego oka. Weź się w garść, nakazałam sobie. To tylko syfek. Zniknie. Tak, ale co z buickiem? - zadałam sobie pytanie. Buick to prawdziwe utrapienie. Nie było żadnych widoków na to, żeby zniknął. Poleciała mi druga łza. Jesteś zbyt uczuciowa, powiedziałam do postaci w lustrze. Robisz z igły widły. Zapewne to chwilowe zachwianie równowagi hormonalnej, spowodowane brakiem snu.

Ochlapałam twarz wodą i wysiakałam nos. Przynajmniej tej nocy będę spała spokojnie, wiedząc, że mam alarm przy drzwiach. Właściwie nie chodziło mi o to, że Ranger składa mi wizyty o drugiej w nocy... Nie mogłam znieść tego, że się skrada i mnie obserwuje. A jeśli ślinię się w czasie snu, a on siedzi i się przygląda? Albo gapi się na mój pryszcz?

Księżyc wyszedł zaraz po kolacji, a babcia pokazała mi swój nowy samochód i położyła się spać. Pięć po dziewiątej zadzwonił Morelli.

- Przepraszam, że nie oddzwoniłem wcześniej - powiedział. - Miałem jeden z tych przyjemnych dni. A co u ciebie?

- Mam pryszcz.

- Chyba cię nie przebiję.

- Znasz kobietę, która nazywa się Cynthia Lotte? Ludzie mówią, że była przyjaciółką Homera Ramosa.

- O ile wiem, Homer zmieniał dziewczyny jak rękawiczki.

- Poznałeś jego ojca?

- Rozmawiałem z nim kilka razy.

- Co o nim sądzisz?  
- Typowy dobry grecki przemytnik broni ze starej gwardii. Nie widziałem go ostatnio. - Tu nastąpiła chwila ciszy. - Babcia Mazurowa wciąż u ciebie mieszka?

- Mhm.

Morelli westchnął głęboko.

- Mama pyta, czy chciałbyś przyjść jutro na kolację. Robi pieczeń wieprzową.

- Jasne - powiedział Morelli. - Będziesz tam, prawda?

- Ja, babcia i pies.

- O nie! - zajączał Morelli.

Odłożyłam słuchawkę, wzięłam Boba na spacer wokół bloku, dałam Reksowi winogrono i chwilę oglądałam telewizję. Zasnęłam mniej więcej w połowie meczu hokejowego i obudziłam się w drugiej części programu o seryjnych mordercach i medycynie sądowej. Kiedy program się skończył, sprawdziłam trzy razy zamki w drzwiach wejściowych i włączyłam wykrywacz ruchu w klamce. Jeżeli ktoś otworzyłby drzwi, alarm się odezwie. Oczywiście miałam nadzieję, że to się nie zdarzy, ponieważ po programie o seryjnych mordercach byłam trochę przestraszona. Ranger gapiący się na mój pryszcz nie stanowił powodu do niepokoju w porównaniu z kimś, kto obciąłby mi język i zabrał go do domu, powiększając swoją kolekcję zamrożonych języków. Na wszelki wypadek poszłam do kuchni i schowałam wszystkie noże. Nie ma sensu ułatwiać sprawy jakiemuś szaleńcowi, który zakradnie się i poderżnie mi gardło moim własnym nożem do steków. Następnie wyjęłam rewolwer z miski z herbatnikami i wetknęłam go pod poduszkę na kanapie na wszelki wypadek, żebym w razie czego mogła szybko po niego sięgnąć.

Zgasiałam światło i wpełzłam pod kołdrę na moim tymczasowym pościeliu. W sypialni chrapała babcia. W kuchni warczała zamrażarka, która właśnie weszła w fazę rozmrażania. Słychać było przytłumiony dźwięk trzaskania drzwiami na parkingu. Typowe odgłosy, powiedziałam sobie. Tylko dlaczego serce głucho łomotało mi w piersiach? Ponieważ obejrzałam ten głupi program o seryjnych zabójcach, właśnie dlatego.

W porządku, zapomnij o programie. Śpij. Pomyśl o czymś innym.

Zamknęłam oczy. I pomyślałam o Alexandrze Ramosie, który zapewne nie był o wiele lepszy od tych obłąkanych morderców, przyprawiających mnie o palpitację serca. O co chodzi z tym Ramosem? Człowiek, który kontroluje przepływ nielegalnej broni na całym świecie, musi jechać okazją z kimś obcym, żeby kupić sobie papierosy. Plotki głoszą, że Ramos jest chory, ale kiedy z nim rozmawiałam, nie wyglądał mi na kogoś, kto cierpi na Alzheimera albo popadł w obłąd. Być może był nieco agresywny. Nie grzeszył też cierpliwością. Myślę, że chwilami jego zachowanie mogłoby się wydawać dziwaczne, ale byliśmy w Jersey i - według mnie - z Ramosem było wszystko w porządku.

Do tego stopnia straciłam głowę, że ledwo mogłam z nim rozmawiać. Teraz, kiedy od naszego spotkania upłynęło trochę czasu, miałam do niego milion pytań. Nie tylko chciałam z nim dłużej porozmawiać, ale odczuwałam niezdrową ciekawość, żeby zajrzeć do wnętrza jego domu. Kiedy byłam dzieckiem, rodzice zabrali mnie do Waszyngtonu, żebym zobaczyła Biały Dom. Staliśmy godzinę w kolejce, a potem poszliśmy za przewodnikiem do pokoi udostępnionych do zwiedzania. Większość była oszustwem. Kogo obchodzi Rządowa Jadalnia? Chciałam zobaczyć kuchnię. Chciałam zobaczyć łazienkę prezydenta. A teraz chciałam zobaczyć dywan w pokoju gościnnym Alexandra Ramosa. Chciałam pomyszkować w pokojach Hannibala i zajrzeć do lodówki. Chcę przez to powiedzieć, że skoro wszyscy byli na okładce „Newsweeka”, to chyba muszą być intrygujący, prawda?

To wszystko sprawiło, że zaczęłam myśleć o Hannibalu, który bynajmniej nie był intrygujący. I o Cynthia Lotte, która również nie wyglądała na intrygującą. A naga Cynthia Lotte z Homerem Ramosem? Też nic interesującego. Zaraz, a Cynthia Lotte z Batmanem? Już lepiej. Sekundę, a Hannibal Ramos z Batmanem? Obrzydliwe. Pobiegłam do łazienki umyć zęby. Nie sądzę, żebym miała szczególne uprzedzenia do homoseksualistów, ale z Batmanem to już było za wiele.

Kiedy wyszłam z łazienki, usłyszałam, że ktoś gmera w moich drzwiach wejściowych, skrobiąc przy zamku. Drzwi się otworzyły i włączył się alarm. Zatrzymał je łańcuch, a kiedy weszłam do

przedpokoju, w szparze między drzwiami i framugą zobaczyłam Księżycę, który zaglądał do środka.

- Cześć, facetka - powiedział, kiedy wyłączyłam alarm. - Jak leci?  
- Skąd się tutaj wziąłeś?  
- Zapomniałem dać twojej babci zapasowe kluczyki. Miałem je w kieszeni. Więc je przyniosłem. - Wcisnął mi kluczyki do ręki. - Ludzie, masz odjazdowy alarm. Znam kogoś, kto ma alarm z melodią tej piosenki z filmu *Bonanza*. Pamiętasz *Bonanzę*? Rany, to był niezły kawałek.

- Jak otworzyłeś te drzwi?  
- Dłutem. Nie chciałem zawracać ci głowy w środku nocy.  
- To bardzo uprzejmie z twojej strony.  
- Księżyc zawsze stara się być uprzejmy. - Przekazał mi znak pokoju i swobodnym krokiem ruszył wzdłuż korytarza.

Zamknęłam drzwi i wyłączyłam alarm z powrotem. Babcia nadal chrapała w mojej sypialni, a Bob nawet nie ruszył się ze swojego miejsca koło kanapy. Jeśli pojawiłby się tutaj seryjny morderca, byłabym zdana na własne siły.

Zajrzałam do Reksa i wytłumaczyłam mu, co się stało z alarmem.

- Nie ma się czym martwić - powiedziałam. - Wiem, że jest głośny, ale przynajmniej się obudziłeś i biegasz.

Rex usiłował utrzymać równowagę na swoim małym drewnianym dla chomików, przednie łapki dyndały mu z przodu, wąsy ruszały się, cienkie jak pergamin uszka drgały, a ślepia o czarnych źrenicach były szeroko otwarte. Wrzuciłam mu kawałeczek krakersa do miseczki, szybko podbiegł, wciągnął go do swojej torebki policzkowej i zniknął w puszcze po zupie. Rex wiedział, jak przetrwać kryzys.

Wróciłam do łóżka i naciągnęłam kołdrę pod samą szyję. Koniec z myśleniem o Batmanie, powiedziałam sobie. Nie ma żadnego zaglądnia pod jego śliski gumowy skafander. Żadnych seryjnych zabójców. No i żadnych myśli o Joem Morellim, ponieważ mogłoby mnie skusić, żeby do niego zadzwonić i błagać go, żeby się ze mną ożenił... Czy coś w tym rodzaju.

To o czym mam myśleć? Może o chrapaniu babci? Było wystarczająco głośne, żeby dostać wady słuchu na resztę życia. Położyłabym sobie poduszkę na głowę, ale wtedy mogłabym nie

usłyszeć alarmu i seryjny zabójca wszedłby do środka i odciąłby mi język. Cholera, kolejny raz myślę o seryjnym mordercy!

Znowu usłyszałam jakiś odgłos przy drzwiach. Spróbowałam dojrzeć w ciemnościach, która godzina. Musiało być koło pierwszej. Drzwi się otworzyły i usłyszałam alarm. Cóż, bez cienia wątpliwości był to Ranger. Poprawiłam ręką włosy i sprawdziłam, czy plaster jest na miejscu. Miałam na sobie flanelowe bokserki, biały podkoszulek i w ostatniej chwili wpadłam w panikę, że przez trykot będzie widać sutki. Niech to kule biją! Powinnam była pomyśleć o tym wcześniej. Pobiełam do przedpokoju, żeby wyłączyć alarm, ale zanim doszłam do drzwi, w szparze między drzwiami i framugą zobaczyłam parę nożyc. Nożyce przecięły łańcuch i drzwi otworzyły się na oścież.

- Hej - powitałam Rangera. - Kantujesz!

Ale to nie Ranger wszedł przez otwarte drzwi. To był Morris Munson. Wyrwał alarm z klamki i wbił w niego nożyce. Alarm wydał ostatni pisk i ucichł. Babcia nadal chrapała. Bob wciąż leżał rozwalony koło kanapy. A Rex stał z natężoną uwagą, odgrywając rolę niedźwiedzia grizzly.

- Niespodzianka - powiedział Munson, zamykając drzwi i wchodząc do przedpokoju.

Mój paralizator, sprej, oślepiająca latarka i pilnik do paznokci były w torebce, która wisiała na wieszaku za Munsonem i znajdowała się poza moim zasięgiem. Rewolwer tkwił gdzieś w kanapie, ale naprawdę nie chciałam zrobić z niego użytku. Rewolwery cholernie mnie przerażają... i zabijają ludzi. Zabijanie nie zajmuje wysokiej pozycji na liście zajęć, które lubię najbardziej.

Zapewne powinnam była się ucieszyć, że widzę Munsona. Chce przez to powiedzieć, że przecież i tak miałam go znaleźć, prawda? I oto on włamuje się do mojego mieszkania.

- Nie ruszaj się z miejsca - powiedziałam. - Łamiesz zasady wyjścia za kaucją, jesteś aresztowany.

- Zrujnowałaś mi życie - odparł. - Zrobiłem dla ciebie wszystko, a ty zrujnowałaś mi życie. Zabrałaś dom, samochód, meble...

- To twoja była żona, matole! Czy ja wyglądam jak twoja była żona?

- Trochę.

- Ani trochę! - Zwłaszcza że jego ekszona była trupem ze śladami kół na plecach. - Jak mnie znalazłeś?

- Kiedyś pojechałem za tobą do domu. Trudno cię nie zauważyć w tym buicku.

- Tak naprawdę nie myślisz, że jestem twoją żoną, prawda?

Jego usta zastygły w obłąkańczym grymasie.

- Nie, ale jak pomyślą, że naprawdę szajba mi odbiła, będę mógł udowodnić, że jestem wariatem. Biedny, oszalały z żalu mąż stracił nad sobą kontrolę. W tobie moja jedyna szansa. Teraz muszę tylko poderżnąć ci gardło, podpalić cię i będę w domu, wolny.

- Jesteś szalony!

- Popatrz, to już działa.

- No cóż, nie uda ci się, ponieważ jestem zawodowcem wyszkolonym w samoobronie.

- Spójrz prawdzie w oczy. Zasięgnąłem o tobie języka. Nie jesteś w niczym wyszkolona. Sprzedawałaś damskie figi, dopóki cię nie wyrzucili.

- Nie wyrzucili mnie. Zostałam zwolniona.

- Wszystko jedno. - Otworzył dłoń, chcąc mi pokazać, że ma w niej nóż sprężynowy. Nacisnął przycisk i wyskoczyło ostrze. - Jeśli zgodzisz się współpracować, nie będzie tak źle. Nie chcę cię zabić. Pomyślałem sobie, że zadam ci kilka ran kłutych, żeby dobrze wyglądało. Może odetnę ci sutek.

- Nie ma mowy!

- Posłuchaj, damulko, daj mi trochę luzu, dobra? Zmagam się z oskarżeniem o zabójstwo.

- To jest głupie. To nigdy nie wypali! Rozmawiałaś o tym z prawnikiem?

- Nie stać mnie na prawnika! Moja pochlastana żona wyczyściła mnie ze wszystkiego.

W trakcie naszej rozmowy cofałam się krok po kroku w stronę kanapy. Teraz, kiedy dowiedziałam się, że ma zamiar obciąć mi sutek, użycie broni nie wydawało mi się takim głupim pomysłem.

- Tylko spokojnie - ostrzegł. - Chyba nie chcesz, żebym cię gonił po całym mieszkaniu?

- Chcę po prostu usiąść. Nie czuję się zbyt dobrze. - nie było to dalekie od prawdy. Serce trzepotało mi w piersiach i czułam, jak włosy zaczynają stawać dęba. Klapnęłam na sofę i włożyłam rękę między poduszki. Broni nie było. Włożyłam rękę pod poduszkę obok. Też nic.

- Co robisz? - zapytał.

- Szukam papierosa - powiedziałam. - Muszę zapalić ostatniego papierosa, żeby się uspokoić.

- Zapomnij. Nadszedł czas. - Rzucił się na mnie z nożem, zrobiłam unik i nóż wbił się w poduszkę sofy.

Wrzasnęłam i zaczęłam grzebać rękami i nogami, szukając rewolweru. Znalazłam go pod środkową poduszką. Munson znowu mnie zaatakował, postrzeliłam go w stopę.

Bob otworzył jedno oko.

- Szmata! - krzyknął Munson, upuszczając nóż i trzymając się za stopę. - Szmata!

Cofnęłam się i wzięłam go na muszkę.

- Jesteś aresztowany.

- Jestem postrzelony. Jestem postrzelony. Umrę. Wykrwawię się na śmierć.

Oboje popatrzyliśmy na jego stopę. Nie chlustała z niej krew. Miał jedynie niedużą plamkę koło małego palca.

- Musiałam cię tylko drasnąć.

- Ludzie, co za kiepski strzał. Przecież prawie na mnie stałaś. Jak mogłaś nie trafić w moją stopę?

- Mam spróbować jeszcze raz?

- Wszystko na nic. Jak zawsze, zawałiłaś całą sprawę. Gdy tylko mam plan, ty go musisz zniszczyć. Wszystko sobie skalkulowałam. Miałem przyjść tutaj, odciąć ci sutek i podpalić cię. A teraz cały plan na nic. - Machnęłam rękami z obrzydzeniem - Kobiety! - Odwrócił się i zaczął kuśtykać w kierunku drzwi.

- Hej! - krzyknęłam. - Gdzie idziesz?

- Wychodzę. Palec u nogi wściekle mnie boli. Popatrz na mój but. Jest całkiem rozpruty. Myślisz, że buty rosną na drzewach? Widzisz, o tym właśnie mówiłem. Nie masz szacunku dla nikogo, z wyjątkiem siebie. Wy, kobiety, wszystkie jesteście takie same. Tylko brać, brać i brać. Daj mi, daj mi, daj mi.



- Nie martw się butami. Państwo na pewno sprawi ci nowe. - A także ładny pomarańczowy kombinezon i kajdanki.

- Zapomnij o tym. Nie wrócę do więzienia, dopóki wszyscy nie będą przekonani, że jestem obłąkany.

- Ja ci już nie uwierzę. Poza tym mam broń i strzelę znowu, jeśli mnie do tego zmusisz. Podniósł ręce do góry.

- Dalej, strzelaj.

Nie dość, że nie mogłam zmusić się do tego, żeby strzelić do nieuzbrojonego człowieka, to jeszcze zabrakło mi naboí. Były na mojej liście zakupów. Mleko, chleb, naboje.

Wyprzedziłam go, porwałam torebkę z wieszaka i wysypałam całą jej zawartość na podłogę, ponieważ był to najszybszy sposób znalezienia kajdanek i spreju na psy. Oboje rzuciliśmy się na porozrzucane szpargały, ale Munson wygrał. Porwał z podłogi sprej i odskoczył do drzwi.

- Jak pójdiesz za mną, to nim prysnę - zagroził.

Obserwowałam, jak biegnie wzdłuż korytarza utykającym galopem, oszczędzając ranną stopę. Zatrzymał się przy drzwiach do windy i potrząsnął butelką ze sprejem w moim kierunku.

- Jeszcze tu wrócę - zapowiedział. Potem wszedł do windy i zniknął.

Zamknęłam drzwi na zamek. Wspaniale... I po co mi to wszystko? Poszłam do kuchni, żeby znaleźć coś na pocieszenie. Tort zjedzony. Placek zjedzony. Nie ma żadnych ukrytych i zapomnianych batoników w ciemnych zakamarkach szafki. Alkoholu też nie ma. Ani kulek serowych. Słoik z masłem orzechowym jest pusty.

Zjedliśmy z Bobem kilka oliwek, ale w ogóle nie spełniły zadania.

- Trzeba je zamrozić - powiedziałam do Boba.

Pozbierałam z podłogi w przedpokoju wszystkie szpargały i wrzuciłam z powrotem do torebki. Położyłam na ladzie zepsuty alarm, zgasłam światło i wróciłam do łóżka. Leżałam w ciemnościach, a ostatnia groźba Munsona powracała w moich myślach jak bumerang. Nie miało znaczenia, czy naprawdę był szalony, czy tylko udawał; za kluczową sprawę uznałam to, że o mały włos nie zostałam bez sutka. Może nie powinnam kłaść się spać, dopóki nie założę zasuwy w

drzwiach. Powiedział, że wróci, a ja nie wiedziałam, czy to będzie za godzinę, czy następnego dnia.

Problem polegał na tym, że nie byłam w stanie leżeć z otwartymi oczami. Próbowalam coś zaśpiewać, ale zasnęłam w połowie piosenki *Dziewięćdziesiąt dziewięć butelek piwa na ścianie*. Pamiętałam tylko, że zanim zasnęłam, byłam przy pięćdziesiątej butelce piwa, a potem nagle się obudziłam z uczuciem, że nie jestem w pokoju sama. Zamarłam w bezruchu, z bijącym sercem i wstrzymanym oddechem. Nie było słychać odgłosu kroków na dywanie. W powietrzu nie unosił się zapach ciała szaleńca. To tylko irracjonalne przeświadczenie, że ktoś jest na moim terenie.

Zaraz potem, bez żadnego ostrzeżenia, poczułam, jak czyjeś palce zacisnęły się na moim nadgarstku, i zostałam pobudzona do czynu. Poziom adrenaliny w moim organizmie wzrósł i rzuciłam się z kanapy na intruza. Przez chwilę leżałam przyduszona przez niego, co nie było specjalnie niemiłym doświadczeniem, ponieważ stwierdziłam, że to Ranger.

Leżeliśmy pierś przy piersi, udo przy udzie, z jego dłońmi zacisniętymi na moich nadgarstkach. Przez chwilę tylko oddychaliśmy.

- Niezła akcja, laleczko - powiedział. I pocałował mnie.

Tym razem nie miałam wątpliwości co do jego intencji. To nie był sposób, w który całuje się na przykład kuzynkę. Był to raczej sposób, w który mężczyzna całuje kobietę, kiedy chce zderzyć z niej ubranie i sprawić, żeby zaśpiewała swój hymn.

Pocałował mnie jeszcze mocniej, a jego dłonie powędrowały pod mój podkoszulek i zaczęły błądzić po brzuchu. Dzięki Bogu, że jeszcze miałam obydwa sutki! Elektryzujący powiew gorąca sprawił, że narzmiły.

Drzwi od sypialni otwały się z hukiem i wyjrzała z nich babcia.

- Hej tam, wszystko w porządku?
- Wspaniale! Teraz akurat się obudziła!
- Tak. Wszystko gra - powiedziałam.
- Czy to Ranger leży na tobie?
- Pokazywał mi właśnie jeden z chwytów samoobrony.
- Nie miałabym nic przeciwko nauce samoobrony - oświadczyła babcia.

babcia.

- Właśnie skończyliśmy.

Ranger stoczył się ze mnie i położył się na plecach.

- Gdyby nie była twoją babcią, to bym ją zastrzelił.

- Kurza twarz - zakłęła babcia. - Zawsze najlepsze kawałki przechodzą mi koło nosa.

- Wstałam i poprawiłam koszulkę.

- Nie straciłaś wiele. Miałam właśnie zamiar zrobić czekoladę na gorąco. Chcesz filiżankę?

- Jasne - powiedziała babcia. - Pójdę włożyć szlafrok.

Ranger spojrział na mnie. W pokoju panował mrok, tylko wąska strużka światła padała z otwartych drzwi do sypialni. Jednak było na tyle jasno, że dostrzegłam uśmiech na jego ustach i groźny wzrok.

- Ocalona przez babcię.

- Napijesz się gorącej czekolady?

- Poszedł za mną do kuchni.

- Dalej.

Dałam mu kartkę z rysunkiem.

- Szkic, który chciałeś.

- Chcesz mi powiedzieć o czymś jeszcze? Wiedział o Alexandrze Ramosie.

- Skąd wiesz?

- Obserwowałem dom przy plaży. Widziałem, jak Ramos wsiadał do twojego samochodu.

Nalałam mleka do dwóch kubków i wstawiłam je do mikrofal.

- O co w tym wszystkim chodzi? Zatrzymał mnie, żeby wyłudzić papierosa.

Ranger uśmiechnął się.

- Czy kiedykolwiek próbowałaś rzucić palenie?

- Pokręciłam głową.

- To nie zrozumiesz tego.

- Palileś?

- Robiłem wszystko. - Wziął z lady wykrywacz ruchu i obrócił go w dłoń. - Zauważyłem zerwany łańcuch przy drzwiach.

- Dzisiaj w nocy nie jesteś moim jedynym gościem.

- Co się stało?

- Taki jeden, który się nie stawiał, włamał się do mojego mieszkania. Postrzeliłam go w stopę i poszedł sobie.

- Zdaje się, że nie czytałaś *Podręcznika dla łowców nagród*. Naszym zadaniem jest łapać tych kolesiów i pakować ich z powrotem do więzienia.

Wsyspałam czekoladę do gorącego mleka.

- Ramos chce, żebym dzisiaj znowu tam była. Zaoferował mi posadę osobistego przemytnika papierosów.

- To nie jest praca dla ciebie. Alexander potrafi zachowywać się gwałtownie, dziwacznie i paranoidalnie. Ma zapisane leki, ale nie zawsze je bierze. Hannibal wynajął ochroniarzy, żeby mieli go na oku, ale on robi facetów w konia. Wymyka się spod ich kontroli, kiedy tylko nadarza się okazja. Między Hannibalem a Alexandrem trwa próba sił, a ty przecież nie chcesz dostać się w krzyżowy ogień.

- Czyż to nie jest miłe? - zachwyciła się babcia, człapiąc do kuchni i porywając kubek czekolady. - Mieszkanie z tobą jest prawdziwą frajdą. Kiedy mieszkałam z twoją matką, w środku nocy nigdy nie odwiedzali nas mężczyźni.

Ranger odłożył alarm na ladę.

- Muszę iść. Miłego picia czekolady.

- Odprowadziłam go do drzwi.

- Czy mam coś jeszcze dla ciebie zrobić? Sprawdzić pocztę? Podlać kwiatki?

- Pocztcę przekazują mojemu prawnikowi. A kwiatki podlewam sam.

- Więc czujesz się dobrze w swojej jaskini Batmana?

W kącikach jego ust pojawił się cień uśmiechu. Pochylił się do przodu i pocałował mnie w kark, tuż nad wycięciem podkoszulka.

- Słodkich snów.

Zanim wyszedł, pożegnał się z babcią, która była jeszcze w kuchni.

- Cóż za miły i uprzejmy młody człowiek - orzekła babcia. - No i nieźle przypakowany.

Zajrzałam do szafy babci, znalazłam butelkę alkoholu i dołałam trochę do mojej czekolady.

Nazajutrz rano obie z babcią miałyśmy kaca.

- Nie mogę pić czekolady tak późno w nocy - powiedziała babcia. - Czuję się tak, jakby za chwilę miały mi eksplodować oczy. Może powinnam zrobić sobie badania na jaskrę.

- A może raczej powinnaś sprawdzić poziom alkoholu we krwi?

Połknęłam kilka tabletek aspiryny i powlokłam się na parking. Byli tam już Habib i Mitchell, którzy czekali na mnie w minivanie z dwoma fotelikami dla dzieci na tylnym siedzeniu, ale bez dzieci.

- Niezły samochód zwiadowczy - powiedziałam. - świetnie się nadaje.

- Nie zaczynaj - ostrzegł Mitchell. - Nie jestem w nastroju.

Spojrzał na mnie złowrogo.

- Ułatwię wam życie, żebyście się nie zgubili, i powiem, że najpierw jadę do biura.

- Nienawidzę tego miejsca - powiedział Habib. - Jest przeklęte! To dzieło diabła!

Pojechałam do biura i zaparkowałam przed wejściem. Habib zatrzymał się kawałek dalej i nie wyłączył silnika.

- Cześć, przyjaciółko - powitała mnie Lula. - A gdzie Bob?

- Został z babcią. Śpią.

- Wydaje mi się, że ty też powinnaś się przespać. Wyglądasz potwornie. Jeśli reszta twojej twarzy byłaby tak czarna, jak twoje cienie pod oczami, to mogłabyś zamieszkać w moim sąsiedztwie. Oczywiście dobra wiadomość jest taka, że dzięki tym czarnym cieniom i przekrwionym oczom prawie nie widać tego wielkiego, paskudnego pryszcza.

A naprawdę dobrą wiadomością było to, że dzisiaj jeszcze nie zwróciłam na ten pryszczyk uwagi. To zabawne, że taka drobnostka, jak groźba utraty życia, może zmniejszyć znaczenie pryszcza. Dzisiaj najbardziej zależało mi na schwytaniu Munsona. Nie chciałam zaliczyć kolejnej bezsennej nocy ze strachu, że stanę w płomieniach.

- Mam przeczucie, że Morris Munson wrócił dzisiaj rano do swojego domu - powiedziałam do Luli. - Jadę tam i mam zamiar go zdeptać.

- Jadę z tobą. Nie mam nic przeciwko temu, żeby kogoś dzisiaj zdeptać. Jestem dzisiaj naprawdę w nastroju do deptania.

Wyjęłam broń z torebki.

- Wygląda na to, że nie mam naboji - powiedziałam do Connie. - Masz gdzieś zapasowe?

- Vinnie wyjrzał z gabinetu.

- Wkładasz naboje do rewolweru? Czy ja dobrze słyszałem? A cóż to za okazja?

- Często miewam naładowany rewolwer - oświadczyłam, mrużąc oczy, i wkurzyłam się. - Właśnie ostatniej nocy kogoś postrzeliłam.

Wszystkim zapało dech.

- Kogo postrzeliłaś? - zapytała Lula.

- Morrisa Munsona. Włamał się do mojego mieszkania.

Vinnie poruszył się gwałtownie.

- Gdzie on jest? Nie żyje? Nie postrzeliłaś go w plecy, prawda? Zawsze powtarzam - tylko nie w plecy!

- Nie postrzeliłam go w plecy. Trafiłam w stopę.

- I co? Gdzie on jest?

- A niech to - powiedziała Lula. - Postrzeliłaś go w stopę ostatnią kulą, co? Spaprałaś sprawę i zabrakło ci naboji. - Pokiwała głową. - Nie masz już dość takich numerów?

Connie przyniosła z drugiego pokoju pudełko naboji.

- Jesteś pewna, że je chcesz? - zapytała mnie. - nie wyglądasz najlepiej. Nie wiem, czy to dobry pomysł, żeby dawać paczkę naboji kobiecie, kiedy ma pryszcz.

Włożyłam cztery naboje do rewolweru, a pudełko wrzuciłam do torby.

- Nic mi nie będzie.

- To się nazywa kobieta z planem - pochwaliła Lula.

To się nazywa kobieta z kaczem, która chce jedynie jakoś przetrwać dzień.

W połowie drogi do domu Munsona, na Rockwell Street, zatrzymałam się przy krawężniku. Habib i Mitchell, którzy jechali za mną, skrzywili się.

- To musiała być noc - zagadnęła Lula.

- Nie chcę o tym myśleć. - I nie powiedziałam tego ot, tak sobie. Naprawdę nie chciałam o tym myśleć. Chodziło mi o to, co, u diabła, jest grane między mną a Rangerem? Chyba pożegnałam się z rozumem! Nie mogłam uwierzyć w to, że siedziałam z babcią,

popijając bourbona i czekoladę na gorąco. Nie mam głowy do picia. Jestem pijana po dwóch butelkach piwa. Czułam się tak, jakby mój mózg eksplodował gdzieś w przestrzeń, a ciało pozostało w tyle.

Przejechałam kolejne pięćset metrów i wtoczyłam się na wjazd do McDonalda, żeby kupić niezawodne remedium na mojego kaca: frytki i coca-colę.

- Skoro już tu jesteśmy, też mogę zjeść małe co nieco - oświadczyła Lula. - Jajko McMuffin, płatki śniadaniowe, koktajl czekoladowy i Big Mac! - krzyknęła mi przez ramię.

Poczułam mdłości.

- To ma być przekąska?

- Masz rację - powiedziała. - Bez płatków śniadaniowych.

Gość w okienku podał mi torbę z jedzeniem i spojrzał na tylne siedzenie buicka.

- A gdzie pies?

- W domu.

- To dobrze. Ostatnio nieźle narozrabiał. Proszę pani, to była góra...

Nacisnęłam na pedał gazu i odjechałam. W drodze do domu Munsona jedzenie zniknęło, a ja poczułam się znacznie lepiej.

- Skąd wiesz, że ten facecik tutaj wrócił? - zapytała Lula.

- Mam przeczucie. Musiał zabandażować stopę i zabrać inne buty. Na jego miejscu poszłabym w tym celu do domu. Była późna noc. A gdybym już dotarła do własnego domu, to chciałabym się przespać we własnym łóżku.

Patrząc na dom z zewnątrz, trudno było coś powiedzieć. W oknach ciemno. Ani znaku życia wewnątrz. Objechałam domy i wjechałam na dróżkę prowadzącą do garażu. Lula wysiadła i zajrzała tam przez okno.

- Jest w domu, wszystko gra - powiedziała, pakując się z powrotem do Wielkiego Błękitu. - A przynajmniej stoi tutaj ten jego wrak.

- Masz swój paralizator i sprej?

- A czy laska ma ptaszka? Mogłabym dokonać inwazji na Bułgarię tą kupą gówna, którą mam w torbie.

Zajechałam z powrotem od frontu domu i wysadziłam Lulę, żeby pilnowała drzwi wejściowych. Następnie zaparkowałam samochód dwa domy dalej, na dróżce dojazdowej, poza zasięgiem wzroku Munsona.

Habib i Mitchell zaparkowali za mną tym swoim samochodem dla dzieci, zamknęli się i wyjęli torby ze śniadaniem z McDonalda. Przedarłam się przez dwa podwórka, dostałam się na tyły domu Munsona i zajrzałam przez okno kuchenne. Nic. Na stole leżało pudełko plastrów i rolka papierowych ręczników. Czyżbym była geniuszem? Zrobiłam krok do tyłu i spojrzałam na piętro. Usłyszałam niewyraźny odgłos lejącej się wody. Munson brał prysznic. Ludzie, życie jest piękne.

Spróbowałam otworzyć drzwi. Zamknięte na zamek. Spróbowałam okna. Też zamknięte. Miałam zamiar wybić jedno z nich, kiedy Lula otworzyła tylne drzwi.

- Drzwi wejściowe nie były zanadto zamknięte - powiedziała.

Musiałam być jedyną osobą na świecie, która nie umie otworzyć zamka w drzwiach.

Stałyśmy w kuchni, nasłuchując. Na górze nadal lała się woda. Lula w jednej ręce trzymała paralizator, a w drugiej sprej. Ja miałam jedną rękę wolną, a w drugiej ścisiskałam kajdanki. Weszłyśmy schodami na palcach i zatrzymałyśmy się na samej górze. Domek był nieduży. Na górze dwie sypialnie i łazienka. Drzwi do sypialni otwarte, w pokoju nikogo. Drzwi do łazienki zamknięte. Lula stanęła z boku, czając się ze sprejem w ręce. Ja stanęłam po drugiej stronie. Obie dokładnie wiedziałyśmy, jak to się robi, bo oglądałyśmy programy o glinach. Munson nie nosił ze sobą broni, a poza tym to nieprawdopodobne, żeby był uzbrojony, stojąc pod prysznicem, ale ostrożność nie szkodziła.

- Liczę do trzech - pokazałam Luli, poruszając ustami i trzymając rękę na klamce. - Raz, dwa, trzy!



## Rozdział 9

- Poczekaj - powiedziała Lula. - Przecież on będzie goły. Może nie chcemy tego oglądać. W swojej karierze widziałam mnóstwo ohydnych facetów. Nie palę się do takich widoków.

- Pieprzę jego nagość - oświadczyłam. - Interesuje mnie to, czy on ma nóż albo miotacz gazu.

- Racja.

- Dobra, liczę od początku. Przygotuj się. Raz, dwa, trzy!

Otworzyłam drzwi do łazienki i obie wpadłyśmy do środka.

Munson odciągnął na bok zasłonę przy prysznicu.

- Co, u diabła?

- Jesteś aresztowany - poinformowała Lula. - I byłibyśmy wdzięczne, gdybyś wziął ręcznik, bo nie mam ochoty patrzeć na twoje żalodne, zwiędłe części intymne.

Miał na głowie mnóstwo piany, a na stopie opatrunek, zabezpieczony reklamówką, ciasno przymocowaną do kostki bandażem elastycznym.

- Jestem szurnięty! - wrzasnął. - Jestem pojaranym czubkiem i nigdy nie weźmiecie mnie żywcem!

- Tak, ale mimo wszystko - odrzekła Lula, dając mu ręcznik - zakręcisz wodę?

Munson wziął ręcznik i cisnął nim w Lulę.

- Hej! - powiedziała Lula. - Uspokój się. Rzuć we mnie tym ręcznikiem jeszcze raz, a dostaniesz kopa sprejem.

Munson znowu rzucił ręcznikiem.

- Tłuscioch, tłuscioch, tłuscioch - podśpiewywał.

Lula zapomniała o spreju i zdzieliła go w kark. Munson sięgnął ręką do góry, puścił prysznic na Lulę i wyskoczył z brodzika. Próbowałam go chwycić, ale był mokry i śliski od mydła, a Lula wykonywała rozpaczliwe, nieskoordynowane ruchy, usiłując uciec przed wodą.

- Pyskaj na niego! - krzyknęłam do Luli. - Poraż go prądem! Zastrzel go! Zrób coś!

Munson odepchnął nas na bok i pognał schodami w dół. Byłam tuż za nim, a Lula biegła jakieś trzysta metrów za mną. Stopa musiała go

nieźle rwać, ale biegł równym tempem przez dwa podwórka, a potem odbił w kierunku drogi dojazdowej. Dałam dużego susa i złapałam go za plecy. Przewróciliśmy się na ziemię, turlając się w uścisku, klnąc i drapiąc. Munson usiłował się wyrwać i uciec, a ja starałam się kurczowo go trzymać i założyć mu kajdanki. Byłoby znacznie prościej, gdyby miał na sobie ubranie, za które mogłabym chwycić. Ale w tej sytuacji naprawdę nie miałam ochoty chwycić go za to, za co się dało.

- Walnij go tam, gdzie boli! - krzyczała Lula. - Walnij go tam, gdzie boli!

No to walnęłam. Przychodzi taki moment, w którym człowiekowi po prostu nie chce się dłużej turlać. Przekręciłam się na plecy i dałam Munsonowi kopniaka w jaja.

- Auuu! - zawył, przybierając pozycję embriona. Odciągnęliśmy jego ręce od smętnego worka i skułyśmy je kajdankami na plecach.

- Szkoda, że nie mogłam nakręcić kamerą wideo, jak mocowałeś się z tym kolesiem - powiedziała Lula. - Przypominało mi to kawał o tym karle w komunie nudystów, który ciągle wsadzał nos w czyjś interes.

Mitchell i Habib wysiedli z samochodu, stali w odległości stu metrów, wyglądali na zdenerwowanych.

- Przeczuwałam to od początku - oświadczył Mitchell. - Wystarczyło tylko słowo, że mamy się rzucić na ratunek, jak bum cykorcia.

Lula pobiegła do domu, żeby zabrać prześcieradło i zamknąć drzwi. Habib, Mitchell i ja zaciągnęliśmy Munsona do buicka. Kiedy wróciła Lula, zawinęliśmy faceta w prześcieradło, wrzuciliśmy na tylne siedzenie i zawieźliśmy na posterunek przy North Clinton. Podjechaliśmy do tylnego wejścia, do którego prowadził podjazd.

- Zupełnie jak w McDonalddie - zauważyła Lula. - tylko że tutaj się wyrzuca, a tam się zabiera.

Zadzwoiłam domofonem i przedstawiłam się. Chwilę potem Carl Costanza otworzył drzwi i spojrzał na buicka.

- A tym razem co? - powiedział.

- Na tylnym siedzeniu mam ciało. Morris Munson. NSS.

Carl zajrzał do środka przez szybę i uśmiechnął się.

- On jest goły.

- Głośno westchnęłam.
- Nie będziesz chyba utrudniał mi tej sprawy?
- Hej, Juniak! - krzyknął Costanza. - Chodź tutaj zobaczyć tego gołego kolesia. Zgadnij, kto go przyprowadził!
- Dobra - powiedziała Lula do Munsona. - Koniec jazdy. Możesz wysiąść.
- Nie - odparł Munson. - Nigdzie nie wysiadam.
- Kurna, właśnie że wysiadasz.
- Nadszedł Juniak i dwóch innych gliniarzy. Każdy miał na ustach głupkowaty uśmiech policjanta.
- Czasami myślę sobie, że to naprawdę beznadziejna praca - zauważył jeden z nich. - Ale kiedy widzę coś takiego, to stwierdzam, że naprawdę warto. Dlaczego ten goły koleś ma na nodze reklamówkę?
- Postrzeliłam go - wyjaśniłam.
- Costanza i Juniak wymienili spojrzenia.
- Nie chcę nic o tym wiedzieć - rzekł Costanza. - Nic nie słyszałem.

Lula spojrzała na Munsona wzrokiem bazyliuszka.

- Nie wyciągniesz swoich kościstych białych zwłok z tego samochodu? Ja to zrobię.
- Odwal się - rzucił Munson. - Odwal się z tym swoim tłustym tyłkiem.

Wszyscy gliniarze wstrzymali oddech i zrobili krok do tyłu.

- No i dograłeś się - oświadczyła Lula. - Zepsułeś mi humor. Zniszczyłeś moje pozytywne nastawienie. A teraz pójdę tam i wyrwę cię z tego samochodu jak karłowatego szczura, którym jesteś. - Lula wygramoliła się z samochodu i szarpnęła tylne drzwi.

Munson wyskoczył z wozu.

Owinęłam go znów w prześcieradło i wszyscy powlekliśmy się na posterunek policji, z wyjątkiem Luli, która miała fobię na punkcie posterunków. Wycofała samochód z podjazdu, znalazła miejsce i zaparkowała.

Przykułam Munsona kajdankami do ławki przy rejestracji, oddałam dokumenty i dostałam pokwitowanie odbioru. Kolejnym punktem na mojej liście spraw do załatwienia był Brian Simon.

Wchodziłam właśnie na trzecie piętro, kiedy zatrzymał mnie Costanza.

- Jeśli szukasz Simona, to nie musisz się wysilać. Zwiął natychmiast, jak usłyszał, że tutaj jesteś. - Otaksował mnie wzrokiem. - Nie chcę być niegrzeczny, rozumiesz, ale wyglądasz jak wywłoka.

Byłam od stóp do głów w kurzu, miałam dziurę na kolanie, moje włosy wyglądały, jakby przeszedł przez nie tajfun, no i jeszcze ten pryszcz.

- Wyglądasz, jakbyś nie spała całe wieki... - powiedział Costanza.

- Bo nie spałam.

- Mógłbym pogadać z Morellim.

- To nie Morelli. To moja babcia. Wprowadziła się do mnie i chrapie. - Nie wspomniałam o Księżycu. I o świrach. I o Rangerze.

- Czy ja dobrze zrozumiałem? Mieszkasz z babcią i z psem Simona?

- Tak.

Costanza uśmiechnął się pod nosem.

- Hej, Juniak! - krzyknął. - Padniesz, jak to usłyszysz. - Znowu spojrzał na mnie. - Nic dziwnego, że Morelli jest w takim podłym nastroju.

Wyszłam z posterunku, pojechałam do biura i weszłam z Lula, żeby móc pławić się w swojej sławie łowcy nagród. Lula i ja ujęliśmy naszego ściganego. Stanowił wielką zdobycz. Maniakalny zabójca. Oczywiście akcja nie była zupełnie wolna od błędów, ale najważniejsze, że go dorważyliśmy.

Rzuciłam pokwitowanie odbioru na biurko Connie.

- Chyba jesteśmy niezłe? - zapytałam. Vinnie wyjrzał z gabinetu.

- Czy dobrze słyszałam, że kogoś złapano?

- Morrisa Munsona - poinformowała Connie. - Podpisano, opieczętowano, dostarczono.

Vinnie stanął pewnie na nogach, trzymając ręce w kieszeniach, a na jego twarzy pojawił się promienny uśmiech.

- Świetnie.

- Tym razem nie udało mu się nawet podpalić żadnej z nas - oświadczyła Lula. - Byłyśmy niezłe. Zaciągnęłyśmy go za tyłek do mamra.

Connie rzuciła wzrokiem na Lulę.

- Wiesz, że jesteś cała mokra?
- Tak. Wyciągnęłyśmy tego dupka spod prysznica.
- Vinnie podniósł brwi aż do czoła.
- Chcesz mi powiedzieć, że kiedy go aresztowałyście, był goły?
- Tak, to wszystko przez niego, bo wybiegł z domu i uciekał -

powiedziała Lula.

Vinnie pokiwał głową, uśmiechając się jeszcze szerzej.

- Kocham tę robotę.

Connie wręczyła mi zapłatę, a ja dałam Luli należną jej część pieniędzy i pojechałam do domu, żeby się przebrać.

Babcia była jeszcze w domu i przygotowywała się do lekcji jazdy.

Była ubrana w swój ciepły kostium w kolorze purpury, tenisówki na koturnach i bawełnianą bluzkę z długimi rękawami, z napisem: „Zjedz moje figi” na piersiach.

- Dzisiaj w windzie spotkałam mężczyznę - oświadczyła. - Zaprosiłam go do nas na kolację.

- Jak się nazywa?

- Myron Landowsky. To stary piernik, ale pomyślałam, że w końcu od czego trzeba zacząć. - Wyjęła z szuflady portfel, wsadziła go sobie pod pachę i poklepała Boba po łbie. - Bob był dzisiaj grzecznym chłopcem, z wyjątkiem tego, że zjadł rolkę papieru toaletowego. Aha, mam nadzieję, że moglibyśmy sobie pojeździć z tobą i Josephem. Myron nie prowadzi samochodu po zmroku, bo w nocy nic nie widzi.

- Nie ma sprawy.

Zrobiłam sobie grzankę ze smażonym jajkiem na obiad, włożyłam inne dzinsy, uczesałam włosy w trochę głupkowaty koński ogon, zasmarowałam pryszcz toną korektora, wytuszczałam rzęsy i przejrzałam się w lustrze. Stephanie, Stephanie, Stephanie, powiedziałam w duchu. Co ty wyprawiasz?

Stopniowo sama siebie przekonuję do powrotu na wybrzeże, to właśnie wyprawiam. Głowa mi pękała od świadomości, że schrzaniłam okazję porozmawiania z Alexandrem Ramosem. Wczoraj siedziałam z nim przy stoliku jak ostatni matole. Śledziliśmy rodzinę Ramosów, a kiedy przypadkiem wpuszczono mnie do kurnika, nie zadałam kogutowi ani jednego pytania. Nie miałam wątpliwości co do tego, że

rada Rangera, abym trzymała się z daleka od Alexandra Ramosa, jest rozsądna. Z drugiej strony, wydawało mi się, że tylko mięczak nie wróciłby tam i nie spróbował lepiej wykorzystać sytuacji.

Wzięłam kurtkę i przypięłam smycz do obroży Boba. Zatrzymałam się w kuchni, żeby pożegnać Reksa i włożyć rewolwer z powrotem do miski na herbatniki. Pomyślałam, że gdybym miała w pełnym oporządzeniu wywieźć Ramosa, nie skończyłoby się to chyba dobrze. Jeśliby Ramos lub jego opiekunowie mnie przeszukali, byłoby mi trudno wytłumaczyć, dlaczego mam przy sobie broń.

Kiedy zeszałam na dół, spotkałam na parkingu Joyce Barnhardt.

- Wyglądasz ślicznie. Zupełnie jak pizza - powiedziała. Domyśliłam się, że korektor nie był całkowicie skuteczny.

- Chcesz czegoś?

- Wiesz, czego chcę.

Joyce nie była jedyną idiotką, która kręciła się po parkingu. Na drugim końcu stali Habib i Mitchell. Podeszłam do nich, a Mitchell opuścił szybę po stronie kierowcy.

- Widzicie tę kobietę, z którą przed chwilą rozmawiałam? - zapytałam. - Nazywa się Joyce Barnhardt. Jest agentką do poszukiwania osób zwolnionych za kaucją, którą Vinnie wynajął, żeby schwycić Rangera. Jeśli chcecie dostać Rangera, musicie śledzić Joyce.

Obaj popatrzyli się na Joyce.

- W mojej wiosce, jeśli kobieta byłaby tak ubrana, rzucalibyśmy w nią kamieniami, dopóki byśmy jej nie zabili - powiedział Habib.

- Ale ma niezłe cycki - zauważył Mitchell. - Prawdziwe?

- Z tego, co wiem, tak.

- Jakie ona ma szansę, żeby złapać Rangera?

- Żadne.

- A ty jakie masz szansę?

- Też żadne.

- Kazali nam obserwować ciebie - oznajmił Mitchell. - I tak zrobimy.

- To niedobrze - powiedział Habib. - Naprawdę lubię patrzeć na tę dziwkę Joyce Barnhardt.

- Zamierzacie jeździć za mną całe popołudnie?

- Mitchell poczerwieniał.
- Mamy inne zajęcia.
- Uśmiechnęłam się.
- Trzeba odwieźć samochód do domu?
- Na cholerny złom - wyjaśnił Mitchell. - Mój dzieciak grał w piłkę nożną.

Poszłam do buicka i wpakowałam Boba na tylne siedzenie. Przynajmniej dzięki piłce nożnej nie musiałam się martwić, że ktoś będzie za mną jeździł. Popatrzyłam w lusterko, żeby się upewnić. Habiba i Mitchella nie było, ale na ogonie siedziała mi Joyce. Zjechałam na pobocze i zatrzymałam się. Joyce zatrzymała się sto metrów za mną. Wsiadłam z samochodu i podeszłam do niej.

- Daj sobie siana - zaproponowałam.
- To jest wolny kraj.
- Masz zamiar jeździć za mną cały dzień?
- Prawdopodobnie.
- Przypuśćmy, że ładnie cię poproszę.
- Najpierw to zrób.

Popatrzyłam na jej samochód. Nowy czarny SUV. Potem spojrzałam na swój Wielki Błękit. Wróciłam do niego i wsiadłam.

- Poczekaj - powiedziałam do Boba. A potem wrzuciłam wsteczny bieg.

Trzask.

Zmieniłam bieg i podjechałam kawałek do przodu. Wsiadłam i oceniłam straty. Zderzak wozu Joyce był obrazem zniszczenia, a ona sama mocowała się z otwartą poduszką powietrzną. Tył buicka znajdował się w doskonałym stanie. Ani jednej rysy. Wróciłam do auta i odjechałam. Zadzieranie z kobietą, która ma pryszcz, nie jest najlepszym pomysłem.

W Deal było pochmurno, a nad oceanem unosiła się mgła. Bure niebo, bury ocean, bure chodniki, duży różowy dom Alexandra Ramosa. Przejechałam obok domu, zawróciłam na przełączce, znowu minęłam dom, skręciłam i zatrzymałam się za rogiem. Byłam ciekawa, czy Ranger obserwuje teren. Stawiałam na to, że tak. Na ulicy nie widziałam żadnych vanów ani ciężarówek. Znaczyło to, że musiał być w domu. I że nie ma tam nikogo oprócz niego. Patrząc od strony plaży,

łatwo tu stwierdzić, czy ktoś jest w domu. Trudniej to określić od strony ulicy.

Popatrzyłam na zegarek. To samo miejsce, ta sama pora. A Ramosa nie ma. Po dziesięciu minutach zadzwonił telefon.

- Cześć - powiedział Ranger.
- Cześć.
- Nie przestrzegasz specjalnie surowo poleceń.
- Masz na myśli sprawę odmowy przyjęcia posady przemytnika papierosów? Wydawała się zbyt interesująca, żeby sobie odpuścić.
- Będziesz ostrożna, prawda?
- Jasne.
- Nasz gość ma problemy z wyjściem z domu. Czeka tam.
- Skąd o tym wiesz? Gdzie jesteś?
- Bądź gotowa. Przedstawienie trwa - rzucił Ranger. I rozłączył się.

Alexander Ramos pojawił się w bramie i pobiegł przez ulicę w moim kierunku. Szarpnął drzwi buicka i dał nura do środka.

- Jedź! - krzyknął. - Jedź!

Odjechałam od krawężnika i zobaczyłam w lusterku dwóch mężczyzn w garniturach, którzy pędzili w naszą stronę. Nacisnęłam mocniej na pedał gazu.

Ramos wyglądał fatalnie. Był blady, spocony i ciężko oddychał.

- Boże - powiedział. - Nie sądziłem, że to zrobię. W tym domu trwa jakieś cholerne przedstawienie dla czubków. Na szczęście wyrząłem przez okno i zobaczyłem twój samochód. Myślałem, że dostanę tam fisia.

- Chce pan jechać do sklepu?
- Nie. To pierwsze miejsce, gdzie będą mnie szukać. Nie mogę też jechać do Sala.

Zaczęłam mieć złe przeczucia. Na przykład, że jest to jeden z tych dni, kiedy Alexander nie wziął leków.

- Zabierz mnie do Asbury Park - powiedział. - Znam jedno miejsce w Asbury.

- Dlaczego ci mężczyźni pana gonili?
- Nikt mnie nie gonił.
- Ale ja ich widziałam.
- Nic nie widziałas.



Dziesięć minut później wskazał palcem.

- Tam. Zatrzymaj się przy tamtym barze.

Wszyscy troje weszliśmy do baru, usiedliśmy przy stoliku i odbył się ten sam rytuał co poprzednim razem. Barman bez słowa przyniósł butelkę ouzo. Ramos wychylił dwie szklaneczki i zapalił papierosa.

- Wszyscy pana znają - zauważyłam.

Spojrzał na odrapane łóżki po jednej stronie lokalu i na ciemny mahoniowy bar po drugiej stronie. W barze stał typowy zestaw butelek. Za butelkami zwyczajne barowe lustro. Jeden taboret na drugim końcu sali był zajęty. Siedział na nim mężczyzna ze wzrokiem wlepionym w drinka.

- Przychodzę tutaj od kilku lat - wyjaśnił Ramos. - Przychodzę tutaj, kiedy muszę uciec od tych świrów.

- Świrów?

- Mojej rodziny. Wychowałem trzech beznadziejnych synów, którzy wydają pieniądze szybciej, niż ja je zarabiam.

- Pan jest Alexander Ramos, prawda? Jakiś czas temu widziałam pana zdjęcie w „Newsweeku”. Przykro mi z powodu Homera. Czytałam w gazecie o tym pożarze.

Wychylił następną szklaneczkę.

- O jednego świra na głowie mniej.

Zbladłam. Jak na ojca, było to przerażające stwierdzenie.

Zaciągnął się głęboko, zamknął oczy i delektował się przez chwilę.

- Myślą że stary nie wie, co się dzieje. Mylą się. Stary wie wszystko. Nie zbiłbym fortuny, gdybym był głupi. Ani gdybym był miły, więc niech lepiej uważają, co robią.

- Spojrzałam za siebie na drzwi.

- Jest pan pewien, że możemy się tutaj czuć bezpieczni?

- Z Alexandrem Ramosem zawsze jesteś bezpieczna. Nikt nie tknie Alexandra Ramosa.

Jasne, racja. Dlatego ukrywamy się w barze w Asbury. Tutaj czułem się bezpiecznie.

- Nie lubię, jak mi ktoś przeszkadza, kiedy palę - wyjaśnił. - Nie chcę patrzeć na te wszystkie pijawki.

- Dlaczego pan się ich nie pozbędzie? Nie powie, żeby się wynieśli z pana domu?

Spojrzał na mnie z ukosa zza kłębow dymu.

- Jak by to wyglądało? To przecież rodzina. - Rzucił papierosa na podłogę i przydeptał go. - Jest tylko jeden sposób, żeby pozbyć się rodziny.

O cholera.

- Na tym skończymy - powiedział. - Muszę wracać, zanim mój syn wdepcze mnie w ziemię.

- Hannibal?

- A jakże. Nie powinienem był posyłać go na studia. - Wstał i rzucił na stół plik banknotów. - A ty? Skończyłaś studia?

- Tak.

- I co teraz robisz?

Obawiam się, że gdybym mu powiedziała, iż jestem łowczynią nagród, zastrzełiby mnie.

- Raz to, raz owo.

- Masz wyższe wykształcenie i robisz nie wiadomo co?

- Mówi pan jak moja mama.

- Pewnie ją przez ciebie serce boli.

- Uśmiechnęłam się. Był absolutnie szalony, ale nawet go lubiłam.

Przypominał mi wujka Punky.

- Wie pan, kto zabił Homera?

- Homer sam się zabił.

- Czytałam w gazecie, że nie znaleziono przy nim broni, więc samobójstwo zostało wykluczone.

- To nie jest jedyny sposób, żeby popełnić samobójstwo. Mój syn był głupi i chciwy.

- Ale... pan go chyba nie zabił?

- Byłem w Grecji, kiedy go zastrzelono.

Nasze spojrzenia spotkały się. Oboje wiedzieliśmy, że to nie jest odpowiedź na pytanie. Ramos mógł wynająć kogoś, żeby zabił syna.

Odwiozłam go do Deal i zaparkowałam na poboczu, w pewnej odległości od różowego domu.

- Jeśli będziesz chciała kiedyś zarobić dwadzieścia dolców, po prostu stań na rogu - powiedział Ramos.

Uśmiechnęłam się. Nie wzięłam od niego żadnych pieniędzy i pewnie już tu nie wrócę.

- W porządku - odparłam. - Niech mnie pan wypatruje.

Odjechałam natychmiast, kiedy wysiadł z samochodu. Nie chciałam ryzykować, żeby namierzyli mnie ci goście w garniturach. Dziesięć minut później zadzwonił telefon.

- Krótka wizyta - powiedział Ranger.
- Pije, pali, idzie do domu.
- Dowiedziałaś się czegoś?
- Myślę, że on może mieć coś nie w porządku pod sufitem.
- Tu się zgadzamy.

Ranger czasami mówił, jakby był z ulicy, a innym razem można było pomyśleć, że jest maklerem. Ricardo Carlos Manoso, Tajemniczy Człowiek.

- Myślisz, że Ramos mógłby zabić własnego syna?
- Jest do tego zdolny.

- Twierdzi, że Homer zginął, ponieważ był głupi i chciwy. Znałeś Homera. Czy był głupi i chciwy? Powiedz mi.

- Homer miał najłabszy charakter spośród wszystkich trzech synów Ramosa. Zawsze szedł po linii najmniejszego oporu. Ale czasem ten oportunizm wychodził mu na złe.

- Dlaczego?

- Homer przepuszczał setki tysięcy dolców na hazard, a potem szukał łatwych sposobów zdobycia pieniędzy, takich jak napady z bronią w rękę na ciężarówkę albo handel narkotykami. Przy okazji narażał się mafii albo miewał zatargi z policją i Hannibal musiał wpłacać za niego kaucję.

Zaczęłam się zastanawiać, co wobec tego Ranger robił z Homerem Ramosem tej nocy, kiedy tamtego zamordowano. Nie było sensu pytać.

- Do usłyszenia, lalczko - zakończył rozmowę Ranger. I już go nie było.

Przyjechałam do domu akurat, żeby wyprowadzić psa i wziąć prysznic. Spędziłam pół godziny dłużej niż zwykle na układaniu włosów, aby wyglądało na to, że nie wysiłam się za bardzo, bo same w sobie są tak zachwycające, że i bez wszystkich zabiegów wyglądam szalowo. Ten ogromny brzydki pryszcz przy seksownych włosach wyglądał na świętokradztwo, więc ścisnęłam go, aż wystrzelił. Została po nim duża krwawa dziura na policzku. Niech to licho. Przyłożyłam

do dziury kawałek papieru toaletowego, żeby krew przestała lecieć, i zaczęłam robić makijaż. Przedtem włożyłam obcisłe czarne spodnie i czerwony sweterek z szalowym dekoltem. Oderwałam papier od policzka i cofnęłam się trochę, żeby się obejrzeć w lustrze. Worki pod oczami znacznie się zmniejszyły, a dziura w policzku zaczęła się już zasklepiać. Może nie byłam materiałem na modelkę z okładki, ale w przyćmionym świetle wszystko będzie w porządku.

Usłyszałam, jak drzwi wejściowe otworzyły się i zamknęły, a następnie babcia wpadła do łazienki w drodze do swojego pokoju.

- O kurczę, jazda samochodem to jest dopiero coś! - zachwyciła się. - Nie wiem, jak ja mogłam przez wszystkie te lata nie mieć prawa jazdy. Dzisiaj po południu odbyłam lekcję, a potem Melvina zabrała mnie do centrum i pozwoliła jeździć naokoło. Naprawdę mi wyszło. Z wyjątkiem tego, że kiedy raz nagle się zatrzymałam, Melvina dostała bólu pleców.

Usłyszałam dzwonek do drzwi i gdy otworzyłam, zobaczyłam w korytarzu charczącego Myrona Landowskyego. Landowsky zawsze przypominał mi skorupę żółwia z tą swoją wysuniętą do przodu łusą głową, usianą plamami wątrobowymi, z obwisłymi ramionami i spodniami podciągniętymi prawie pod szyję.

- Mówię pani, jeśli nie zrobią czegoś z tą windą, to się wyprowadzę - oświadczył. - Mieszkam tutaj od dwudziestu dwóch lat, ale jak nie będzie wyjścia, trudno, wyniosę się. Ta stara pani Bestler wsiada ze swoim chodzikiem do windy, a kiedy wysiada, naciska przycisk stopu. Widziałem, jak to robiła, z milion razy. Wysiadanie z windy zajmuje jej piętnaście minut, a potem ona sobie idzie, a przycisk dalej jest wciśnięty. Co w tej sytuacji ma robić reszta lokatorów? Musiałem zejść tutaj po schodach.

- Może przynieść panu szklanek wody?

- Masz jakiś alkohol?

- Nie.

- Nic nie szkodzi. - Rozejrzył się. - Przyszedłem, żeby zabrać twoją babcie. Idziemy na kolację.

- Szykuje się. Wyjdzie do pana za chwilę.

- Ktoś zapukał do drzwi i do mieszkania wszedł Morelli. Popatrzył na mnie. A potem spojrzął na Myrona.

- No to mamy podwójną randkę - powiedziałam. - o jest przyjaciel babci, Myron Landowsky.

- Proszę nam wybaczyć - rzucił Morelli, ciągnąc mnie za sobą do przedpokoju.

- I tak muszę na chwilę usiąść - oświadczył pan Landowsky. - Szedłem cały czas po schodach.

Morelli zamknął drzwi, przyparł mnie do ściany i pocałował. Kiedy skończył, spojrzałam na siebie, żeby się upewnić, czy nadal mam na sobie ubranie.

- Niech cię - powiedziałam. Wodził ustami po moim uchu.

- Jeśli nie wyrzucisz tych starszych państwa z mieszkania, to zaspokoje się sam.

Wiedziałam, co ma na myśli. Dzisiaj rano chciałam się zaspokoić pod prysznicem, ale niewiele mi to pomogło. Babcia otworzyła drzwi i wyjrzała.

- Przez chwilę myślałam, że poszłicie bez nas.

Pojechaliśmy buickiem, ponieważ nie zmieścilibyśmy się wszyscy do samochodu Morellego. Morelli prowadził, koło niego siedział Bob, a ja przy oknie. Babcia i Myron zajęli miejsca z tyłu i dyskutowali o związkach zobojętniających kwasy.

- Są jakieś nowości na temat morderstwa Ramosa?

- Nic nowego. Barnes nadal jest przekonany, że to Ranger.

- Nie ma innych podejrzanych?

- Dość, żeby zapełnić stadion. Ale nie ma przeciwko nim żadnych dowodów.

- A co z rodziną?

Morelli zmierzył mnie wzrokiem.

- A co ma być?

- Czy członkowie rodziny są podejrzаныmi w sprawie?

- Tak jak wszyscy inni w promieniu Bóg wie ilu kilometrów.

Mama stała w drzwiach, kiedy przyjechaliśmy. Wydawało się dziwne, że jest sama. W ciągu ostatnich kilku lat zawsze była koło niej babcia. Matka i córka, które zamieniły się rolami - babcia z przyjemnością zrzekła się odpowiedzialności rodzicielskiej, mama, krzywiąc się, zaakceptowała taki stan rzeczy, usiłując się odnaleźć jako kobieta w średnim wieku, która nagle zamieniła się w dziwaczną

połączenie tolerancyjnej matki i buntowniczej córki. Ojciec zaszył się w pokoju gościnnym i nie chciał mieć z tym nic wspólnego.

- Czyż to nie wspaniałe? - zachwyciła się babcia. - Wszystko wygląda inaczej, kiedy patrzy się z drugiej strony drzwi.

Bob, zwabiony unoszącą się w powietrzu wonią pieczeni wieprzowej, wyskoczył z samochodu i rzucił się na mamę.

Myron wygramolił się nieco wolniej.

- To jest prawdziwy samochód - powiedział. - Cacko. Takich samochodów już nie produkują. Te wszystkie nowoczesne auta to kupa śmieci. Plastikowa tandeta. Produkowana przez bandę obcokrajowców.

Do holu wparował mój ojciec. To była gadka w jego stylu. Ojciec był Amerykaninem w drugim pokoleniu i uwielbiał najeżdżać na obcokrajowców, wyłączając oczywiście swoich krewnych. Cofnął się nieco, kiedy zobaczył, że mówi to człowiek-żółt.

- To jest Myron - zaprezentowała go babcia. - Mam z nim randkę dziś wieczór.

- Ładny dom - pochwalił Myron. - Aluminiowa elewacja jest bezkonkurencyjna. To jest elewacja aluminiowa, prawda?

Bob biegał po całym domu jak oszalały, węsząc zapachy jedzenia. Zatrzymał się w holu i zaczął obwąchiwać ojca w miejscu, gdzie plecy tracą swą szlachetną nazwę.

- Zabierzcie stąd tego psa - powiedział ojciec. - Skąd się tu wziął?

- To jest Bob - wyjaśniła babcia. - On tylko chce się przywitać. Widziałam w telewizji program o psach i mówili, że obwąchiwanie tyłków przez psy jest tym samym, co podawanie ręki. Teraz wiem wszystko o psach. I naprawdę mamy szczęście, że wykastrowali Boba, zanim się zestarzał i popadł w nawyk ciupciania ludzkich nóg. Powiedzieli, że bardzo ciężko oduczyć psa tego nawyku.

- Kiedy byłem dzieckiem, miałem królika, który bzykał się z nogą - powiedział Myron. - Ludzie, kiedy już cię łąpsnął, to człowiek nie mógł się go pozbyć. Królikowi było wszystko jedno, na kogo włąził. Raz dorwał kota i prawie go zabił.

Czułam, jak Morelli chichocze bezgłośnie.

- Umieram z głodu - oznajmiła babcia. - Chodźmy coś zjeść.

Wszyscy usiedliśmy przy stole, oprócz Boba, który jadł w kuchni. Ojciec nałożył na swój talerz parę plasterów pieczeni i resztę podał

Morellemu. Podsuwaliśmy sobie tłuczone ziemniaki. I fasolkę szparagową, surówkę, koszyk z bułeczkami i małe marynowane buraczki.

- Ja dziękuję za buraczki - powiedział Myron. - Mam po nich rozwolnienie. Nie wiem, jak to jest, starzejesz się i wszystko powoduje rozwolnienie.

Trzeba się z tym liczyć.

- Na szczęście można jeździć - odrzekła babcia. - Na szczęście nie trzeba kupować narkotyków. Teraz, kiedy Diler nie będzie robił interesów, ceny narkotyków strzelą w górę. Inne rzeczy też będą poza zasięgiem. Kupiłam ten samochód w samą porę.

Mama i ojciec podnieśli głowy znad talerzy.

- Kupiłaś samochód? - zapytała mama. - Nic o tym nie wiedziałam.

- To jeszcze małe piwo - powiedziała babcia. - Kupiłam czerwoną corvette.

- Mama przeżegnała się.

- Dobry Boże - westchnęła tylko.

## Rozdział 10

- Skąd wzięłaś pieniądze na corvette? - zapytał ojciec. - Przecież dostajesz tylko emeryturę.

- Miałam forszę ze sprzedaży domu - powiedziała babcia. - A poza tym ubiłam niezły interes. Nawet Księżyc powiedział, że to był niezły interes.

Mama znowu się przeżegnała.

- Księżyc - powtórzyła z nutą hysterii w głosie. - Kupiłaś samochód od Księżycyca?

- Nie od Księżycyca - odparła babcia. - Księżyc nie sprzedaje samochodów. Kupiłam go od Dilerka.

- Dzięki Bogu - rzekła mama z ulgą, kładąc rękę na sercu. - Przez chwilę myślałam... No cóż, cieszę się, że poszłaś do dilera samochodów.

- Nie do dilera samochodów - wyjaśniła babcia. - kupiłam samochód na czarnym rynku. Zapłaciłam za niego czterysta pięćdziesiąt dolarów. To nieźle, prawda?

- Zależy - zauważył ojciec. - Ma silnik?

- Nie zagłądałam - powiedziała babcia. - A wszystkie samochody mają silniki?

Joe najwyraźniej cierpiał. Nie chciał być osobą, która podkablkuje babcie za posiadanie kradzionego wozu.

- Kiedy oglądałyśmy z Louise samochody, na podwórku u Dilerka stało dwóch mężczyzn i rozmawiało o Homerze Ramosie - ciągnęła babcia. - Mówili, że handlował samochodami na dużą skalę. Nie wiedziałam, że rodzina Ramosów zajmuje się handlem samochodami. Myślałam, że sprzedają tylko broń.

- Homer Ramos sprzedawał kradzione samochody - potwierdził ojciec, schylając głowę nad talerzem. - Wszyscy o tym wiedzą.

Obróciłam się w stronę Joego.

- To prawda?

Joe wzruszył ramionami. Wymijająco. Przywołał typowy wyraz twarzy gliny. Jeśli ktoś umie czytać te znaki, musi pomyśleć: śledztwo w toku.



- To jeszcze nie wszystko - dodała babcia. - Oszukiwał żonę. To był prawdziwy skurczybyk. Mówili, że jego brat jest taki sam. Mieszka w Kalifornii, ale utrzymuje tutaj dom, żeby móc spotykać się po kryjomu z kobietami. Myślę, że cała ta rodzina to jedna wielka zgnilizna.

- Musi być dość zamożny, skoro utrzymuje dwa domy - zauważył Myron. - Chciałbym być taki bogaty. Też bym utrzymywał przyjaciółkę.

Zapadła cisza, ponieważ wszyscy zastanawiali się, co też Landowski by z nią robił.

Sięgnął po salaterkę z ziemniakami, ale była już pusta.

- Pozwól, przyniosę ci - rzekła babcia. - Ellen zawsze ma coś w zapasie na kuchence. - Chwyciła salaterkę i wybiegła do kuchni. - O kurka wodna! - zakrzyknęła, kiedy już się tam znalazła.

Zerwałyśmy się z mamą jednocześnie, żeby zbadać sytuację. Babcia stała na środku kuchni, patrząc na ciasto, które leżało na stole.

- Dobra wiadomość jest taka, że Bob nie zjadł całego ciasta - powiedziała. - Złą wiadomością jest to, że z jednej strony wylizał krem.

Mama w okamgnieniu wyjęła z szuflady nóż do masła i rozsmarowała pozostałą masę na tej części ciasta, którą Bob wylizał do czysta, a następnie posypała całość wiórkami kokosowymi.

- Dawno nie jedliśmy ciasta kokosowego - zauważyła babcia. - Wygląda całkiem ładnie.

Mama postawiła ciasto na lodówce, poza zasięgiem języka Boba.

- Jak byłaś mała, zawsze zlizywałaś polewę - powiedziała do mnie. - Jadaliśmy wtedy często placki kokosowe.

Kiedy wróciłam do stołu, Morelli popatrzył na mnie z ciekawym wzrokiem.

- O nic nie pytaj - powiedziałam. - I nie jedz górnej warstwy ciasta.

Kiedy wróciliśmy do domu, parking był prawie pełny. Seniorzy już byli w swoich mieszkaniach, usadowieni przed ekranami telewizorów.

Myron zabrzęczał kluczami przed nosem babci.

- Może wpadniesz na szklaneczkę wina, kochanie?

- Wy, mężczyźni, wszyscy jesteście tacy sami - powiedziała babcia. - Myślicie tylko o jednym.

- O czym?

- Babcia wydeła usta.
- Gdybym ci powiedziała, nie byłoby sensu iść na szklaneczkę wina.

Morelli odprowadził nas obie do mieszkania. Wpuścił babcię, a potem odciągnął mnie na bok.

- Moglibyśmy pojechać do mnie - zaproponował.  
Kusząca propozycja.

I bynajmniej nie z tych powodów, na których Morellemu najbardziej by zależało. Ledwo trzymałam się na nogach. Joe nie chrapał. W jego domu mogłabym się wyspać. Tak dawno nie przespałam całej nocy, że nie pamiętałam już, jak to jest.

Musnął wargami moje usta.

- Babcia nie będzie się sprzeciwiała. Ma przecież Boba.

Osiem godzin, pomyślałam. Osiem godzin snu i będę jak nowo narodzona.

Jego dłonie wślizgnęły się pod mój sweterek.

- To byłaby niezapomniana noc. To byłaby noc bez gadającego od rzeczy piromana z nożem w ręce.

- Co za niebiańska propozycja - powiedziałam, nawet nie zdając sobie sprawy z tego, że głośno myślę.

Był tak blisko, że czułam, jak napiera na mnie każda część jego ciała. A jedna z tych części powiększała się. W normalnych warunkach wzbudziłoby to w moim ciele odpowiednią reakcję. Ale tego akurat wieczoru mogłabym się bez tego obejść. Jeśli jednak to stanowi cenę, którą mam zapłacić za spokojną noc, wchodzę w ten interes.

- Skoczę tylko do mieszkania, żeby zabrać parę rzeczy - powiedziałam Joemu, wyobrażając sobie, jak leżę w jego przytulnym łóżku w ciepłej, flanelowej koszuli nocnej. - No i muszę zawiadomić babcię.

- Nie masz zamiaru wejść, zamknąć drzwi na klucz od środka i zostawić mnie tutaj, prawda?

- Dlaczego miałabym to zrobić?
- Nie wiem. Po prostu przecucie...

- Wejdźcie do środka! - zawołała babcia. - W telewizji jest program o aligatorach. - Nastawiła ucha. - Co to za dziwny odgłos? Podobny do cykania świerszcza.

- Cholera - powiedział Morelli. Ja i Morelli wiedzieliśmy, co to za odgłos. To był jego pager.

Joe starał się za wszelką cenę go zignorować. Ja uległam pierwsza.

- Wcześniej czy później będziesz musiał to sprawdzić.

- Nie muszę niczego sprawdzać. Wiem, co to jest i że nie będzie miłe. - Odczytał numer, skrzywił się i poszedł do telefonu w kuchni. Kiedy wrócił, trzymając w ręce papierowy ręcznik z nabazgranym adresem, spojrzałam na niego pytającym wzrokiem.

- Muszę iść - oświadczył. - Ale wróć.

- Kiedy? Kiedy wrócisz?

- Najpóźniej we środę.

Wzniosłam oczy do góry. Humor policyjny.

Szybko mnie pocałował i poszedł.

Nacisnęłam przycisk powtarzania numeru w moim telefonie. Odebrała kobieta i rozpoznałam jej głos. Terry Gilman.

- Patrz - powiedziała babcia. - Aligator zjadł krowę. Nie ogląda się tego na co dzień.

Usiadłam obok niej. Na szczęście nie pokazywali więcej zjadanych krow. Chociaż teraz, kiedy wiedziałam, że Morelli pojechał spotkać się z Terry Gilman, śmierć i zniszczenie przemawiały do mojej wyobraźni. Świadomość, że chodzi niewątpliwie o spotkanie w interesach, nieco osłabiła moje emocje. Ale gdybym nie była tak potwornie zmęczona, prawdopodobnie doprowadziłabym się do szału.

Kiedy skończył się program o aligatorach, oglądałyśmy przez chwilę telezakupy.

- Uderzam w kimono - oznajmiła w końcu babcia. - muszę dać odpocząć swojej urodzie.

Gdy tylko wyszła z pokoju, wyciągnęłam poduszkę i kołdrę, zgasila światło i zwałam się na kanapę. Zasnęłam w ciągu sekundy głębokim snem i nic mi się nie śniło. Sen był krótki. Wyrwało mnie z niego chrapanie babci. Wstałam, żeby zamknąć drzwi od sypialni, ale okazały się już zamknięte. Westchnęłam, częściowo z żalu nad sobą, a częściowo ze zdziwienia, jak ona sama może spać w takim hałasie. Wydawało się, że zaraz obudzi ją własne chrapanie. Bob jakby nic nie słyszał. Spał na podłodze przy kanapie, rozwalony wygodnie na boku.

Wpełzłam pod kołdrę i usiłowałam zmusić się do spania. Myślałam o różnych głupstwach. Zatkaną uszy. Znowu myślałam o głupstwach. Kanapa była niewygodna. Kołdra mi się zsuwała. A babcia wciąż chrapała.

- A niech to! - zaklęłam.

Bob nawet się nie poruszył.

Babcia będzie musiała sobie stąd pójść, to nie do wytrzymania. Wstałam i poczłapałam do kuchni. Przeszukałam szafki i lodówkę. Nic ciekawego. Było trochę po północy. Nie tak znowu późno. Może powinnam wyjść i kupić sobie batonik, żeby uspokoić nerwy? Czekolada działa uspokajająco, czyż nie?

Włożyłam dzinsy i buty, a na górę od piżamy narzuciłam płaszcz. Chwyciłam torbę z wieszaka w przedpokoju i wyszłam. Zdobycie batonika zajmie mi zaledwie dziesięć minut, a potem wrócę do domu i zaraz zasnę jak anioł.

Weszłam do windy, poniekąd spodziewając się zobaczyć tam Rangera, ale go nie było. Na parkingu również nie. Odpaliłam buicką, pojechałam do sklepu i kupiłam snickersa i milky way. Snickersa pożarłam natychmiast, chcąc zachować milky way do łóżka. Ale potem jakoś zjadło mi się także drugi baton.

Pomyślałam o babci i jej chrapaniu, myśl o powrocie do domu nie sprawiła mnie w zachwyt, więc pojechałam do Joego.

Mieszkał na granicy Burg w szeregowym domku, który odziedziczył po ciotce. Z początku myśl, że Joe może być właścicielem domu, wydawała się nedorzeczną. Ale w jakiś sposób dom przystosował się do Joego, i takie połączenie okazało się wygodne. Było to przyjemne, nieduże lokum przy spokojnej uliczce. Domek z kuchnią z tyłu i sypialniami i łazienką na górze.

W środku było ciemno. Zza zasłon nie prześwitywało żadne światło. Przy krawężniku nie stał samochód Joego. Żadnych oznak obecności Terry Gilman. Dobra, może byłam odrobinę zakręcona. I może batoniki stanowiły tylko pretekst, żeby tutaj przyjechać. Zadzwoiłam do Morellego z telefonu komórkowego. Nie odebrał.

Szkoda, że nie umiałam otwierać zamków wytrychem. Mogłabym wejść do środka i położyć się spać w łóżku Joego.

Zapaliłam silnik i powoli przejechałam wzdłuż domów, nie odczuwając już tak wielkiego zmęczenia. Rety, pomyślałam, skoro i tak wyszłam z domu i nie mam nic lepszego do roboty, może by sprawdzić dom Hannibala?

Opuściłam okolicę Joego, dojechałam do Hamilton i skierowałam się w stronę rzeki. Wjechałam na trasę numer 29 i w chwilę później przejeżdżałam obok miejskiego domu Hannibala. Ciemno, ciemno, ciemno. Tutaj też nie świeciło się światło. Zaparkowałam przy sąsiednim domu, zaraz za rogiem, i podeszłam do siedziby Hannibala. Stałam przed samym wejściem i patrzyłam w okna. Czyżbym dostrzegła mały promyk światła w jednym z pokoi? Skradając się, podeszłam bliżej, przecięłam trawnik, wlałam w krzaki, które otaczały dom, i przycisnęłam nos do szyby. Teraz nie miałam wątpliwości, że gdzieś w domu świeci się światło. To mogła być lampka nocna. Trudno powiedzieć, gdzie się znajdowała.

Umknęłam z powrotem na chodnik i szybkim krokiem przeszłam na ścieżkę rowerową, gdzie przez chwilę musiałam przyzwyczajać wzrok do ciemności. Potem ostrożnie ruszyłam w kierunku podwórka Hannibala. Wdrapałam się na drzewo i wpatrzyłam się w okna. Wszystkie żaluzje były spuszczone. Ale znów zobaczyłam smugę światła padającą z parteru. Pomyślałam sobie, że to światło może nic nie znaczyć, kiedy nagle zamigotało.

Sprawiło to, że serce zaczęło mi walić, ponieważ nie tęskniłam za tym, żeby ktoś znowu do mnie strzelał. Zdaje się, że dalsze siedzenie na drzewie nie jest najlepszym pomysłem. Chyba bezpieczniej byłoby obserwować dom z większej odległości... Na przykład ze stanu Georgia. Po cichutku ześliznęłam się na dół i już miałam odejść z powrotem na paluszkach, kiedy usłyszałam odgłos przekręcania zamka. Albo ktoś zamykał drzwi na noc, albo wychodził, żeby mnie zastrzelić.

Rzuciłam się do ucieczki.

Już miałam się znaleźć na ulicy, gdy usłyszałam, jak bramka otwiera się ze zgrzytem. Przyłgnęłam do ogrodzenia, schowana w cieniu. Wstrzymałam oddech i obserwowałam ścieżkę. Pojawiła się na niej jakaś postać. Ten ktoś zamknął drzwi. Zatrzymał się na chwilę i spojrzął dokładnie w moim kierunku. Byłam prawie pewna, że wyszedł z podwórka Hannibala. I prawie pewna, że mnie nie widzi. Dzieliła nas

dość duża odległość, a on prawie ginął w ciemnościach; pobliskie światła pozwalały dojrzeć jedynie kontury postaci. Obrócił się na pięcie i ruszył w drugą stronę. Padł na niego promień światła z sąsiedniego domu i na chwilę stał się widoczny. Zaparło mi dech w piersiach. To był Ranger. Otworzyłam usta, żeby go zawołać, ale rozpląnął się w ciemnościach nocy. Zupełnie jak zjawą.

Pobiegłam na ulicę i nasłuchiwałam odgłosu kroków. Zamiast nich usłyszałam odgłos silnika, dobiegający gdzieś z bliska. Czarne suv przecięło skrzyżowanie i po cichu odjechało. Obawiałam się, że tracę rozum i że są to halucynacje wywołane brakiem snu. Wróciłam do samochodu nieźle wystraszona i pojechałam do domu.

Kiedy położyłam torebkę na ladzie w kuchni, babcia nadal chrapała jak wilk. Przywitałam się z Keksem i poczłapałam do łóżka. Nawet nie zdjęłam butów. Po prostu rzuciłam się na kanapę i naciągnęłam na siebie kołdrę.

Kiedy znowu otworzyłam oczy, przy stoliku-ławie siedzieli Księżyc i Dougie, którzy gapili się na mnie.

- Rety! - krzyknęłam. - O co chodzi?

- Cześć, facetka - powiedział Księżyc. - Mam nadzieję, że cię nie przestraszyliśmy ani nic takiego.

- Co wy tu robicie?! - wrzasnęłam.

- Koleś, zwany kiedyś Dilerem, potrzebuje z kimś pogadać. No cóż, coś się dzieje. Wiesz, jesteś biznesmenem, któremu się wiedzie, a potem nagle - łup - wypruwają cię ze wszystkiego. Ludzie, to nie jest w porządku.

Dogie pokiwał głową.

- Nie jest w porządku - przytaknął.

- Pomyśleliśmy sobie, że może masz pomysł na pracę - wyjaśnił Księżyc. - Ponieważ ty masz taką świetną posadę. Ty i Dougster jesteście jak... firma facet i facetka.

- To nie znaczy, że nie otrzymałem żadnych propozycji - dodał Dougie.

- Tak jest - powiedział Księżyc. - Dougstera bardzo chcą zatrudnić w branży farmaceutycznej. Potrzebują tam młodych przedsiębiorczych mężczyzn.

- Chodzi ci o czarny rynek?

- Też - powiedział Księżyc.

Jakby Dougie nie miał dość problemów. Handel kradzionymi samochodami to jedno. A handel prochami to całkiem inna bajka.

- Narkotyki to nie jest najlepszy pomysł - oświadczyłam. - Może mieć skutki uboczne na całe życie.

- Dougie znowu kiwnął głową.

- Tak właśnie pomyślałem. Teraz, kiedy Homer wypadł z gry, sprawy mogą się pogorszyć.

- Cholernie szkoda tego Homera - powiedział Księżyc. - To był porządny człowiek. Biznesmen.

- Homer? - upewniłam się.

- Homer Ramos. Homer i ja byliśmy jak to - wyjaśnił Księżyc, przyciskając jeden palec do drugiego. - Byliśmy ze sobą związani, facetka.

- Chcesz przez to powiedzieć, że Homer Ramos był zamieszany w narkotyki?

- No jasne - odparł Księżyc. - Każdy jest.

- Jak poznałeś Homera Ramosa?

- Właściwie nie znałem go w sensie fizycznym. To miało raczej charakter wzajemnej więzi kosmicznej. On był kimś w rodzaju wielkiego guru od narkotyków, a ja, wiesz, raczej konsumentem. To naprawdę straszny kanał, że dał sobie przestrzelić głowę. Akurat wtedy, kiedy dostał ten drogi dywan.

- Dywan?

- W zeszłym tygodniu byłem w „Art’s”, zastanawiając się nad kupnem dywanu. Wiesz, jak to jest. Najpierw myślisz, że wszystkie dywany są absolutnie wspaniałe, a potem, im dłużej na nie patrzysz, tym bardziej wydają ci się do siebie podobne. Ale zanim to zauważysz, jesteś jakby zahipnotyzowany tymi dywanami, no nie? A potem bierzesz głęboki oddech, kładziesz się na podłodze i masz dreszcze, nie? Kiedy tak sobie leżałem za tymi dywanami, usłyszałem, jak wchodzi Homer. Poszedł do drugiego pomieszczenia, zabrał dywan i wyszedł. A ten gość od dywanów, wiesz, właściciel, powiedział Homerowi, że dywan jest wart milion dolarów i Homer musi na niego naprawdę uważać. Nieźle, co?

Dywan za milion dolarów! Arturo Stolle dał Homerowi dywan wart milion dolarów tuż przed tym, jak Ramosa zamordowano.

A teraz Stolle szuka Rangera, ostatniego człowieka, który widział Ramosa żywego... Nie licząc gościa, który go zabił. I Stolle myśli, że Ranger ma coś, co należy do niego. Czy Stolle'owi chodzi o dywan? Trudno w to uwierzyć. To musi być jakiś piekielny dywan.

- Jestem prawie pewien, że to nie były halucynacje - świadczył Księżyc.

- To byłyby naprawdę dziwne halucynacje - powiedziałam.

- Ale nie takie dziwne, jak wtedy, kiedy myślałem, że zamieniłem się w gigantyczną kulę gumy do żucia. Coś przerażającego, facetka. Miałem tylko małe ręce i nogi, a cała reszta była z gumy do żucia. Nie miałem nawet twarzy. Cały byłem jakiś przeżuty, wiesz. - Księżyc bezwiednie się wzdrygnął. - To była zła faza, facetka.

Drzwi wejściowe otworzyły się i wszedł Morelli. Popatrzył na Księżyc i Dougiego, a potem spojrział na zegarek i zmarszczył brwi.

- Cześć, koleś - powitał go Księżyc. - Kopę lat. Jak leci, facet?

- Nie narzekam - odparł Morelli.

Dougie, który nie był nawet w połowie tak zadzumiony jak Księżyc, na widok Morellego zerwał się na równe nogi i niechcący nadepnął na Boba. Bob niespodziewanie zaskowyczał, zatopił kły w nodze Dougiego i odgryzł mu kawałek spodni.

Babcia Mazurowa otworzyła drzwi swego pokoju i wyjrzała.

- Co tu się dzieje? - zapytała. - Czy coś przegapiłam?

Dougster nerwowo przestępował z nogi na nogę, gotów dać dyla w stronę drzwi przy najbliższej okazji. Nie czuł się komfortowo w obecności zastępcy szeryfa. Brakowało mu wielu talentów, potrzebnych do tego, żeby być dobrym przestępcą.

Morelli podniósł ręce do góry na znak rezygnacji.

- Poddaję się.

Zatrzymałam go. Cmoknął mnie w usta i zamierzał odejść.

- Hej, poczekaj - powiedziałam. - Muszę z tobą pogadać. - Spojrzałam na Księżyc. - Sam na sam.

- Jasne - zrozumiał Księżyc. - Nie ma sprawy. Doceniamy mądre rady na temat narkotyków. Będziemy musieli poszukać innego zatrudnienia dla Dougstera.



- Wracam do łóżka - oznajmiła babcia, kiedy Księżyc i Dougie wyszli. - Nie zapowiada się nic interesującego. Wolałam noc, kiedy leżałaś na podłodze z tym łowcą nagród.

Morelli spojrział na mnie takim samym wzrokiem, jakim Desi spogląda na Lucy, kiedy ta zrobi coś niewyobrażalnie głupiego.

- To długa historia - powiedziałam.

- Nie wątpię.

- Na pewno nie chcesz teraz wysłuchiwać całej tej nudnej opowieści.

- Wygląda na to, że może być całkiem zabawna. Czy jest o tym, jak przecięto twój łańcuch u drzwi?

- Nie, to zrobił Morris Munson.

- Pracowita noc.

Westchnęłam i rzuciłam się na kanapę. Morelli usiadł naprzeciw mnie w fotelu.

- Słucham.

- Wiesz coś na temat dywanów?

- Wiem, że leżą na podłodze.

Opowiedziałam mu historię o dywanie za milion dolarów.

- Może to nie dywan był wart milion dolarów - zasugerował Morelli. - Może coś było w tym dywanie.

- Na przykład?

Morelli spojrział na mnie znacząco.

Zaczęłam głośno myśleć.

- Co jest na tyle małe, żeby się zmieścić w dywanie? Narkotyki?

- Widziałem fragment kasety wideo z pożaru w biurze Ramosa - powiedział Morelli. - Homer Ramos miał ze sobą sportową torbę, kiedy przechodził obok ukrytej kamery tej nocy, gdy szedł na spotkanie z Rangerem. A Ranger niósł tę torbę, kiedy stamtąd wychodził. Mówi się, że Arturo Stolle stracił kupę pieniędzy i chce pogadać na ten temat z Rangerem. Co o tym sądzisz?

- Myślę, że może Stolle dał Ramosowi narkotyki. Ramos przekazał narkotyki dalej, żeby je podzielono i rozprowadzono, i został z torbą pieniędzy, których część albo całość należała do Stolle'a. Potem coś zaszło między Rangerem a Homerem Ramosem i Ranger zabrał torbę.

- Jeśli tak właśnie było, to prawdopodobnie była to działalność uboczna Homera - powiedział Morelli. - Narkotyki, wymuszanie haraczy i kradzież samochodów to domena przestępczości zorganizowanej. Rodzina Ramosów zajmuje się handlem bronią. Alexander Ramos zawsze tego przestrzegał.

Może tak było, z wyjątkiem Trenton, gdzie istniała raczej przestępczość zdezorganizowana. Trenton leżało w połowie drogi między Nowym Jorkiem a Filadelfią. Nikomu nie zależało na Trenton. Tutaj mieszkała głównie grupa kolesi z kadry menedżerskiej średniego szczebla, którzy spędzali czas na uprawianiu nielegalnego hazardu w miejscowych klubach. Dzięki dochodom z hazardu prosperował handel narkotykami. Narkotyki rozprowadzały gangi, których nazwy pochodziły od rodziny Corleone. Gdyby nie było filmów w stylu *Ojca chrestnego* i programów telewizyjnych na temat przestępczości, w Trenton pewnie nikt nie wiedziałby, jak to się robi.

Teraz zrozumiałam, dlaczego Alexander Ramos mógł być rozczarowany synem. Jednak nadal pozostawało pytanie, czy był nim aż tak rozczarowany, że mógł go zabić.

Niewykluczone, że znalazłam też odpowiedź na pytanie, dlaczego Arturo Stolle szukał Rangera.

- Ale to wszystko spekulacje - oświadczył Morelli. - temat do rozmowy.

- Przecież ty nigdy nie zdradzasz mi informacji policji. Dlaczego mi o tym powiedziałeś?

- Bo to w zasadzie nie są informacje policji. To tylko luźne skojarzenia, które tłuką mi się po głowie. Przez dłuższy czas obserwowałem Stolle'a - bez większego sukcesu. Być może to jest przełom, na który czekałem. Muszę pogadać z Rangerem, ale nie udaje mi się go przekonać, żeby do mnie zadzwonił. Dlatego opowiadał mi wszystko tobie, bo liczę, że ty nafaszerujesz tym Rangera.

Kiwnęłam głową.

- Przekażę mu.
- Tylko żadnych szczegółów przez telefon.
- Zrozumiano. Jak ci poszło z Gilman?
- Morelli uśmiechnął się pod nosem.

- Pozwól, że zgadnę. Przypadkiem nacisnęłaś przycisk powtarzania numeru telefonu.

- Dobra, przyznaję się. Jestem wścibska.

- Gangi mają jakieś problemy organizacyjne. Zauważyłem wzrost wpływów i wydatków w klubach, więc podzieliłem się moimi obawami z Vitem. A on wysłał Terry, żebym się upewnił, że chłopcy nie magazynują broni atomowej na wypadek trzeciej wojny światowej.

- Widziałam Terry w środę. Dostarczyła jakiś list Hannibalowi Ramosowi.

- Gangi i handlarze bronią próbują na nowo wyznaczyć granice. Homerowi Ramosowi udało się zburzyć trochę murów, ale teraz, kiedy wypadł z gry, mury trzeba naprawić. - Morelli dotknął nogą mojej stopy. - To jak będzie?

- Z czym?

- Co byś powiedziała na to?

Byłam tak zmęczona, że usta mi zdrętwiały, a jemu zachciało się droczyć ze mną.

- Jasne. Tylko pozwól, że oczy mi trochę odpoczną. - Zamknęłam oczy i obudziłam się rano. Morelli zniknął.

- Jestem spóźniona - powiedziała babcia, pędząc z łazienki do kuchni. - Zaspałam. Wszystko przez te nocne wizyty. Tutaj jest prawie jak na Dworcu Centralnym. Za pół godziny mam ostatnią lekcję jazdy. A jutro zdaję egzamin. Miałam nadzieję, że mnie podwieziesz. Tymczasem od rana coś takiego.

- Nie ma sprawy. Mogę cię podwieźć.

- A potem się wyprowadzam. Nie bierz tego do siebie, ale mieszkasz w domu wariatów.

- Dokąd pójdziesz?

- Wracam do twojej matki. Twój ojciec zasłużył sobie na to, żeby mnie znosić.

Była niedziela, a babcia zawsze w niedzielę rano chodziła do kościoła.

- A co z twoją mszą?

- Nie mam czasu na mszę. Dzisiaj Bóg musi się jakoś beze mnie obejść. Poza tym twoja matka będzie reprezentowała naszą rodzinę.

Mama stale reprezentowała naszą rodzinę, ponieważ ojciec nigdy nie chodził do kościoła. Zawsze zostawał w domu i czekał, aż ona przyniesie białą torbę z piekarni. Tak daleko, jak sięgam pamięcią, w każdy niedzielny poranek mama szła do kościoła i w drodze powrotnej wstępowała do piekarni. Co niedziela rano kupowała pączki z konfiturą wiśniową. Nic oprócz pączków z konfiturą. Kruche ciasteczka, canolli i ciastka kawowe były zarezerwowane na dni powszednie. Niedziela była dniem pączków z konfiturą. Jestem katoliczką z urodzenia, ale niedziela pozostanie dla mnie świętem pączków z konfiturą.

Przypięłam smycz do obroży Boba i wyprowadziłam go na spacer. Powietrze było chłodne, a niebo niebieskie. Czuło się, że wiosna jest tuż-tuż. Na parkingu nie było Habiba i Mitchella. Pewnie w niedzielę nie pracują. Nie widziałam też Joyce Bamhardt. Co za ulga.

Kiedy wróciłam, babci już nie było, a w mieszkaniu panowała błoga cisza. Nakarmiłam Boba. Wypiłam szklankę soku pomarańczowego. I dałam nura pod kołdrę. Obudziłam się o pierwszej po południu i przypomniałam sobie nocną rozmowę z Morellim. Nabrałam go. Nie powiedziałam mu, że widziałam, jak Ranger wychodził z domu Hannibala. Ciekawe, czy Morelli też coś przede mną ukrył. Było bardzo prawdopodobne, że tak. Nasze kontakty zawodowe rządziły się całkowicie innymi prawami niż osobiste. Morelli od samego początku ustalił zasady gry. Pewnych informacji po prostu nie zdradzał. Zasady naszej prywatnej znajomości ciągle się rozwijały. On miał swoje. Ja też miałam swoje. Czasami zgadzaliśmy się ze sobą. Jakiś czas temu zdecydowaliśmy się na krótki romans i mieszkaliśmy razem, ale on nie czuł się zbyt dobrze z zobowiązaniami, a ja z ograniczeniami. Więc rozstaliśmy się.

Podgrzałam rosół z puszkii i zadzwoniłam do Morellego.

- Przepraszam za ostatnią noc - powiedziałam.
- Z początku bałam się, że już po tobie.
- Byłam wykończona.
- Zauważyłem.
- Babci nie będzie przez cały dzień, a ja mam coś do załatwienia. Chciałam zapytać, czy nie zająłbyś się Bobem.
- Jak długo? - zapytał Morelli. - Dzień? Rok?
- Parę godzin.

Potem zadzwoniłam do Luli.

- Muszę zrobić małe wtargnięcie z włamaniem. Chcesz się przyłączyć?

Podrzuciłam Boba i zostawiłam Morellemu instrukcje.

- Nie spuszczaaj z niego oka. Wszystko zjada.

- Może powinniśmy zrobić z niego glinę? - zastanowił się Morelli.

- Czy ma mocną głowę?

Lula czekała na mnie na werandzie. Była ubrana z dyskretną elegancją w jaskrawozielone obcisłe spodnie i wściekle różową kurteczkę z jakiegoś futerka. Można by ją postawić na rogu, we mgle i o północy, i byłaby widoczna w promieniu pięciu kilometrów.

- Ładne ubranko - powiedziałam.

- Chciałam wyglądać pikantnie na wypadek, gdyby mnie aresztowali. Wiesz, jak robią te zdjęcia, i w ogóle.

Wpakowała się na siedzenie i obejrzała mnie od góry do dołu.

- Będiesz jeszcze żałować, że miałaś na sobie tę obdartą koszulę. Przecież to w ogóle nie rzuca się w oczy. A skoro już o tym mowa, to nawet nie zakreśliłaś włosów. Co to za fryzura z Jersey?

- Nie zamierzam dać się aresztować.

- Nigdy nic nie wiadomo. Trochę ostrożności nie zawadzi. Można podkreślić oczy. A tak w ogóle, to do kogo mamy się włamać?

- Do Hannibala Ramosa.

- Że co? Masz na myśli brata zamordowanego Homera Ramosa? I prawą rękę króla handlarzy bronią, Alexandra Ramosa? Pochlastało cię?

- Pewnie nie będzie go w domu.

- Jak chcesz to sprawdzić?

- Zadzwonię do drzwi.

- A jeżeli otworzy?

- Zapytam, czy widział mojego kota.

- Cholera - zakląła Lula. - Przecież ty nie masz żadnego kota.

Dobra, to nie jest zbyt przekonujące. Nic lepszego nie przyszło mi do głowy. Założyłam, że Hannibala nie będzie w domu. Ostatniej nocy nie widziałam, żeby Ranger żegnał się z kimkolwiek. Nie zauważyłam, żeby ktoś zapalał światło po jego wyjściu.

- Czego ty szukasz? - zapytała Lula. - A może po prostu chcesz młodo umrzeć?

- Dowiem się, jak to zobaczę - odparłam. Przynajmniej miałam taką nadzieję.

Prawda wyglądała tak, że nie chciałam zastanawiać się nad tym, czego szukam. Trochę się obawiałam, że rzuciłoby to cień podejrzenia na Rangera. Poprosił mnie, żebym obserwowała dom Hannibala, a potem poszedł na zwiady beze mnie. Czułam się trochę zaniedbana. I odrobinę mnie to martwiło. Czego on szukał w domu Hannibala? A jak już przy tym jesteśmy, to czego szukał w domu w Deal? Podejrzałam, że moja wyprawa w celu policzenia okien i drzwi była mu potrzebna do włamania do rezydencji w Deal. Cóż tam, u licha, mogło się znajdować takiego, że warto było aż tak ryzykować?

Rangera, Tajemniczego Człowieka, dawało się zaakceptować, kiedy wszystko dobrze szło. Ale w tym wypadku zostałam wplątana w jakąś poważną sprawę i pomyślałam, że ta nieustanna aura tajemnicy, jaką rozciąga wokół siebie Ranger, trochę mi się znudziła. Chciałam wiedzieć, co jest grane. I upewnić się, że w tej sprawie Ranger stoi po stronie prawa. Zastanawiałam się, kim właściwie jest ten facet?

Stałyśmy obie na chodniku, obserwując dom Hannibala. Żaluzje były nadal spuszczone. Cisza jak makiem zasiał. W sąsiednich domach też nic się nie działo. Niedzielne popołudnie. Wszyscy pojechali na zakupy.

- Jesteś pewna, że to dobry adres? - zapytała Lula. - to mi nie wygląda na dom handlarza bronią. Myślałam, że zobaczę jakiś Tadz Mahal. Coś w rodzaju tego, w czym mieszka Donald.

- Donald Trump nie mieszka w Tadz Mahal.

- Mieszka, jak przyjeżdża do Atlantic City. Ta buda nie ma nawet wież strzelniczych. Jaką bronią on handluje?

- Niski kaliber.

- Jedzie mi tu czołg?

Podeszłam do drzwi i nacisnęłam przycisk dzwonka.

- Niski kaliber czy inny - powiedziała Lula - jak otworzy, to chyba narobię w portki.

Chwyciłam za klamkę, ale drzwi były zamknięte na klucz.

Spojrzałam na Lulę.

- Umiesz otworzyć zamek?
- Kurna, pewnie, że umiem. Nie ma takiego zamka, któremu bym nie dała rady. Tylko że nie mam ze sobą tego, jak mu tam...
- Czegoś do otwierania zamków?
- Właśnie. A co z alarmem?
- Mam przecucie, że nie jest włączony.

A jeśli jest, to zwiejemy, jak tylko się włączy. Wróciłyśmy na chodnik, obeszłyśmy dom i dostałyśmy się na ścieżkę rowerową prowadzącą z sąsiedniej uliczki - na wypadek, gdyby ktoś nas obserwował.

Zbliżyłyśmy do muru otaczającego dom Hannibala i weszłyśmy przez bramkę, która tym razem była otwarta.

- Byłaś tu kiedyś? - zapytała Lula.
- Tak.
- Co się stało?
- Strzelił do mnie.
- O kurna - podsumowała Lula.
- Pchnęłam drzwi od werandy. Były otwarte.
- Może byś weszła pierwsza - zaproponowała Lula.
- Wiem przecież, że to lubisz.

Odsunęłam zasłonę na bok i wkroczyłam do domu Hannibala.

- Ciemno tu - powiedziała Lula. - Ten koleś to pewnie wampir.

Odwróciłam się i popatrzyłam na nią.

- O kurna - powtórzyła. - Sama się wydygałam.
- On nie jest żadnym wampirem. Ma zasłonięte rolety, żeby nikt tutaj nie mógł zajrzeć. Zrobię wstępny obchód, żeby mieć pewność, że dom jest pusty. Potem sprawdzę pokoje i zobaczę, czy nie ma tam czegoś interesującego. Chcę, żebyś została tu na czatach i osłaniała mnie.

## Rozdział 11

Pierwsze piętro okazało się proste. W piwnicy też nikogo nie było. Hannibal miał tam małe pomieszczenie gospodarcze i o wiele większy pokój, w którym stał wielki telewizor, stół bilardowy i barek. Przeszło mi przez myśl, że ktoś mógłby sobie oglądać telewizję w piwnicy, a dom wydawałby się ciemny i niezamieszkały. Na górze były trzy sypialnie. Tam też nikogo nie było. Jedna z nich z pewnością należała do gospodarza domu. Druga została przerobiona na biuro, z półkami na książki wbudowanymi w ścianę i ogromnym biurkiem z blatem obitym skórą. Trzecia sypialnia była przeznaczona dla gości. Moje zainteresowanie wzbudził pokój gościnny. Wyglądał tak, jakby ktoś w nim mieszkał. Rozgrzebana pościel na łóżku. Męskie ubrania przewieszzone przez krzesło. Buty szurnięte w kąt pokoju.

Przetrząsnęłam szuflady i garderobę, szukając czegoś, co mogłoby zidentyfikować tajemniczego lokatora. Nic nie znalazłam. Ubrania były drogie. Domyślałam się, że ich właściciel jest niskiego wzrostu i podobnej budowy ciała, wzrostu nieco mniej niż metr siedemdziesiąt i osiemdziesiąt kilogramów wagi. Porównałam jego spodnie ze spodniami w sypialni pana domu. Hannibal miał więcej w pasie i bardziej tradycyjny gust. Łazienka Hannibala przylegała do jego sypialni. Łazienka dla gości była w korytarzu. W żadnej z nich nie znalazłam nic ciekawego, może z wyjątkiem prezerwatyw w tej drugiej. Widać gość miał nadzieję na małe bara-bara.

Wróciłam do biura i w pierwszej kolejności przepatrzyłam półki. Biografie, atlas, trochę powieści. Usiadłam przy biurku. Żadnych wizytówek ani notesu z adresami. Tylko długopis i notatnik. Ale nie było w nim żadnych notatek. Laptop. Włączyłam go. Na pulpicie niczego nie znalazłam. Nic kompromitującego na twardym dysku. Hannibal był bardzo ostrożny. Wyłączyłam komputer i przeszukałam szuflady. Znowu nic. Hannibal perfekcjonista. Panował tu prawie idealny porządek. Ciekawe, czy jego apartament na wybrzeżu wygląda podobnie.

Kolesiowi z pokoju gościnnego natomiast daleko było do perfekcji. Jego biurko, gdziekolwiek by stało, przypominałoby śmietnik.



W pokojach na piętrze nie znalazłam żadnej broni. Ponieważ zdobyłam wiadomości z pierwszej ręki, że Hannibal ma przynajmniej jeden rewolwer, znaczy to, że prawdopodobnie zabrał go ze sobą. Nie wyglądał na faceta, który zostawia rewolwer w misce na herbatniki.

Zeszłam do piwnicy. Nie było tam wiele do wytopienia.

- Jestem rozczarowana - pożaliłam się Luli, zamykając za sobą drzwi od piwnicy. - Nic tam nie ma.

- Ja też niczego nie znalazłam na parterze - poinformowała mnie Lula. - Żadnych firmowych zapalek ani spluw wetkniętych pod poduszki na kanapie. Trochę jedzenia w lodówce. Piwo, sok, bochenek chleba i parę zimnych kotletów. Jest też kilka puszek oranżady. I to by było na tyle.

Otworzyłam lodówkę i obejrzałam opakowanie, w którym były kotlety. Kupiono je dwa dni temu.

- To naprawdę przerażające - powiedziałam do Luli. - w tym domu ktoś mieszka. - Pomyślałam, że ten ktoś może w każdej chwili tutaj wrócić, ale przemilczałam to.

- Chyba tak, i w dodatku nie zna się na mięsie - dodała Lula. - Kupił pierś z indyka i ser szwajcarski, a mógłby mieć salami i provolone.

Stałyśmy w kuchni, zaglądając do lodówki i nie zwracałyśmy większej uwagi na to, co dzieje się po drugiej stronie domu. Nagle usłyszałyśmy odgłos otwierania zamka i obie zastygłyśmy w bezruchu.

- O kurna - wycedziła Lula.

Drzwi otworzyły się i do przedpokoju weszła Cynthia Lotte, która spojrzała na nas z ukosa w przyćmionym świetle.

- Co wy tutaj robicie, do cholery? - zapytała.

- Powiedz jej - zachęciła Lula, dając mi kuksańca w bok. - Powiedz jej, co tutaj robimy.

- Nieważne, co my tutaj robimy - odparłam. - Ale skąd ty się tu wzięłaś?

- Nie twój interes. Poza tym ja mam klucz, więc moja obecność nie jest niczym dziwnym.

- Lula wyjęła glocka.

- Mam spluwę. Jest jeden do zera.

- Cynthia błyskawicznym ruchem wyciągnęła z torebki czterdziestkę piątkę.

- Ja też mam spluwę. Remis.

Obie odwróciły się w moim kierunku.

- Ja zostawiłam spluwę w domu - wyjaśniłam. - Zapomniałam jej zabrać.

- Ona się nie liczy - skwitowała Cynthia.

- Trochę się liczy - powiedziała Lula. - To nie jest tak, że ona w ogóle nie ma broni. Poza tym jak ma broń, to jest naprawdę groźna. Kiedyś strzeliła do jednego kolesia.

- Pamiętam, czytałam o tym. Dick o mało nie dostał ataku serca. Mówił, że to paskudnie wyglądało.

- Dick to wrzód na dupie - oświadczyłam.

- Cynthia uśmiechnęła się ze smutkiem.

- Wszyscy faceci to wrzody na dupie. - Rozejrzała się po pokoju. - Przychodziłam tutaj z Homerem, kiedy Hannibal był za miastem.

To dlatego miała klucz. Być może tłumaczyło to również przerwy w łazience.

- Czy Homer trzymał ubrania w sypialni dla gości?

- Parę koszul, trochę bielizny.

- W pokoju gościnnym na piętrze są jakieś ubrania. Może je obejrzysz i powiesz mi, czy należały do Homera.

- Najpierw chcę wiedzieć, czego tu szukacie.

- Mój przyjaciel jest podejrzewany o ten pożar i morderstwo. Próbuję ustalić, jak było naprawdę.

- I co myślisz? Że to Hannibal zabił swojego brata?

- Nie wiem. Szukam po omacku.

- Cynthia ruszyła w kierunku schodów.

- Powiem ci coś o Homerze. Wszyscy chcieli go zabić. Oprócz mnie. Homer był kłamliwym i oszukańczym draniem. Rodzina zawsze wpłacała za niego kaucje, żeby go wypuścili. Na miejscu Hannibala już dawno wpakowałabym mu kulę w łeb, ale u Ramosów więzy rodzinne są bardzo silne.

Poszłyśmy za nią schodami do sypialni dla gości. Stanęłyśmy w drzwiach, a ona weszła do środka i rozejrzała się.

- Część z tych rzeczy na pewno należy do Homera - powiedziała, przepatrując szuflady. - Pozostałych nigdy nie widziałam. - Kopnęła czerwone jedwabne bokserki w pawie oczka, które leżały na podłodze. - Widzicie te bokserki? - Wycelowała w nie i strzeliła pięć razy. - Należały do Homera.

- Jasne - powiedziała Lula. - Nie krępuj się.

- A mógł być taki czarujący - westchnęła Cynthia. - ale miał za krótką pamięć, jeśli chodzi o kobiety. Myślałam, że mnie kocha. Myślałam, że uda mi się go przerobić.

- Co się stało, że zmieniłaś zdanie?

- Dwa dni wcześniej, nim go zamordowano, zakomunikował mi, że ze mną zrywa. Powiedział też kilka niepochlebnych rzeczy pod moim adresem i że jeśli będę mu przysparzać jakichś kłopotów, to mnie zabije. Następnie wyczyścił dokładnie moją szkatułkę z biżuterią i ukradł mi samochód. Wyjaśnił, że potrzebuje pieniędzy.

- Powiadomiłaś o tym policję?

- Nie. Uwierzyłam mu, kiedy mówił, że mnie zabije. - Schowała rewolwer do kieszeni w kurtce. - Nieważne. Pomyślałam, że być może Homer nie zdążył sprzedać mojej biżuterii... Że może ją gdzieś tutaj ukrył.

- Przeszukałam cały dom - powiedziałam - i nie znalazłam żadnej damskiej biżuterii, ale możesz się jeszcze rozejrzeć na własną rękę.

Wzruszyła ramionami.

- Beznadziejna sprawa. Powinnam była przyjść tu wcześniej.

- Nie bałaś się, że natkniesz się na Hannibala? - zapytała Lula.

- Liczyłam na to, że Alexander będzie na pogrzebie, a Hannibal zostanie w rezydencji na wybrzeżu. Zeszliśmy na dół.

- A co z garażem? - zapytała Cynthia. - Zajrzałyście tam? Nie sądzę, żebyście znalazły mojego srebrnego porsche?

- Ja cię kręcę! - rzuciła Lula, na której zrobiło to piorunujące wrażenie. - Masz porsche?

- Miałam. Homer podarował mi go z okazji naszej sześciomiesięcznej rocznicy... - Westchnęła. - Jak już mówiłam, potrafił być naprawdę czarujący.

„Czarujący” w znaczeniu „hojny”.

Hannibal miał garaż na dwa samochody, przylegający do domu. Prowadziły do niego drzwi z holu, zamknięte na zasuwkę. Cynthia otworzyła je i pstryknęła wyłącznikiem. I oto naszym oczom ukazał się... srebrny porsche.

- Mój porsche! Mój porsche! - wrzasnęła Cynthia. - nigdy bym nie pomyślała, że jeszcze kiedyś zobaczę ten wóz. - Umilkła i zmarszczyła nos. - Co to za smród?

Popatrzyłyśmy się na siebie z Lula. Znałyśmy ten smród.

- Fuj! - powiedziała Lula.

- Cynthia podbiegła do samochodu.

- Mam nadzieję, że zostawił mi kluczyki. Mam nadzieję. - Nagle przystanęła i zajrzała do środka. - Ktoś śpi w moim samochodzie! Podeszłyśmy z Lula i także zajrzałyśmy do wnętrza wozu.

- Tak. Zimny trup - powiedziała Lula. - Zdradziły go te trzy dziury w czole. Jesteś szczęściarą - oświadczyła Cynthii. - Wygląda na to, że ten koleś zarobił kalibrem dwadzieścia dwa. Gdyby zastrzelili go czterdziestką piątką, mózg rozprysnąłby się po całym samochodzie. Dwudziestka dwójka wchodzi do środka i draży mózg.

Trudno było coś powiedzieć o mężczyźnie osuniętym na siedzeniu, ale wyglądał na trochę mniej niż metr osiemdziesiąt i może dwadzieścia pięć kilo nadwagi. Ciemne włosy, krótko ostrzyżone. Wiek około czterdziestu pięciu lat. Ubrany w koszulę z dzianiny i sportowy płaszcz. Sygnet z różowawym diamentem. Trzy dziury w czole.

- Poznajesz go? - zapytałam Cynthię.

- Nie. Nigdy go nie widziałam. Potworne. Jak to się mogło stać? Na mojej tapicerce jest krew.

- Nie jest tak źle, biorąc pod uwagę, że dostał trzy strzały w głowę - pocieszyła ją Lula. - Tylko nie myj tego gorącą wodą. Gorąca woda utrwala plamy krwi.

Cynthia otworzyła drzwi i próbowała wyciągnąć nieboszczyka z samochodu, ale on nie chciał współpracować.

- Może któraś mogłaby mi pomóc? - zapytała Cynthia. - Trzeba go popchnąć z drugiej strony.

- Hej, poczekaj - powiedziałam. - To jest miejsce zbrodni. Powinnaś zostawić wszystko tak, jak jest.

- Ani mi się śni - rzekła Cynthia. - To mój samochód i mam zamiar nim odjechać. Pracuję u prawnika. Wiem, co się stanie. Skonfiskują ten samochód i będą go trzymać do końca świata. A potem prawdopodobnie dostanie go jego żona. - Wyciągnęła ciało do połowy, ale nogi były sztywne i nie chciały się rozprostować.

- Przydałby się tutaj Siegfried i Roy - powiedziała Lula. - Widziałam ich w telewizji, jak przecięli kogoś na pół i nawet nie narobili bałaganu.

Cynthia trzymała gościa za głowę, mając nadzieję, że zadziała system dźwigni.

- Noga zaczęła mu się o lewarek - zauważyła. - Ktoś musiał go kopnąć w stopę.

- Nie patrz na mnie - zdenerwowała się Lula. - Na widok trupów przechodzą mnie ciarki. Nigdy nie tykam żadnych nieboszczyków.

Cynthia chwyciła nieboszczyka za płaszcz i pociągnęła.

- Nie uda się. Nie uda mi się wyciągnąć tego idioty z mojego samochodu.

- Może jakbyś go naoliwiła? - zastanowiła się Lula.

- Może jakbyście mi pomogły - odpaliła Cynthia. - obejdz wóz z drugiej strony i pchnij faceta w tyłek, a Stephanie pomoże mi go ciągnąć.

- Pod warunkiem, że tylko nogą - powiedziała Lula. - myślę, że tyle mogę zrobić.

Cynthia chwyciła trupa za głowę, ja za poję koszuli, a Lula wypchnęła go jednym porządnym kopniakiem.

Natychmiast go puściłyśmy i zrobiłyśmy krok do tyłu.

- Jak myślisz, kto go zabił? - zapytałam, w zasadzie nie oczekując odpowiedzi.

- Homer, z pewnością - odparła Cynthia. Pokręciłam głową.

- Za świeży trup, żeby to mogła być robota Homera.

- Hannibal?

- Nie sądzę, żeby Hannibal zostawił ciało we własnym garażu.

- Dobra, nie obchodzi mnie, kto go zabił - oświadczyła Cynthia. - Mam swój wóz i jadę do domu.

Martwy gość leżał na podłodze jak kłoda, z dziwacznie powyginanymi nogami, zmierzwionymi włosami i rozchełstaną koszulą.

- A co z nim? - zapytałam. - Nie możemy go tak zostawić. Ta pozycja jest taka... niewygodna.

- To przez nogi - wyjaśniła Lula. - Zastygł w pozycji siedzącej. - Wzięła krzesło ogrodowe ze sterty na końcu garażu i postawiła je obok trupa. - Jeśli posadzimy go na krzesło, to będzie wyglądał bardziej naturalnie, jakby czekał na podwiezienie czy coś takiego.

Podniosliśmy go, posadziliśmy na krzesło i odeszliśmy dalej, żeby mu się przyjrzeć. Jak tylko odeszliśmy, spadł z krzesła. Trzask, prosto na twarz.

- Dobrze, że nie żyje - orzekła Lula. - Bo inaczej cholernie by go zabolalo.

Dźwignęliśmy faceta z powrotem na krzesło, ale tym razem przywiązałyśmy go sznurem. Miał trochę zgnieciony nos i jedno oko otworzyło się wskutek wstrząsu przy upadku, więc to było otwarte, a drugie zamknięte, ale poza tym trup nie wyglądał najgorzej. Znowu cofnęliśmy się i stanęliśmy w miejscu.

- Spadam stąd - oświadczyła Cynthia. - Otworzyła wszystkie okna w samochodzie, nacisnęła przycisk otwierania garażu, wycofała wóz i odjechała w górę ulicy.

Drzwi od garażu zjechały w dół i zostałyśmy z Lula sam na sam z trupem.

Lula przestępowała z nogi na nogę.

- Może powinnyśmy zmówić jakąś modlitwę za zmarłych? Lubię okazać należną cześć nieboszczykom.

- Myślę, że powinnyśmy stąd wiać.

- Amen - podsumowała Lula i przeżegnała się.

- Myślałam, że jesteś baptystką.

- Tak, ale u nas nie ma żadnych specjalnych gestów na takie okazje.

Opuściłyśmy garaż, wyrzałyśmy przez tylne okno, żeby się upewnić, że nikogo nie ma w pobliżu, i wybiegłyśmy przez drzwi od werandy. Zamknęłyśmy za sobą bramkę i ruszyłyśmy ścieżką rowerową do samochodu.

- Nie wiem jak ty - powiedziała Lula - ale ja mam zamiar iść do domu i stać pod prysznicem parę godzin, a potem spłukać się chloroxem.

To był niezły pomysł. Tym bardziej że prysznic będzie pretekstem do odwołania spotkania z Morellim. Co ja mu powiem? „Wiesz co, Joe, włamałam się dzisiaj do domu Hannibala Ramosa i znalazłam tam trupa. Potem zatarłam ślady na miejscu zbrodni, pomogłam pewnej kobiecie usunąć dowody i uciekłam. Więc jeśli po dziesięciu latach spędzonych w więzieniu nadal będę dla ciebie atrakcyjna...”. Nie mówiąc już o tym, że Ranger po raz drugi wychodził z miejsca, w którym popełniono zabójstwo.

Zanim dotarłam do domu, zarejestrowałam u siebie wszystkie oznaki złego nastroju. Pojechałam do Hannibala, szukając informacji. Teraz wiedziałam więcej, niż chciałabym wiedzieć, i nie miałam pojęcia, co to wszystko znaczy. Zostawiłam wiadomość Rangerowi i zrobiłam sobie obiad, który na skutek mojego stanu rozkojarzenia składał się wyłącznie z oliwek. Znowu.

Poszłam do łazienki wziąć prysznic i zabrałam ze sobą telefon. Przebrałam się, wysuszyłam włosy, pociągnęłam rzęsy tuszem. Zastanawiałam się nad kreskami, kiedy zadzwonił Ranger.

- Chcę wiedzieć, co jest grane - powiedziałam. - właśnie znalazłam trupa w garażu Hannibala.

- I co?

- I chcę wiedzieć, kto to jest. I chcę wiedzieć, kto go zabił. I chcę wiedzieć, dlaczego ostatniej nocy wymykałeś się z domu Hannibala.

Po drugiej stronie linii Ranger rzekł z naciskiem:

- Nie musisz na ten temat nic wiedzieć.

- Jasne, że nie muszę. Po prostu wplątałam się w morderstwo.

- Przypadkiem znalazłaś się na miejscu zbrodni. To co innego niż wplątanie się w morderstwo. Dzwoniłaś na policję?

- Nie.

- Byłoby dobrze zadzwonić na policję. Sprawę włamania możesz pominąć.

- Mogę pominąć wiele rzeczy.

- Zadzwoń - powiedział Ranger.

- Jesteś bydlę! - wrzasnęłam w słuchawkę. - Mam powyżej uszu tajemniczego Rangera! Jednego dnia wpychasz mi łapy pod bluzkę, a

następnego mówisz mi, że te wszystkie sprawy to nie mój interes. Nawet nie wiem, gdzie mieszkasz.

- Jeśli o niczym nie wiesz, to nie możesz tego puścić dalej.

- Dzięki za zaufanie.

- Cóż, tak to jest - powiedział Ranger.

- I jeszcze jedno. Morelli chce, żebyś do niego zadzwonił. Obserwuje kogoś od dłuższego czasu, a teraz ty masz związek z tym kimś i Morelli uważa, że możesz mu pomóc.

- Później - obiecał Ranger. I wyłączył się.

Świetnie. Jeśli chce, żeby to wyglądało właśnie tak, to po prostu ekstra.

Wściekła poszłam do kuchni, wyjęłam broń z miski na herbatniki, chwyciłam torebkę i poszłam korytarzem, a potem schodami do buicka. Joyce czekała na parkingu, w samochodzie ze zmiażdżonym zderzakiem. Zobaczyła mnie, jak wychodziłam z budynku, i pokazała mi środkowy palec. Odwdzięczyłam się jej tym samym gestem i pojechałam do Morellego. Joyce jechała za mną w odległości jednego samochodu. Nie przeszkadzało mi to. Może sobie za mną jeździć nawet cały dzień. O ile mi było wiadomo, Ranger zaczął działać na własną rękę. Ja postanowiłam opuścić scenę.

Kiedy weszłam, Morelli i Bob siedzieli obok siebie na kanapie i oglądali *Milionerów*. Na stoliku leżał pusty karton po pizze, puste pudełko po lodach i kilka zgniecionych puszek po piwie.

- Obiad? - zapytałam.

- Bob był głodny. Nie martw się, nie pił piwa. - Morelli poklepał kanapę. - Tutaj jest miejsce dla ciebie.

Kiedy Morelli występował w roli gliniarza, jego wzrok był jasny i badawczy, rysy twarzy ostre, a blizna, która przecinała mu brew nad prawym okiem, przypominała, że Morelli nigdy nie prowadził bezpiecznego trybu życia. Kiedy natomiast odczuwał pożądanie, jego oczy wyglądały jak roztopiona czekolada, rysy twarzy łagodniały, a blizna sprawiała mylne wrażenie, że może ten facet potrzebuje odrobiny czułości.

Teraz czuł wielkie pożądanie. A ja czułam wielki brak pożądania. Tak naprawdę byłam w bardzo złym humorze. Rzuciłam się na kanapę,



popatrzyłam spode łba na pusty kanon po pizzie i przypomniałam sobie swoje oliwki na obiad.

Morelli objął mnie i dotknął nosem mojego karku.

- Nareszcie sami - ucieszył się.

- Muszę ci coś powiedzieć. Joe znieruchomiał.

- Natknęłam się dzisiaj na martwego gościa.

Oparł się ciężko o kanapę.

- Mam przyjaciółkę, która znajduje trupy. Dlaczego właśnie ja?

- Mówisz jak moja matka.

- Czuję się jak twoja matka.

- Nie rób tego - burknęłam. - Nie lubię nawet, kiedy moja matka czuje się jak moja matka.

- Przypuszczam, że chcesz mi o wszystkim opowiedzieć.

- Jeśli nie chcesz słuchać, to nie ma sprawy. Mogę zadzwonić na policję. Wyprostował się.

- Jeszcze tego nie zgłosiłaś? A niech to, pozwól, że się domyślę: włamałaś się do czyjegoś domu i przypadkiem natknęłaś się na trupa.

- Do domu Hannibala.

Morelli zerwał się na równe nogi.

- Do domu Hannibala?

- Ale ja się tam nie włamałam. Drzwi były otwarte.

- Po co, u diabła, wchodziłaś do domu Hannibala? - rzeszczał. - O czym myślałaś?

Też się zerwałam i krzyczałam na niego:

- Wykonywałam swoją pracę!

- Włamywanie się i wkraczanie na cudzy teren nie jest twoją pracą.

- Mówiłam ci, że to nie było włamanie. To było tylko wejście.

- Jasne, wielka różnica. Kogo znalazłaś martwego?

- Nie wiem. Jakiegoś gościa, którego trzasnęli w garażu.

Morelli poszedł do kuchni i wystukał w pośpiechu jakiś numer.

- Mam anonimowe doniesienie - powiedział. - Wyślijcie może kogoś do domu Hannibala Ramosa przy Fenwood, niech zajrzy do garażu. Tylne drzwi powinny być otwarte. - Odłożył słuchawkę i odwrócił się do mnie. - W porządku, zajmą się tym - poinformował. - chodźmy na górę.

- Seks, seks, seks - powiedziałam. - Zawsze ci jedno w głowie.

Chociaż właściwie teraz, kiedy odpoczęłam i sprawę trupa miałam już z głowy, orgazm nie był najgorszym pomysłem.

Morelli oparł mnie o ścianę i przyłgnął ciałem do mojego.

- Myślę o wielu innych rzeczach oprócz seksu... Tylko nie ostatnio.

Pocałował mnie z języczkiem, a orgazm wydawał się coraz bliżej.

- Jeszcze tylko jedno pytanie w związku z tym trupem - powiedziałam. - Jak długo będą go szukać?

- Jeśli mają jakiś patrol w okolicy, od pięciu do dziesięciu minut.

Istniało duże prawdopodobieństwo, że kiedy znajdą tego kołosa w garażu, zadzwonią po Morellego. A ja nawet w najlepszym wypadku potrzebuję więcej niż pięć minut. Ale zanim dojadą do domu, wejdą od tyłu i dotrą do garażu, minie może około dziesięciu. Gdybym nie traciła czasu na zdejmowanie ubrania i przeszła od razu do rzeczy, może udałoby się zrealizować pełny program.

- A może zrobimy to tutaj? - zaproponowałam Morellemu, chwytając go za zamek od lewisów. - Kuchnie są takie podniecające.

- Zaczekaj - powiedział. - Zasłonę okna.

Zrzuciłam buty i zdałam spodnie.

- Szkoda czasu.

Morelli spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

- Nie mam nic przeciwko temu, ale trudno mi jakoś oprzeć się wrażeniu, że to zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe.

- Słyszałeś o szybkich daniach? To będzie szybki seks.

Objęłam go, a on ledwo złapał oddech.

- Jak szybko chcesz to zrobić? - zapytał. Zadzwonił telefon. Niech to szlag!

Morelli w jednej ręce trzymał słuchawkę, a drugą ścisnął mój nadgarstek. Po chwili rozmowy spojrzał na mnie.

- To Costanza. Był w okolicy, więc podjechał, żeby sprawdzić dom Ramosa. Mówi, że muszę tam przyjechać, żeby to osobiście obejrzeć. Mówił coś na temat gościa, który ma kiepską fryzurę i czeka na autobus. A w każdym razie tyle usłyszałem między wybuchami śmiechu.

Wzruszyłam ramionami i rozłożyłam ręce. Tak jakbym chciała powiedzieć, że nie wiem, o czym on, u licha, mówi. Dla mnie ten gość wyglądał jak zwyczajny trup.

- Czy chciałabyś mi jeszcze o czymś powiedzieć?

- Tylko w obecności prawnika.

Ogarnęliśmy się, pozbialaliśmy rzeczy i poszliśmy w kierunku drzwi. Bob nadal siedział na kanapie i oglądał *Milionerów*.

- To dziwne - zauważył Morelli - ale mógłbym przysiąc, że on wie, o co chodzi w tej grze.

- Może powinniśmy mu pozwolić, żeby dalej to oglądał. Morelli zamknął za nami drzwi.

- Posłuchaj, robaczku, spróbuj powiedzieć komuś, że pozwalam oglądać psu *Milionerów*, a już ja ci pokażę.

Jego wzrok powędrował w kierunku mojego auta, a potem w kierunku auta, które stało za nim.

- Czy to jest Joyce?

- Śledzi mnie.

- Chce, żebym jej dał jakiś mandat?

Cmoknęłam Morellego i pojechałam do sklepu spożywczego, z Joyce na ogonie. Nie miałam zbyt dużo pieniędzy, a moja karta kredytowa była wycyszczona, więc kupiłam jedynie podstawowe rzeczy: masło orzechowe, chipsy ziemniaczane, chleb, piwo, mleko, ciasteczka i dwa kupony - zdraпки na loterię.

Potem pojechałam do „Home Depot”, gdzie kupiłam zasuwę do drzwi wejściowych na miejsce przeciętego łańcucha. Plan był taki, żeby zapłacić piwem za montaż zasuwki mojej złotej rączce i porządnemu kolesiowi, który nazywał się Dillan Rudick.

Po zakupach pojechałam do domu. Zaparkowałam przed domem, zamknęłam Wielki Błękit i pomachałam Joyce. Joyce wsunęła kciuk między zęby i pożegnała mnie prawdziwie włoskim gestem.

Zatrzymałam się przed drzwiami do mieszkania Dillana w piwnicy i wyjaśniłam, o co mi chodzi. Dillan zabrał swoje pudło z narzędziami i poszliśmy na górę. Był w moim wieku i mieszkał w podziemiach domu jak kret. Naprawdę fajny gość, ale niewiele robił i, o ile mi wiadomo, nie miał przyjaciółki... Więc, jak można się domyślić, pił mnóstwo piwa. A ponieważ nie zarabiał wiele, piwo za darmo było zawsze mile widziane.

Kiedy Dillan zakładał zasuwę, przesiłuchałam sekretarkę. Pięć wiadomości dla babci Mazurowej, dla mnie żadnej.

Odpoczywaliśmy z Dillanem, oglądając telewizję, kiedy weszła babcia.

- Ludzie, co za dzień! - wykrzyknęła. - Cały czas jeździłam i prawie zapomniałam, że istnieje to coś do zatrzymywania się. - Popatrzyła z ukosa na Dillana. - kim jest ten miły młodzieniec?

Przedstawiłam Dillana, a ponieważ była pora obiadowa, więc zrobiłam wszystkim kanapki z masłem orzechowym, udekorowane chipsami. Zjedliśmy je przed telewizorem. Babcia i Dillan wyglądali na całkiem usatysfakcjonowanych, ale ja zaczęłam martwić się o Boba. Wyobraziłam sobie, jak siedzi sam w domu Morellego i nie ma nic do jedzenia oprócz kartonu po pizzie. I kanapy, i łóżka, i zasłon, i dywanu, i ulubionego fotela Joego. Potem wyobraziłam sobie, jak Morelli strzela do Boba, i nie był to przyjemny widok.

Zadzwoiłam do Joego, ale nikt nie odbierał. A niech to. Nie powinnam była zostawiać tam Boba samego. Trzymałam już kluczyki w ręce i wkładałam kurtkę, kiedy przyjechał Morelli, ciągnąc za sobą psa na smyczy.

- Wychodzisz gdzieś? - zapytał, zabierając mi kluczyki i kurtkę.

- Martwiłam się o Boba. Miałam zamiar pojechać do twojego domu i sprawdzić, czy wszystko jest w porządku.

- Myślałem, że może wyjeżdżasz z kraju.

Uśmiechnęłam się obłudnie.

Morelli spuścił Boba ze smyczy, przywitał się z babcią i Dillanem i zaciągnął mnie do kuchni.

- Musimy pogadać.

Usłyszałam, jak Dillan zawył, i domyśliłam się, że Bob zawarł z nim znajomość.

- Jestem uzbrojona - ostrzegłam Morellego. - Więc lepiej uważaj. Mam pistolet w torebce.

Morelli wziął torebkę i rzucił ją w kąt. O choroba!

- W garażu Hannibala był Macaroni junior - poinformował mnie. - Pracował dla Stolle'a. To przedziwne, że właśnie on był w garażu Hannibala. I z każdą chwilą staje się dziwniejsze.

Skrzywiłam się w duchu.

- Macaroni siedział na krześle ogrodowym.

- To był pomysł Luli - powiedziałam. - Dobra, mój też, ale facet leżał tak niewygodnie na tej cementowej podłodze.

Morelli wybuchnął śmiechem.

- Powinienem cię aresztować za naruszenie miejsca zbrodni, ale to był zdeprawowany skurczybyk i wyglądał strasznie głupkowato.

- Skąd wiesz, że to nie ja go zabiłam?

- Bo nosisz trzydziestkę ósemkę, a jego zastrzelili z dwudziestki dwójki. A poza tym ty nie trafiłabyś pięć razy z rzędu nawet w stodołę. Ten jeden raz, kiedy kogoś zastrześliłaś, to musiała być interwencja sił wyższych.

Miał rację.

- De osób wie, że posadziłam go na krześle ogrodowym?

- Nikt o tym nie wie, ale około setki ludzi się domyśla. Żaden nic nie powie. - Morelli spojrzał na zegarek. - Muszę lecieć. Mam spotkanie dziś wieczór.

- Ale nie z Rangerem, prawda?

- Nie.

- Kłamca.

Morelli wyjął z kieszeni kurtki kajdanki i zanim zorientowałam się, co się dzieje, zostałam przykuta do lodówki.

- Przepraszam, o co tutaj chodzi? - zapytałam.

- Zamierzałaś mnie śledzić. Zostawię klucz na dole, w skrzynce na listy.

I to ma być związek uczuciowy?

- Wychodzę - oznajmiła babcia.

Była w purpurowym kostiumie i białych tenisówkach, miała starannie podkręcone włosy i różową szminkę na ustach. Pod pachą trzymała dużą czarną torebkę ze skóry. Obawiałam się, że schowała w niej rewolwer, aby nastraszyć egzaminatora, jeśli obleje egzamin.

- Nie masz przy sobie rewolweru, prawda? - zapytałam.

- Oczywiście, że nie.

Nie wierzyłam jej ani przez chwilę.

Kiedy zeszyliśmy na parking, babcia podeszła do buicka.

- Myślę, że będę miała większe szansę na zdany egzamin, jeśli pojadę buickiem - oświadczyła. - Słyszałam, że niszczą młode laski w sportowych samochodach.

Na parking wjechali Habib i Mitchell. Znowu mieli lincolna.

- Wygląda jak nowy - skwitowałam ten fakt.

Mitchell cały się rozpromienił.

- Tak, kawał dobrej roboty. Odebraliśmy go dziś rano. Musieliśmy zaczekać, aż lakier wyschnie. - Popatrzył na babcię, która siedziała za kierownicą buicka. - Jak dzisiaj się sprawy mają?

- Zabieram babcię na egzamin na prawo jazdy.

- To naprawdę miło z twojej strony - powiedział Mitchell. - Jesteś dobrą wnuczką, ale czy ona nie jest zbyt wiekowa?

Babcia zacisnęła sztuczną szczękę.

- Wiekowa? - krzyknęła. - Już ja ci dam wiekową! - słyszałam szczęk zamka od torebki. Babcia wyjęła swoją pukawkę. - Nie jestem za stara na to, żeby strzelić wam w oko - oświadczyła, mierząc do nich.

Mitchell i Habib zniżyli się na siedzeniach do tego stopnia, że zniknęli całkowicie z pola widzenia.

Rzuciłam babci piorunujące spojrzenie.

- Zdaje się, że mówiłaś, że nie masz przy sobie żadnej broni.

- Musiałam się pomylić.

- Schowaj to. I lepiej nie próbuj grozić nikomu na egzaminie, bo cię aresztują.

- Stara szurnięta wiedźma - powiedział Mitchell gdzieś z dołu lincolna.

- To już lepiej - odparła babcia. - Lubię być wiedźmą.

## Rozdział 12

Miałam mieszane uczucia w związku z prawem jazdy babci. Z jednej strony uważałam, że to wspaniałe, bo babcia będzie bardziej niezależna. Z drugiej strony nie chciałam znaleźć się z nią na jednej ulicy. Przez całą drogę przejeżdżała ulice na czerwonym świetle, wbijałam się w siedzenie za każdym razem, kiedy hamowała, a gdy dotarłyśmy do celu, zaparkowała na miejscu dla niepełnosprawnych, które niby to jej przysługuje, bo babcia należy do Amerykańskiego Stowarzyszenia Emerytów.

Kiedy po egzaminie ciężkim krokiem weszła do poczekalni, od razu wiedziałam, że jeszcze przez jakiś czas ulice pozostaną bezpieczne.

- Wszystko na nic - oznajmiła. - Oblał mnie na byle czym.

- Możesz zdawać jeszcze raz.

- Niech to krew zaleje, jasne, że mogę. Mam zamiar próbować, aż zdam. Bóg dał mi prawo do prowadzenia samochodu. - Zaciśnęła usta.

- Myślę, że powinnam była wczoraj pójść do tego kościoła.

- Nie zaszkodziłoby - potwierdziłam.

- Dobra, następnym razem stanę na głowie. Zapalę świeczkę. Zrobię wszystko.

Mitchell i Habib nadal nas śledzili, ale pozostawali z tyłu w odległości jakichś czterystu metrów. W tamtą stronę, kiedy babcia nagle hamowała, kilka razy o mało co w nas nie wjechali, więc teraz nie chcieli ryzykować.

- Nadal masz zamiar się wyprowadzić? - zapytałam babcię.

- Jasne. Już powiedziałam o tym twojej matce. A Louise Greeber przychodzi dzisiaj po południu, żeby mi pomóc. Nie musisz się niczym przejmować. To miło z twojej strony, że zgodziłaś się, żebym z tobą mieszkała. Doceniam to, ale muszę czasem trochę się zdrzemnąć. Nie wiem, jak ty w ogóle funkcjonujesz, śpiąc tak mało.

- No dobrze - powiedziałam. - Widzę, że już się zdecydowałaś. -  
Może ja też zapalę świeczkę.

Bob przywitał nas, kiedy weszliśmy do domu.

- Zdaje się, że Bob chce zrobić... no wiesz co - zauważyła babcia.

Zesłam więc z Bobem na parking. Mitchell i Habib siedzieli w samochodzie, cierpliwie czekając, aż doprowadzę ich do Rangera, a

teraz dołączyła do nich również Joyce. Odwróciłam się, weszłam z powrotem do budynku i wyszłam frontowymi drzwiami. Ruszyłam z Bobem wzdłuż ulicy i zawróciliśmy do dzielnicy małych domków jednorodzinnych, która znajdowała się w sąsiedztwie. Bob zrobił no wiecie co jakieś czterdzieści lub pięćdziesiąt razy w ciągu pięciu minut i znów poszliśmy w kierunku domu.

Nagle jakieś dwa domy przede mną wyjechał z za rogu czarny mercedes i serce mi załomotało. Mercedes podjechał bliżej i teraz serce zamarło mi w piersiach. Były tylko dwie możliwości: handlarz narkotykami lub Ranger. Samochód zatrzymał się koło mnie i Ranger lekko kiwnął głową, co miało oznaczać: „Wsiadaj”.

Wpakowałam Boba na tylne siedzenie i wślizgnęłam się na miejsce koło Rangera.

- Na moim parkingu czeka troje ludzi, którzy chcieliby się ciebie pozbyć - oznajmiłam. - Co cię tutaj sprowadza?

- Chcę z tobą pogadać.

Umiejętność włamywania się do mieszkań to jedno, ale zdolność przewidywania, co robię w danym momencie dnia, to już całkiem inna historia. - Skąd wiedziałeś, że jestem na spacerze z Bobem? Co, masz jakieś kontakty z siłami nadprzyrodzonymi?

- Nic nadzwyczajnego. Zadzwoiłem i twoja babcia zdradziła mi, że wyszłaś z psem na spacer.

- O rany, co za rozczarowanie. Za chwilę powiesz mi, że nie jesteś Supermanem.

Ranger uśmiechnął się.

- Chciałabyś, żebyś był Supermanem? Spędź ze mną noc.

- Peszysz mnie - powiedziałam.

- Sprytne - rzekł z uznaniem Ranger.

- O czym chciałeś ze mną pogadać?

- Chciałbym zakończyć naszą współpracę.

Moje zmieszanie zniknęło i zastąpił je załazek jakiegoś negatywnego uczucia, które usadowiło się na dnie mojego żołądka.

- Dobiliście targu z Morellim, prawda?

- Osiągnęliśmy porozumienie.

Zostałam wykluczona ze sprawy, odepchnięta na bok, wyrzucona za burtę jak niepotrzebny balast. Albo nawet gorzej, jak źródło kłopotów.



W ciągu trzech sekund moje uczucia przegalopowały od zwątpienia do totalnej furii.

- To był pomysł Morellego?

- To mój pomysł. Hannibal cię widział. Alexander cię widział. A teraz połowa policjantów w Trenton wie, że włamałaś się do domu Hannibala i znalazłaś w garażu młodego Macaroniego.

- Morelli ci o tym powiedział?

- Wszyscy o tym mówią. Na mojej sekretarce nie ma już miejsca. Dalsze uczestniczenie w tej sprawie jest dla ciebie zbyt niebezpieczne. Obawiam się, że Hannibal połączy fakty i przyjdzie po ciebie.

- Można się załamać.

- Naprawdę posadziłaś faceta na krześle ogrodowym?

- Owszem. A tak przy okazji, zabiłaś go?

- Nie. Kiedy tam byłem, w garażu nie było porsche. Ani Macaroniego.

- Jak pokonałeś system alarmowy?

- Tak samo jak ty. Alarm był wyłączony. - Popatrzył na zegarek. - Czas na mnie.

Otworzyłam drzwi i zaczęłam wysiadać. Ranger chwycił mnie za nadgarstek.

- Nie jesteś zbyt dobra w wykonywaniu rozkazów, ale tym razem mnie posłuchasz, prawda? Odejdiesz. I będziesz ostrożna.

Westchnęłam, wysiadłam z samochodu i wyciągnęłam Boba z tylnego siedzenia.

- Tylko upewnij się, że Joyce cię nie złapie. To zamieniłoby dzisiejszy dzień w całkowitą ruinę.

Zostawiłam Boba w mieszkaniu, zabrałam kluczyki i torebkę i zesłam na dół schodami. Jechałam gdzieś. Gdziekolwiek. Znalazłam się w takim dołku, że nie mogłam usiedzieć w domu. Naprawdę moja depresja nie była spowodowana wyłącznie tym, że mnie wykluczyli ze sprawy. Nie mogłam znieść, że wykluczyli mnie z niej za głupotę. Spadłam z drzewa, na miłość boską. A potem posadziłam Macaroniego na krześle. Chodzi o to, do jakich głupstw człowiek jest zdolny.

Muszę coś zjeść, pomyślałam. Lody. Polanę gorącym karmelem. I bitą śmietaną. W centrum handlowym jest lodziarnia, w której robią porcję czteroosobową. Tego właśnie mi trzeba. Megalodów.

Wsiadłam do Wielkiego Błękitu, a Mitchell za mną.

- Przepraszam? - powiedziałam. - Czy to ma być randka?

- Chciałabyś - odparł Mitchell. - Pan Stolle chce z tobą pogadać.

- Wiesz co? Nie jestem w nastroju do rozmów z panem Stolle'em.

Nie jestem w nastroju do rozmów z nikim, włącznie z tobą. Mam nadzieję, że nie potraktujesz tego osobiście, ale wynoś się z mojego samochodu.

Mitchell wyciągnął broń.

- Musisz zmienić nastrój.

- Strzeliłbyś do mnie?

- Nie traktuj tego osobiście - powiedział Mitchell.

Sklep z dywanami „Art's” znajduje się w dzielnicy Hamilton, która ma charakter typowo handlowy, przy trasie 33, niedaleko Five Points, i nie różni się niczym od innych firm na tej samej ulicy, z wyjątkiem błyszczącego szyldu w jaskrawozielonym kolorze; można go dostrzec nawet z Rhode Island. To jednopiętrowy budynek z dużymi witrynami, obwieszczającymi doroczną wyprzedaż. Byłam w tym sklepie wiele razy, podobnie jak każdy mężczyzna, kobieta czy dziecko w New Jersey. Nigdy niczego nie kupiłam, ale kusiło mnie. Oferowano tu korzystne ceny.

Zaparkowałam buicka przed sklepem. Habib postawił lincolna tuż obok. A Joyce zaparkowała koło lincolna.

- Czego chce Stolle? - zapytałam. - Chyba nie ma zamiaru mnie zabić?

- Pan Stolle nikogo nie zabija. Wynajmuje ludzi do tej roboty. On chce tylko porozmawiać. To wszystko, co mi powiedział.

W sklepie były dwie klientki. Wyglądały na matkę i córkę. Sprzedawca skakał koło nich. Weszliśmy do środka z Mitchellem, który zaprowadził mnie, klucząc pośród stert dywanów i ekspozycji kilimów, do biura na tyłach sklepu.

Stolle liczył koło czterdziestu pięciu lat i był dobrze zbudowany. Miał klatkę jak szafa i szeroką szczękę. Na sobie - tandetny sweter i spodnie od dresu. Wyciągnął rękę i na jego twarzy pojawił się uśmiech kupca.

- Będę na zewnątrz - powiedział Mitchell i zamknął drzwi, zostawiając mnie sam na sam ze Stolle'em.

- Podobno jesteś dość sprytną dziewczyną - zaczął Stolle. - Słyszałem o tobie coś niecoś.

- Mhm.

- Więc jak to się dzieje, że nie masz szczęścia w przypadku Manosa?

- Nie jestem aż tak sprytna. A Ranger nie zbliży się do mnie, dopóki w pobliżu będą Mitchell i Habib. Stolle uśmiechnął się.

- Szczerze mówiąc, nigdy nie Uczyłem na to, że wydasz nam Manosa. Ale, u diabła, kto nie gra, ten nie wygrywa, prawda?

Nie odpowiedziałam.

- Skoro, niestety, nie udało nam się tego zrobić najprostszym sposobem, będziemy musieli spróbować inaczej. Wyślemy wiadomość twojemu przyjacielowi. Nie chce ze mną rozmawiać? Dobra. Chce być nieuchwytny? W porządku. A wiesz dlaczego? Bo mamy ciebie. Kiedy całkiem stracę cierpliwość, a mało mi już brakuje, zrobimy krzywdę tobie. A Manoso będzie wiedział, że mógł temu zapobiec.

Całkowicie mnie zatkało. Takiego rozwiązania nie brałam pod uwagę.

- On nie jest moim przyjacielem - sprostowałam. - przeceniasz to, ile dla niego znaczą.

- Być może, ale on jest bardzo rycerski. Wiesz, latynoski temperament. - Stolle usiadł na fotelu za swoim biurkiem i odsunął się do tyłu. - Powinnaś zachęcić Manosa, żeby z nami porozmawiał. Mitchell i Habib wyglądają na sympatycznych facetów, ale robią, co im każę. Mają na swoim koncie naprawdę parę niezłych numerów. Masz psa, prawda? - Stolle pochylił się do przodu i położył dłonie na biurku. - Mitchell jest naprawdę dobry w zabijaniu psów. Nie to, żeby miał załatwić twojego psa...

- To jest mój pies. Opiekuję się nim.

- To był tylko przykład.

- Tracisz czas - powiedziałam. - Ranger jest przebiegły. Nie uda ci się dotrzeć do niego przeze mnie. Nie łączy nas ten rodzaj znajomości. Być może nikogo nie łączy z nim taka znajomość.

Stolle uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

- Jak już mówiłem, kto nie gra, ten nie wygrywa. Ale warto spróbować, prawda?

Spojrzałam na niego tajemniczym wzrokiem Stephanie Plum, odwróciłam się i wyszłam.

Kiedy wyszłam ze sklepu, Mitchell, Habib i Joyce siedzieli beczynnie. Wsiadłam do buicka i dyskretnie sprawdziłam spodnie w kroku, żeby upewnić się, że ich nie zmoczyłam. Wzięłam głęboki oddech i położyłam ręce na kierownicy. Wdech, wydech. Wdech, wydech. Chciałam włożyć kluczyk do stacyjki, ale nie mogłam oderwać rąk od kierownicy. Pooddychałam jeszcze trochę. Powiedziałam sobie, że Arturo Stolle jest potwornym gadułą. Ale sama w to nie wierzyłam. Wierzyłam natomiast, że to kawał skurczybyka. I nie wyglądało również na to, żeby Habib i Mitchell byli tacy wspaniali.

Wszyscy mnie obserwowali, czekając, co teraz zrobię. Nie chciałam, by wiedzieli, że jestem przerażona, więc zmusiłam się do zdjęcia rąk z kierownicy i uruchomienia silnika. Ostrożnie wycofałam, wrzuciłam bieg i odjechałam. Skoncentrowałam się na tym, żeby prowadzić powoli i pewnie.

Jadąc, wykreśliłam wszystkie numery telefonów do Rangera, jakie znałam, zostawiając lapidarną wiadomość: „Zadzwoń do mnie. Natychmiast”. Potem zadzwoniłam do Carol Zabo.

- Potrzebuję przysługi - powiedziałam.

- Wal jak w dym.

- Śledzi mnie Joyce Barnhardt.

- Suka.

- Jedzie za mną także dwóch gości w lincolnie.

- Hm.

- Nic poważnego - jeżdżą za mną od dłuższego czasu i, jak dotąd, do nikogo nie strzelali. - Jak dotąd. - W każdym razie muszę ich zniechęcić do śledzenia mnie i mam pewien plan.

Byłam jakieś pięć minut drogi od Carol. Mieszkała w Burg, niedaleko moich rodziców. Kupili z Lubiem dom za pieniądze otrzymane w prezencie ślubnym i natychmiast zaczęli pracować nad powiększeniem rodziny. Po dwóch chłopcach powiedzieli sobie dość. Dobra wiadomość dla świata. Dzieciaki Carol były postrachem okolicy. Kiedy dorosną, na pewno będą glinami.

Podwórka w Burg są długie i wąskie. Wiele z nich jest otoczonych jakimś ogrodzeniem. Większość przylega do bocznych uliczek.

Wszystkie uliczki mają szerokość polnej drogi. Boczna uliczka na tyłach domów przy Reed Street, między Beal i Cedar, była wyjątkowo długa. Plan polegał na tym, że zaprowadziłabym jak po sznurku Joyce i dziarskich chłopców w dół ulicy, potem czym prędzej skręciłabym w Cedar, a Carol przyszlaby mi z odsieczą i zablokowała uliczkę, symulując awarię samochodu.

Dojechałam do Burg i jeździłam w kółko przez jakieś pięć minut, dając Carol więcej czasu na zajęcie pozycji. Potem skręciłam w Reed, ciągnąc za sobą Joyce i zbirów. Dotarłam do Cedar i upewniłam się, że Carol już tam jest. Przemknęłam koło niej, a ona wyjechała do przodu i stanęła, tak więc wszyscy znaleźli się w pułapce. Zerknęłam do tyłu, żeby zobaczyć, co się dzieje, i ujrzałam Carol i trzy inne kobiety, które wysiadały z jej auta. Monica Kajewski, Gail Wojohowitz i Angie Bono. Każda z nich nienawidziła Joyce Barnhardt. Awantura w Burg!

Pojechałam prosto do Broad i w kierunku wybrzeża. Nie miałam zamiaru siedzieć z założonymi rękami i czekać, aż Mitchell zabije Boba, żeby zdobyć punkt. Dzisiaj Bob - jutro ja.

Wjechałam do Deal i powoli przejechałam koło rezydencji Ramosów. Spróbowałam znowu dodzwonić się na komórkę Rangera. Dalej, Rangerze. Popatrz przez okno, gdziekolwiek, u diabła, jesteś. Byłam o dom dalej od różowej fortecy i miałam zamiar zawrócić na przełęczce, kiedy ktoś szarpnął drzwi od strony pasażera i do środka wskoczył Alexander Ramos.

- Cześć, spryciaro - powiedział. - Ciągnie cię tutaj, co?

A niech to! Nie potrzebowałam teraz, żeby wsiadał mi do samochodu!

- Dobrze, że cię zobaczyłem. Już dostawałem świra.

- Chryste - jęknęłam. - Dlaczego pan tego nie zmieni?

- Nie chcę niczego zmieniać. Chcę papierosa. Zawieź mnie do sklepu. I pośpiesz się, umieram. - Papierosy są w schowku. Zostawił je pan ostatnim razem.

Wyciągnął paczkę i włożył papierosa do ust.

- Tylko nie w samochodzie!

- Do diabła, to zupełnie jak małżeństwo bez seksu. Jedź do Sala.

Nie chciałam jechać do Sala. Chciałam pogadać z Rangerem.

- Nie obawia się pan, że zaczną go szukać? Jest pan pewien, że to bezpieczne jechać do Sala?

- Tak. W Trenton mają problem i wszyscy są zajęci, próbując go rozwiązać.

- Czy ten problem jest związany z trupem w garażu Hannibala? - No cóż, istotnie - powiedziałam. - Może mógłby pan pomóc.

- Już pomogłem. W przyszłym tygodniu załaduję ten problem na statek. Przy odrobinie szczęścia statek zatonie.

Dobra, teraz całkiem mnie wcięło. Nie wiem, jak oni mają zamiar zabrać tego nieboszczyka na statek. Nie wiem, po co chcą go tam przetransportować.

Ponieważ nie zdołałam pozbyć się Ramosa z samochodu, pojechałam do Sala, weszliśmy do środka i usiedli przy stoliku. Ramos wychylił szklaneczkę i zapalił papierosa.

- W przyszłym tygodniu wracam do Grecji - powiedział. - Chcesz jechać ze mną? Moglibyśmy się pobrać.

- Myślałam, że skończył pan z małżeństwami.

- Zmieniłem zdanie.

- To nadzwyczajne, ale chyba nie.

Wzruszył ramionami i nalał sobie następną kolejkę.

- Jak chcesz.

- Ten problem w Trenton... - Czy to jakieś interesy?

- Interesy. Osobiste. Dla mnie to jedno i to samo. Pozwól, że dam ci jedną radę. Nie miej dzieci. A jeśli chcesz mieć dostatnie życie, zajmij się bronią. To jest moja rada.

Zadzwoił mój telefon komórkowy.

- Co się dzieje? - zapytał Ranger.

- Nie mogę teraz rozmawiać.

W jego głosie dało się wyczuć napięcie.

- Powiedz, że nie jesteś z Ramosem.

- Tego nie mogę powiedzieć. Dlaczego nie oddzwoniłeś?

- Musiałem na jakiś czas wyłączyć komórkę. Właśnie wróciłem i Czołg powiedział mi, że widział, jak zabierałaś Ramosa.

- To nie moja wina! Szukałam cię wszędzie.

- Dobra, lepiej się ukryj, bo trzy samochody właśnie wyjechały z rezydencji i domyślałam się, że szukają Alexandra.

Zamknęłam klapkę i wrzuciłam telefon do torebki.

- Muszę iść - powiedziałam do Ramosa.

- To był twój przyjaciel, tak? Wygląda na to, że to prawdziwy dupek. Mógłbym się nim zająć, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Rzuciłam na stół dwudziestkę i wzięłam butelkę.

- Chodźmy - rzekłam stanowczo. - Możemy to zabrać ze sobą.

Ramos popatrzył mi przez ramię w kierunku drzwi.

- O choroba, patrz, kto idzie. Bałam się odwrócić.

- To moje niańki - oświadczył. - Nie mogę nawet podtrzeć tyłka bez świadków.

Odwróciłam się i prawie że zemdlałam z ulgi, że to nie Hannibal. Obaj przybyli mieli dobrze po czterdzieście i byli ubrani w garnitury. Wyglądali tak, jakby jedli mnóstwo spaghetti i nie odmawiali sobie deserów.

- Potrzebują pana w domu - powiedział jeden z nich.

- Jestem ze swoją przyjaciółką - odparł Alexander.

- Tak, ale może mógłby pan się z nią umówić kiedy indziej. Nadal nie możemy znaleźć tego ładunku, który płynie statkiem.

Jeden z nich wyprowadził Alexandra za drzwi, a drugi został, żeby ze mną porozmawiać.

- Posłuchaj - rzekł. - To nieładnie tak wykorzystywać starszego człowieka. Nie masz przyjaciół w swoim wieku? - Nie wykorzystuję go. Wskoczył do mojego samochodu.

- Wiem. Czasami tak robi. - Gość wyciągnął z kieszeni plik banknotów i odliczył setkę. - To rekompensata za utrudnienia.

Cofnęłam się.

- Nie zrozumieliśmy się.

- W porządku, ile? - Doliczył jeszcze dziewięćset, zwinął je i wrzucił do mojej torebki. - Nie chcę już słyszeć ani słowa. I masz obiecać, że zostawisz go w spokoju. Zrozumiano?

- Poczekaj chwilę...

Odchylił połą marynarki, żeby pokazać mi, że ma broń.

- Teraz rozumiem - powiedziałam.

Odwrócił się, wyszedł i wszedł do samochodu, który czekał przy krawężniku. Samochód odjechał.

- Życie jest dziwne - odezwałam się do barmana. I też wyszłam.

Kiedy byłam wystarczająco daleko od Deal, żeby poczuć się bezpiecznie, zadzwoniłam do Rangera i opowiedziałam mu o Stolle'u.

- Masz natychmiast wrócić do domu i zamknąć drzwi na klucz - polecił Ranger. - Wyślę Czołga, żeby cię zabrał.

- I co potem?

- Potem umieszczę cię w bezpiecznym miejscu, dopóki wszystkiego nie wyjaśnię.

- Nie sędzę.

- Nie utrudniaj - powiedział Ranger. - Mam dość problemów.

- Dobra, rozwiąż swoje cholerne problemy. I pośpiesz się!

Wyłączyłam się. No i straciłam sprawę. To był stresujący dzień.

Kiedy wjechałam na parking, Mitchell i Habib już na mnie czekali. Pomachałam im, ale nie odwzajemnili mojego gestu. Mina mi zrzedła. Nie było żadnych docinków. To zły znak. Weszłam schodami na drugie piętro i pognałam do drzwi. Czułam niepokój w żołądku, a serce mi łomotało. Kiedy weszłam do mieszkania i Bob wpadł jak strzała do przedpokoju, poczułam, że ogarnia mnie ulga. Zamknęłam drzwi na klucz i sprawdziłam, czy u Reksa też wszystko w porządku. Na sekretarce miałam dwanaście wiadomości. Jedna była milczeniem. Czuło się, że to milczenie Rangera. Dalsze dziesięć było dla babci. Ostatnia od mojej mamy.

*Dzisiaj wieczór będzie pieczony kurczak - usłyszałam. - Babcia myślała, że może zechcesz wpaść, ponieważ kiedy sprzątała w twoich szafkach, Bob zjadł ci całe zakupy. Babcia mówi, że powinnaś wyprowadzić go na spacer, jak wrócisz, bo zjadł dwa opakowania suszonych śliwek, które dopiero co kupiła.*

Popatrzyłam na Boba. Węszył niespokojnie, a jego brzuch wyglądał tak, jakby pies połknął piłkę plażową.

- Niech cię kule biją, Bob! - rozzłościłam się. - Nie wyglądasz najlepiej.

Bob puścił bąka i odbiło mu się.

- Może powinniśmy pójść na spacer.

Bob zaczął sapać. Ślina kapała mu z pyska na podłogę, a w brzuchu zaczęło burczeć. Pochylił się do przodu i skurczył się.

- Nie! - krzyknęłam. - Tylko nie tutaj!



Porwałam smycz, torebkę i wyciągnęłam go z mieszkania na korytarz. Nie czekaliśmy na windę. Zbiegliśmy na dół po schodach i przecięliśmy hol. Wyprowadziłam go na zewnątrz i właśnie przechodziliśmy przez parking, kiedy nagle tuż przede mną lincoln zahamował z piskiem opon. Mitchell wyskoczył z samochodu, przewrócił mnie i porwał Boba.

Zanim się pozbierałam i wstałam, lincoln ruszył. Wrzasnęłam i pobiegłam za nim, ale wyjechał już z parkingu w St. James Street. Nagle jednak zatrzymał się. Drzwi się otworzyły i wyskoczyli z nich Habib i Mitchell.

- Jasna cholera! - krzyczał Mitchell. - Niech to szlag! Dziwka!

Habib zasłaniał usta ręką.

- Niedobrze mi. Nawet w Pakistanie nie widziałem czegoś takiego.

Bob dał susa z auta, machając ogonem, i podbiegł do mnie. Jego brzuch wyglądał całkiem przyzwoicie, a on sam nie ślinił się ani nie sapał.

- Już lepiej, koleś? - spytałam, drapiąc go za uchem, tak jak lubił. - Dobry chłopiec. Poczciwy Bob.

Mitchell wybałuszył oczy. Miał purpurową twarz.

- Zabiję tego cholernego kundla. Zabiję go. Wiesz, co on zrobił? Zrobił to grubsze w moim samochodzie. A potem zwymiotował. Czym ty go karmisz? W ogóle nie znasz się na psach? Co z ciebie za opiekunka?

- Zjadł suszone śliwki babci - wyjaśniłam.

Mitchell złapał się za głowę.

- Tylko bez głupich żartów.

Zapakowałam Boba do Wielkiego Błękitu i kiedy dojechałam do domu rodziców, najpierw wyrzalam przez szybę.

- Zawsze wiemy, że to ty - powiedziała babcia. - Ten samochód słyhać na dwa kilometry. Tylko bez głupich żartów.

- Gdzie masz kurtkę? - zapytała mama. - Nie jest ci zimno?

- Nie miałam czasu, żeby zabrać kurtkę - wytłumaczyłam. - To długa historia. Na pewno nie zechcecie tego słyhać.

- Ja chcę - oświadczyła babcia. - Założę się, że jest niezła.

- Najpierw muszę zadzwonić.

- Dzwon, a ja już podaję do stołu - powiedziała mama. - Wszystko jest gotowe.

Poszłam do kuchni i zadzwoniłam do Morellego.

- Chciałam cię o coś prosić - zaczęłam, kiedy odebrał.

- Jasne. Uwielbiam, jak masz wobec mnie długi wdzięczności.

- Chciałabym, żebyś przez jakiś czas zajął się Bobem.

- Ale nie jesteś w zмовie z Simonem?

- Nie!

- Więc o co chodzi?

- Pamiętasz o tych tajnych informacjach, których nie możesz mi powierzyć?

- Tak.

- Teraz to ja nie mogę ci tego wyjaśnić. Przynajmniej nie w kuchni mojej mamy.

Babcia wpadła do kuchni.

- Czy to Joseph? Powiedz mu, że mamy dużego pieczonego kurczaka, ale musi się pośpieszyć, jeśli chce coś zjeść.

- On nie lubi pieczonego kurczaka.

- Uwielbiam pieczone kurczaki - odparł Joe. - Zaraz tam będę.

- Nie!

Za późno. Wyłączył się.

- Połóżcie dodatkowe nakrycie - poprosiłam.

Babcia siedziała przy stole i wyglądała na zmieszaną.

- Czy to ma być talerz dla Boba, czy dla Joego?

- Dla Joego. Bob ma kłopoty z żołądkiem.

- Nic dziwnego - odezwała się babcia. - A te wszystkie suszone śliwki? Zjadł też opakowanie mrożonych płatów rybnych i torbę prawoślazu lekarskiego. Czekając na Louise, robiłam porządki w szafkach i wysłałam na chwilę do łazienki, a kiedy wróciłam, na blacie nie zostało nic.

Pogłaskałam Boba po łbie. Durny pies. Nie był ani trochę taki inteligentny jak Reks. Nie był nawet na tyle inteligentny, żeby zostawić w spokoju te śliwki. Jednak miał swoje zalety. Cudowne, piwne oczy. A piwne oczy mnie pociągały. Był też dobrym kompanem. Nigdy nie próbował zmieniać programów w radiu i ani razu nie wspomniał o moim przyszczu. W porządku, przywiązałam się do Boba. Tak naprawdę

byłam gotowa wyrzucić Mitchellowi serce gołymi rękami, kiedy porwał tego psa. Do przytulania też był dobry.

- Dzisiaj pojedziesz do domu z Joem - powiedziałam do niego. - Będziesz tam bezpieczny.

Mama postawiła na stole kurczaka, pieczywo, surówkę z czerwonej kapusty i brokuły. Nikt nawet nie tknąłby brokułów, ale mama i tak je gotowała, bo są zdrowe.

Joe wszedł i usiadł koło mnie przy stole.

- Jak dzisiaj poszło? - zapytała babcia. - Złapałeś jakichś morderców?

- Dzisiaj nie, ale mam pewne nadzieje na jutro.

- Czyżby? - zainteresowałam się.

- W zasadzie nie, niezupełnie.

- Jak ci poszło z Rangerem?

Morelli nałożył sobie łyżkę surówki z czerwonej kapusty.

- Tak jak się spodziewałem.

- Mnie powiedział, żebym się odczepiła. Ty też tego chcesz?

- Tak, ale jestem na tyle przebiegły, żeby ci tego nie mówić. To podziękowały na ciebie jak płachta na byka. - wziął kawałek kurczaka. - Wypowiedziałaś mu wojnę?

- Coś w tym rodzaju. Odrzuciłam jego propozycję umieszczenia mnie w bezpiecznym miejscu.

- Czy jest aż tak źle, że musisz się ukrywać?

- Nie wiem. Być może.

Morelli położył rękę na oparciu mojego krzesła.

- Mój dom jest bezpieczny. Mogłabyś się wprowadzić do mnie i Boba. A poza tym masz u mnie dług, no wiesz.

- Chcesz od razu zatelefonować na giełdę, żeby im powiedzieć, że twoje akcje wzrosły?

- Im szybciej, tym lepiej.

Telefon w kuchni zadzwonił i babcia poszła odebrać.

- To do Stephanie! - krzyknęła. - Lula.

- Próbuję skontaktować się z tobą przez całe popołudnie. W ogóle nie można cię złapać. Masz wyłączoną komórkę, nie odpowiadasz na pager. Czy coś z twoim pagerem jest nie tak?

- Nie stać mnie i na komórkę, i na pager, więc wybrałam komórkę.  
O co chodzi?

- Znaleźli Cynthię Lotte w tym porsche i była martwa. Mówię ci, nikt by mnie nie zmusił, żeby wsiąść do tego auta. Wsiadasz i wynoszą cię nogami do przodu.

- Kiedy to się stało? Skąd o tym wiesz?

- Znaleźli ją dzisiaj po południu na parkingu przy Trzeciej. Usłyszałyśmy o tym z Connie w wiadomościach policyjnych w radiu. W dodatku mam dla ciebie nowego zbiega. Vinnie był maksymalnie wkurzony, bo byłaś poza zasięgiem, a nie ma nikogo, kto wzięłby tę sprawę.

- A co z Joyce? A Frankie DeFrances?

- Joyce też jest poza zasięgiem. Jej pager nie odpowiada. A Frankie miał właśnie operację przepukliny.

- Przyjadę do biura jutro z samego rana.

- Nie ma mowy. Vinnie mówi, że musisz dorwać tego kolesia dziś wieczór, zanim odleci. Wie dokładnie, gdzie on jest. Dał mi papiery.

- Za ile?

- Umowa jest na sto tysięcy. Vinnie odpali ci dziesięć procent.

Serce, tylko spokojnie, żadnych palpacji.

- Przyjadę po ciebie za jakieś dwadzieścia minut.

Wróciłam do stołu, zapakowałam dwa kawałki kurczaka w serwetkę i wrzuciłam do torebki.

- Muszę iść - powiedziałam. - Mam złapać zbiega.

Morelli nie wyglądał na zbyt uszczęśliwionego.

- Zobaczymy się później?

- Możliwe. Poza spłatą długu muszę z tobą pogadać o Cynthii Lotte.

- Wiedziałem, że w końcu do tego dojdiesz.

Lula czekała już na zewnątrz, kiedy dotarłam do jej domu.

- Mam papiery - powiedziała. - I nie jest tak źle. Nazywa się Hwood Steiger i jest oskarżony o handel narkotykami. Próbował robić denaturat w garażu swojej matki, ale w całej okolicy unosiły się opary. Pewnie któryś z sąsiadów zadzwonił na policję. W każdym razie jego matka zastawiła dom, żeby wpłacić kaucję, i teraz boi się, że Elwood zrobi sobie wycieczkę do Meksyku. W piątek nie stawiał się w sądzie, a

matka znalazła bilety na samolot w szufladzie ze skarpetkami. Więc doniosła na niego Vinniemu.

- Gdzie mamy go szukać?

- Według jego mamy jest jednym z tych fanatyków *Star Trek*. Dzisiaj wieczór odbywa się coś w rodzaju maratonu *Star Trek*. Podała mi adres.

Zerknęłam na adres i wydałam z siebie jęk. To był dom Dougiego.

- Znam kolesia, który tam mieszka - powiedziałam. - Dougie Kruper.

Lula stuknęła się w głowę.

- Wiedziałam, że to jakieś znajome nazwisko.

- Nie chcę, żeby ktokolwiek został ranny, kiedy tam wejdziemy - ostrzegłam.

- Mhm.

- Nie wkroczymy tam jak bandziory z bronią w rękę.

- Mhm.

- W ogóle nie użyjemy broni.

- Przecież słyszę.

Spojrzałam na kieszeń w jej kurtce.

- Masz tam spluwę?

- Do licha, jasne.

- A w spodniach?

- Glocka.

- Futerał na rewolwer przy kostce u nogi?

- Tylko mięczaki noszą futerały przy kostce - obruszyła się Lula.

- Chcę, żebyś zostawiła broń w samochodzie.

- Ale to są przecież gwiazdni wojownicy. Mogą nas wziąć w ogień wulkanicznej lawy.

- W samochodzie! - krzyknęłam.

- Rany, po co aż tak ostro! - Lula wyjrzała przez okno. - Wygląda na to, że u Krupera impreza się kręci.

Przed domem stało kilka samochodów, a z okien biła łuna świateł. Drzwi wejściowe były otwarte, a na werandzie stał Księżyc. Zostawiłyśmy samochód parę domów dalej i wróciłyśmy do Księżycy.

- Cześć, facetka - powiedział na mój widok. - Witamy w „Trekaramie”.

- Co tu się dzieje?

- Dougie stworzył nowy interes. „Trekarama”. Sami to wymyśliliśmy. Dougster jest mistrzem gwiazdnych podróży. To wzbudza grozę, facetka. Interes na miarę nowego tysiąclecia. Będzie duży, wiesz? Mamy zamiar wprowadzić karty wstępu.

- Co to, u diabła, jest ta „Trekarama”?

- To klub rozrywkowy, facetka. Świątynia. To miejsce kultu wszystkich kobiet i mężczyzn, którzy doszli tam, gdzie nigdy przedtem nikt nie dotarł.

- Co to znaczy przedtem?

Księżyc znieruchomiał i utkwiał wzrok w przestrzeni.

- Przed tym wszystkim.

- O kurna.

- Wstęp kosztuje pięć dolców - poinformował Księżyc.

Dałam mu dziesięć i precyzyjnie się przez tłum przy drzwiach.

- Nigdy nie widziałam tylu czubków w jednym miejscu - powiedziała Lula. - Z wyjątkiem tego Klingona, tam, przy schodach. Ten ostatecznie mógłby być.

Rozejrzałyśmy się po pokoju, szukając Steigera i próbując rozpoznać go na podstawie zdjęcia z dokumentacji. Problem polegał na tym, że część gwiazdnych wojowników była przebrana za swoich ulubionych bohaterów z *Star Trek*.

Dougie podbiegł do nas.

- Witam w „Trekaramie”. W rogu są zakąski i napoje serwowane przez Romulana, a za dziesięć minut zaczynamy pokaz filmu. Zakąski są naprawdę dobre. Pochodzą z likwidacji magazynu.

W wolnym tłumaczeniu: kradzione towary, które gniły w jakimś ukryciu, bo on zamknął interes.

Lula postukała Dougiego w głowę.

- Halo, jest tam kto? Czy wyglądamy jak para szurniętych gwiazdnych wojowników?

- No cóż...

- My tylko się rozglądamy - uspokoiłam Dougiego.

- Jak turyści?

- Może oprowadzi mnie ten Klingon - zaproponowała Lula. - Jest całkiem niezły.

## Rozdział 13

Weszliśmy z Lula dalej do pokoju, przeciskając się przez tłum i szukając Elwooda. Miał dziewiętnaście lat. Był mojego wzrostu i szczupły. Blond włosy w kolorze piasku. Oskarżony po raz drugi. Nie chciałam go wystraszyć. Chciałam po cichu wyprowadzić go na zewnątrz i zapiąć mu kajdanki.

- Hej - powiedziała Lula. - Widzisz tego małego kolesia w przebraniu kapitana Kirka? Co o tym myślisz?

Spojrzałam w drugi kątek pokoju.

- Wygląda na to, że to on - powiedziałam. Precisnęliśmy się w tamtym kierunku i stanęliśmy obok niego.

- Mam tutaj randkę z nieznajomym - zagadnęłam. - mówił, że będzie przebrany za oficera. - Wyciągnęłam rękę. - Jestem Stephanie Plum.

Podał mi rękę.

- Elwood Steiger.

Bingo.

- Jezu, ale tu duszno - powiedziałam. - Wyjdę na zewnątrz, żeby trochę odetchnąć. Idziesz ze mną?

Rozejrzał się wokół, zdenerwowany, czy aby czegoś nie przegapi.

- Nie wiem. Raczej nie. Powiedzieli, że zaraz będą wyświetlać filmy.

Lekcja pierwsza: nie ma sensu podchodzić do gwiazdnego wojownika, kiedy zaczyna się film. Miałam dwa wyjścia. Mogłam użyć siły albo czekać, aż sam zdecyduje się wyjść. Gdyby został do końca i opuścił pomieszczenie razem z całym tym tłumem, mogłyby być kłopoty. Podszedł do nas Księżyc.

- Jak to miło, że obie macie się dobrze. Wiecie, Elwood jest w opałach. Robił takie wspaniałe prochy i go przymknęli. To dla nas wszystkich prawdziwy cios.

Oczy Elwooda były nieprawdopodobnie rozbiegane.

- Czy w końcu puszczą te filmy? - zapytał. - Właściwie przyszedłem tutaj na filmy.

Księżyc sącył drinka.

- Elwood dobrze zarabiał, oszczędzając na college, aż nagle cofnęli mu zgodę na prowadzenie interesu. Cholernie szkoda. Cholernie szkoda.

Elwood nieśmiało się uśmiechnął.

- W zasadzie to nie miałem żadnej zgody.

- Jesteś szczęściarzem, że znasz Stef - powiedział Księżyc. - Nie wiem, co zrobilibyśmy z Dougiem bez Stef. Inni łowcy nagród po prostu zaciągnęliby cię z powrotem do więzienia, ale nie Stef...

Elwood wyglądał tak, jakby ktoś przywalił mu pałką w głowę.

- Łowca nagród!

- I to najlepszy - zapewnił Księżyc. Pochyliłam się do przodu, żeby Elwood słyszał to, co powiedziałam do niego po cichu.

- Może lepiej wyszlibyśmy przed dom i pogadali. Cofnął się.

- Nie! Nigdzie nie idę! Zostaw mnie w spokoju.

Zrobiłam krok do przodu, żeby założyć mu kajdanki, ale mnie odepchnął.

Lula wyciągnęła paralizator, Elwood schował się za Księżycem, a Księżyc osunął się na ziemię jak domek z kart.

- Hop - powiedziała Lula. - Zdaje się, że złapałam naszego małego wojownika.

- Zabiłaś go! - wrzasnął Elwood.

- Dość tego - zaprotestowała Lula. - Przestań mi wrzeszczeć prosto do ucha.

Chwyciłam go za rękę i wsunęłam na nią kajdanki.

- Zabiłaś go. Zastrześliłaś go - powtórzył Elwood.

Lula wzięła się pod boki.

- Słyszałeś jakiś strzał? Chyba nie. Nawet nie mam przy sobie broni, bo nasza przeciwniczka przemocy kazała mi zostawić spluwę w samochodzie. To chyba dobrze, bo inaczej mogłabym cię zastrzelić tylko za to, że jesteś takim małym wkurzającym karaluchem.

Nadal usiłowałam zapiąć kajdanki na jego drugiej ręce, a ludzie pchali się na nas.

- O co chodzi? - pytali. - Co robisz kapitanowi Kirkowi?

- Zabieramy jego bezwartościowy bładz tyłek do ciupy - wyjaśniła Lula. - Odsunąć się.



Kątem oka dostrzegłam, że coś przeleciało obok i uderzyło Lulę w głowę.

- Hej! - krzyknęła Lula. - Co jest grane? - Pomacała się po głowie. - To jedna z tych smrodliwych kulek serowych na zakąskę. Kto rzuca kulkami serowymi?

- Wolność dla kapitana Kirka! - krzyknął ktoś.

- Już my go uwolnimy - obiecała Lula. Pac. Dostała w czoło pasztecikiem z krabów.

- Zaraz, zaraz - powiedziała. Pac. Pac. Pac. Bułeczki z jajkiem. Cały pokój zgodnie skandował:

- Wolność dla kapitana Kirka! Wolność dla kapitana Kirka!

- Spadam stąd - oznajmiła Lula. - To banda czubków. Kiedyś za bardzo przygrzało im w głowy.

Zaciągnęłam Elwoda w kierunku drzwi, obrywając pecyną gorącego sosu do bułeczek z jajkiem plus paroma kulkami serowymi.

- Brać je! - krzyknął ktoś. - Uprawdają kapitana Kirka.

Schyliłyśmy z Lula głowy i torowałyśmy sobie drogę przez grad ukradzionych zakąsek i niewybrednych gróźb. Dotarłyśmy do drzwi, wypadłyśmy na zewnątrz i biegiem rzuciłyśmy się w stronę chodnika, niemal ciągnąc za sobą Elwoda. Wrzuciłyśmy go na tylne siedzenie, po czym nacisnęłam pedał gazu aż do podłogi. Każdy inny samochód wystrzeliłby do przodu jak rakieta, ale buick dostojnie ruszył z miejsca postoju i potoczył się wzdłuż ulicy.

- Wiesz, jak się nad tym zastanowić, to ci gwiazdni wojownicy są kupą mięczaków - zauważyła Lula. - Gdyby coś takiego przydarzyło się w mojej okolicy, w tych kulkach serowych byłyby naboje.

Elwood siedział markotny na tylnym siedzeniu i nie odzywał się. Zainkasował przez przypadek parę ciosów kulkami serowymi i bułeczkami z jajkiem, a jego kostium Kirka już nie spełniał standardów stowarzyszenia.

Wysadziłam Lulę i pojechałam na posterunek. Dyżur miał Jimmy Neeley.

- Rany! - zdumiał się. - Co to za smród?

- Kulki serowe - wyjaśniłam. - I bułki z jajkiem.

- Wyglądasz, jakbyś uczestniczyła w bitwie na żarcie.

- To Romulan wszystko zaczął - powiedziałam. - Cholerni Romulanie.

- Tak - przyznał Neeley. - Tym Romulanom nie można ufać.

Wzięłam pokwitowanie i odebrałam swoje kajdanki od kapitana Kirka, a potem wyszłam z posterunku na wieczorne powietrze. Parking policyjny był aż nienaturalnie jasny, oświetlony halogenami. Ponad halogenami niebo było ciemne i bezgwiazdne. Zaczął padać drobny deszcz. To mogłaby być przyjemna noc, gdybym spędziła ją z Morellim i z Bobem. A tymczasem stałam samotnie w deszczu, śmierząc jak jeden wielki pasztet z krabów i martwiąc się trochę, że ktoś wykończył Cynthię Lotte, a ja mogę być następną. Jediną zaletą zamordowania Cynthii było to, że ten fakt na pewien czas odsunął moje myśli od Artura Stolle'a.

Nie czułam się zbyt atrakcyjna seksualnie w koszuli oblepionej sosem i z włosami upapranymi kulkami serowymi, więc pojechałam do domu, żeby się przebrać przed spotkaniem z Morellim.

Zaparkowałam buicka obok cadillaca pana Weinsteina, zamknęłam drzwi i ruszyłam w stronę domu, zanim zauważyłam, że przede mną stoi Ranger, oparty o samochód.

- Musisz być ostrożniejsza, kochanie - powiedział. - Powinnaś się rozejrzeć, zanim wysiądziesz z samochodu.

- Jestem rozkojarzona.

- Kula w głowie rozproszyłaby twoją uwagę na stałe.

Wykrzywiłam się i pokazałam mu język. Ranger uśmiechnął się.

- Próbujesz mnie podniecić? - Zdjął z moich włosów kęs jedzenia. - Bułka z jajkiem?

- To była długa noc.

- Dowiedziałaś się czegoś od Ramosa?

- Powiedział, że mają problem w Trenton. Prawdopodobnie chodziło mu o Macaroniego. Ale potem powiedział, że już wszystko załatwił i że ten problem odpłynie statkiem w przyszłym tygodniu. A przy odrobinie szczęścia statek zatonie. Później przyszło dwóch zbirów, żeby zabrać ładunek, i powiedzieli, że nie mogą go znaleźć. Wiesz, o co w tym wszystkim chodzi?

- Tak.

- Powiesz mi?

- Nie. Kurczę.

- Jesteś prawdziwym skurczybykiem. Nie mam zamiaru więcej dla ciebie pracować.

- Za późno. Już cię zwolniłem.

- Chciałam powiedzieć nigdy więcej!

- Gdzie jest Bob?

- Z Morellim.

- Więc muszę się martwić tylko o twoje bezpieczeństwo - zauważył Ranger.

- To było słodkie, ale niepotrzebne.

- Żarty sobie ze mnie stroisz czy co? Kazałem ci się wycofać i uważać na siebie, a w dwie godziny później siedziałaś w samochodzie z Ramosem.

- Szukałam cię, a on wskoczył mi do auta.

- Słyszałaś kiedyś o zamkach u drzwi?  
Zadarłam nos w górę, udając oburzenie.

- Idę do domu. I zamknę się na klucz tylko po to, żeby cię uszczęśliwić.

- Błąd. Jedziesz ze mną, i to ja cię zamknę.

- To miała być groźba?

- Nie. Kategoryczny rozkaz.

- Posłuchaj, panie i władco - powiedziałam. - Mamy dwudziesty pierwszy wiek. Kobiety nie są niczyją własnością. Nie można nas tak po prostu zamykać. Jeśli chcę zrobić coś wyjątkowo głupiego i narazić się na niebezpieczeństwo, mam do tego prawo.

Ranger błyskawicznie zapiął mi kajdanki.

- Nie sądzę.

- Hej!

- Tylko na parę dni.

- Nie mogę w to uwierzyć! Naprawdę zamierzasz mnie zamknąć?  
Chciał mnie chwycić za drugi nadgarstek, ale wyrwałam mu kajdanki z ręki i odskoczyłam.

- Chodź tutaj - powiedział.

Między nami był samochód. Kajdanki dyndały mi u jednej ręki i w jakiś przedziwny sposób - chociaż nie chciałam tak myśleć - podniecało

mnie to. A zaraz potem zaczęło mnie to doprowadzać do białej gorączki. Sięgnęłam do torebki i wyciągnęłam sprej.

- Złap mnie - wyzwalam Rangera.

Położył ręce na samochodzie.

- Nie idzie nam zbyt dobrze, prawda?

- A czego się spodziewałeś?

- Masz rację. Powinienem był to przewidzieć. Z tobą nic nie jest proste. Faceci dostają szału. Samochody są zgniatanie przez śmieciarki. Wszystkie akcje, w których uczestniczyłem, były mniej męczące niż umówienie się z tobą na kawę. - Podniósł do góry kluczyk, tak abym mogła go zobaczyć. - Chcesz, żebym zjadł ci kajdanki?

- Rzuć klucz tutaj.

- Nie. Ty musisz przyjść do mnie.

- Nie ma mowy.

- Ten sprej zadziała tylko wtedy, jeśli użyjesz go tuż przed moim nosem. Myślisz, że jesteś na tyle dobra, żeby to zrobić?

- Z pewnością.

Na parking wjechał jakiś rzech. Całkowicie pochłonał naszą uwagę. Ranger trzymał broń, rękę miał opuszczoną. Samochód zatrzymał się i wysiedli z niego Księżyc i Dougie.

- Cześć, facetka! - zawołał do mnie Księżyc. - A to fart, że cię zastaliśmy. Potrzebujemy jednej z twoich mądrych rad.

- Muszę z nimi pogadać - zwróciłam się do Rangera. - Zrobiliśmy im z Lula bałagan w domu.

- Pozwól, że się domyśle. Podawali tam bułki z jajkiem i coś żółtego.

- Kulki serowe. Ale to nie moja wina. To Romulan zaczął.

W kącikach jego ust pojawił się nieznaczny, kontrolowany uśmiech.

- Powinienem był się domyślić, że to sprawka Romulana. - Schował broń. - Idź pogadać z kumplami. Załatwimy to później.

- A klucz?

Uśmiechnął się i potrząsnął głową.

- To oznacza wojnę - powiedziałam.

Uśmiech zamienił się w grymas.

- Bądź ostrożna.

Cofnęłam się i ruszyłam w kierunku tylnych drzwi wejściowych. Za mną powlekli się Dougie i Księżyc. Nie miałam pojęcia, czego mogą ode mnie chcieć. Zwrotu kosztów za zniszczenia? Opinii na temat przyszłości Elwooda jako króla narkotyków? Jak mi smakowały bułeczki z jajkiem?

Przecięłam szybko hol i weszłam na schody.

- Możemy pogadać u mnie w domu - zaproponowałam. - Muszę zmienić koszulę.

- Przepraszamy za twoją koszulę, facetka. Gwiezdni wojownicy zachowali się paskudnie. Mówię ci, że oni byli z mafii - powiedział Księżyc.

- To wasze stowarzyszenie ma kłopoty. Z takimi członkami nigdy nie wyjdą na swoje. Nie uszanowali domu Dougiego.

Otworzyłam drzwi do mieszkania.

- Dużo było szkód?

Księżyc rzucił się na kanapę.

- Z początku myśleliśmy, że skończy się na kulkach serowych. Ale potem zaczęły się problemy z wideo i musieliśmy przerwać pokaz filmów.

- Urządzenie wysiadło w połowie filmu i mieliśmy szczęście, że w ogóle uszliśmy z życiem - oświadczył Dougie.

- I teraz, no, boimy się tam wracać, facetka.

- Chcieliśmy zapytać, czy możemy przekimać się dzisiaj w nocy u ciebie i babci.

- Babcia Mazurowa przeniosła się z powrotem do moich rodziców.

- Szkoda. Była czadowa.

Dałam im poduszki i koce.

- Odlotowe kajdanki - pochwalił Księżyc.

Popatrzyłam na kajdanki, które nadal wisały związane na moim prawym nadgarstku. Zapomniałam, że w ogóle je mam na sobie. Byłam ciekawa, czy Ranger jest jeszcze na parkingu. I zastanawiałam się, czy powinnam była z nim pojechać. Zamknęłam drzwi na zasuwę, po czym zarygnowałam się w sypialni, wpęzłam do łóżka z całym tym serowym świństwem na głowie i natychmiast zasnęłam.

Kiedy obudziłam się następnego dnia rano, zdałam sobie sprawę z tego, że kompletnie zapomniałam o Joem.

Niech to szlag.

W jego domu nikt nie odpowiadał i już miałam dzwonić na pager, kiedy rozległ się dzwonek telefonu.

- Co się, u diabła, stało? - zapytał Joe. - Ledwo przyszedłem do pracy, od razu usłyszałem, że napadł na ciebie Romulan.

- Nic mi nie jest. Musiałam ująć zbiega na imprezie w stylu *Star Trek* i zrobiło się niezmiernie.

- Niestety, ja też mam dla ciebie niezmiernie wiadomości. Twoja przyjaciółka Carol Zabo znowu stoi na moście. Wygląda na to, że razem z całą paczką kumpelek porwały Joyce Bamhardt i gołą przywiązały do drzewa przy cmentarzu dla zwierząt w Hamilton.

- Żarty sobie ze mnie stroisz? Carol została aresztowana za uprowadzenie Joyce Bamhardt?

- Nie. Joyce nie wniosła oskarżenia. Chociaż to było niezłe widowisko. Połowa policjantów pojechała, żeby ją uwolnić. A Carol została aresztowana za okazywanie zbyt wielkiej radości w miejscu publicznym. Myślę, że dziewczyny uczyły zwycięstwo, pałac fajki. Przesłuchają ją tylko za niestosowne zachowanie w miejscu publicznym, ale nikt nie może jej przekonać, że nie pójdzie za to do więzienia. Chcieliśmy cię prosić, żebyś tam pojechała i ściągnęła ją z tego mostu. Robi zamieszanie w godzinach szczytu.

- Zaraz tam będę. - To moja wina. Ludzie, jak wszystko zaczyna się walić, to cały świat zamienia się w wychodek.

Spałam w ubraniu, więc nie musiałam tracić czasu na ubieranie się. Przechodząc przez pokój gościnny, krzyknęłam do Księżycy i Dougiego, że zaraz wracam. Zanim wyszłam z budynku, wyjęłam sprej na wypadek, gdyby Ranger nagle wyskoczył zza krzaków.

Ale Rangera nie było. Nie było również Habiba i Mitchella, więc pojechałam w kierunku mostu. Gliny to mają dobrze - mogą włączyć to duże czerwone światło, jak chcą szybko gdzieś się dostać. Ja nie miałam takiego światła, więc kiedy były korki, jechałam po chodniku.

Deszcz padał jednostajnie. Było poniżej dziesięciu stopni i wszyscy mieszkańcy stanu wisieli na telefonach, sprawdzając ceny biletów lotniczych na Florydę. Oczywiście z wyjątkiem tych, którzy stali na moście, gapiąc się na Carol. Zaparkowałam za radiowozem i doszłam

pieszo do połowy mostu, gdzie Carol siedziała na balustradzie, trzymając w ręce parasolkę.

- Dzięki, że zajęłaś się Joyce - powiedziałam. - Co robisz na tym moście?

- Znowu mnie aresztowali.

- Jesteś oskarżona o niestosowne zachowanie w miejscu publicznym. Nie pójdziesz za to do więzienia.

Carol zeskoczyła z balustrady.

- Chciałam się tylko upewnić. - Popatrzyła na mnie z ukosa. - Co ty masz na włosach? A te kajdanki? Byłaś z Morellim, tak?

- Nie tym razem - odparłam z żalem w głosie.

Wróciłyśmy do swoich samochodów. Carol pojechała do domu, a ja do biura.

- O ludzie! - ucieszyła się Lula na mój widok. - Zdaje się, że zaraz usłyszymy niezłą historyjkę. Skąd masz te kajdanki?

- Pomyślałam, że będą pasowały do tych kulek serowych na głowie. Wiesz, dopełniają całości stroju.

- Mam nadzieję, że to był Morelli - powiedziała Connie. - Ja nie miałabym nic przeciwko temu, żeby Morelli zakuł mnie w kajdanki.

- Blisko - odparłam. - To był Ranger.

- O kuma - skwitowała Lula. - Chyba za chwilę będę mieć mokro w majtkach.

- To nie miało nic wspólnego z seksem - rozczarowałam ją. - To był... wypadek. A potem zgubiliśmy kluczyk.

Connie zaczęła wachlować się teczką na dokumenty.

- Gorąco mi się zrobiło.

Dałam Connie pokwitowanie odbioru Elwooda Steigera. Najogólniej rzecz biorąc, to były łatwe pieniądze. Nikt do mnie nie strzelił ani mnie nie podпалиł.

Drzwi wejściowe otworzyły się z hukiem i do pokoju wpadła Joyce Barnhardt.

- Zapłacisz mi za to - syknęła do mnie. - Jeszcze będziesz żałować, że ze mną zadarłaś!

Lula i Connie spojrzały na mnie pytającym wzrokiem.

- Carol Zabo i kilka jej przyjaciółek pomogło mi, zostawiając Joyce przywiązaną do drzewa i... naga.

- Nie chcę tutaj żadnej strzelaniny - ostrzegła Connie Joyce.  
- Strzelanie jest zbyt banalne - odparła Joyce. - Chcę czegoś więcej.  
Chcę Rangera. - Popatrzyła na mnie zmrużonymi oczami. - Wiem, że  
jesteś z nim blisko. Więc lepiej użyj swoich wpływów i dostarcz mi go.  
Jeżeli w ciągu dwudziestu czterech godzin nie oddasz faceta w moje  
ręce, oskarżę Carol Zabo o porwanie. - Joyce odwróciła się na swoich  
szpilkach i wyszła.

- Niech to szlag - zaklęła Lula. - Znowu ten zapach kwasu.

Connie wręczyła mi czek za Elwooda.

- To naprawdę problem.

Wzięłam czek i wrzuciłam go do torebki.

- Mam tyle problemów, że nawet nie jestem w stanie ich policzyć.

Stara pani Bestler stała w kabinie dźwigu, udając windziarkę.

- Wsiadać - powiedziała. - Torebki damskie, bielizna damska... -  
Oparła się na swoim chodziku i popatrzyła na mnie. - O mój Boże!  
Salon piękności jest na drugim piętrze.

- Świetnie - odparłam. - Właśnie tam jadę.

Kiedy weszłam do mieszkania, było cicho jak makiem zasiał. Na  
kanapie leżały koce, starannie ułożone w kostkę. Na jednej z poduszek  
znalazłam wiadomość. Tylko jedno słowo na kartce: „Później”.

Powlokłam się do łazienki, rozebrałam się i umyłam włosy kilka  
razy. Przebrałam się w czyste rzeczy, wysuszyłam włosy i związałam je  
w kucyk. Zadzwoiłam do Morellego, żeby sprawdzić, jak się miewa  
Bob, i dowiedziałam się, że Bob ma się dobrze i jest pod opieką  
sąsiada. Potem zeszłam do piwnicy i poprosiłam Dillana, żeby  
odpiłował mi łańcuch od kajdanek, bo inaczej druga bransoletka  
dyndałaby na wietrze. A potem nie miałam co robić. Nie musiałam  
łapać żadnych NSS. Ani wyprowadzać psa na spacer. Ani kogo  
obserwować, ani gdzie się włamywać. Mogłabym pójść do ślusarza,  
żeby otworzył mi kajdanki, ale miałam nadzieję, że dostanę kluczyk od  
Rangera. Dzisiaj wieczór zamierzałam oddać go w ręce Joyce. Lepiej  
złapać Rangera niż znowu perswadować Carol, żeby zeszła z  
balustrady. Ratowanie Carol od śmierci w wirach rzeki powoli stawało  
się nudne. A schwytanie Rangera było proste. Należało tylko umówić  
się z nim na spotkanie. Powiedzieć mu, że chcę, by otworzył kajdanki, i



od razu przyjdzie. Wtedy go znokautuję pałką i oddam Joyce. Oczywiście później będę musiała wymyślić jakiś chytry podstęp, żeby go uratować. Nie zamierzałam pozwolić, żeby zaciągnęli Rangera do wiezienia.

Ponieważ wyglądało na to, że do wieczora mam wolne, postanowiłam wyczyścić szklaną klatkę chomika. A potem zrobić porządek w lodówce. Choroba, a może się przemożę i wyszoruję łazienkę... Nie, to już by było za wiele. Wyciągnęłam Reksa z jego lokum i włożyłam go do dużego garnka na spaghetti, który stał w kuchni. Siedział tam, oślepiiony światłem i nieszczęśliwy, że przerwano mu sen.

- Przepraszam, mały kolego - powiedziałam. - Muszę posprzątać twoją chatkę.

Dziesięć minut później Rex był z powrotem u siebie, wściekły, bo wszystkie jego zachomikowane skarby znalazły się w czarnej plastikowej torbie na śmieci. Dałam mu obrany orzech włoski i rodzynek. Zabrał przysmaki do swego wysprzątanego mieszkanka i tyle go widziałam.

Podeszłam do okna w pokoju gościnnym i spojrzałam w dół, na mokry parking. Ani śladu Habiba i Mitchella. Tylko samochody lokatorów. Dobra nasza. Mogłam bezpiecznie wyrzucić śmieci. Włożyłam kurtkę, wzięłam torbę ze starymi trocinami chomika i pognałam wzdłuż korytarza.

Pani Bestler nadal stała w windzie.

- No, teraz wyglądasz znacznie lepiej, kochanie - pochwaliła. - Nie ma to jak godzina relaksu w salonie piękności.

Kiedy drzwi windy otworzyły się na poziomie holu, wyskoczyłam.

- Proszę wsiadać - głośno zachęcała pani Bestler. - Odzież męska, trzecie piętro.

Drzwi zamknęły się.

Przeszłam przez hol w stronę tylnego wyjścia i zatrzymałam się na chwilę, żeby naciągnąć kaptur. Padało bez przerwy. Woda zalała błyszczący dach i kapiała na nawoskowane samochody staruszków. Wyszłam na zewnątrz, pochyliłam głowę i pobiegłam przez parking do śmietnika. Wrzuciłam torbę do skrzyni, odwróciłam się i stanęłam

twarzą w twarz z Habibem i Mitchellem. Byli przemoczeni do suchej nitki i nie wyglądali na przyjaźnie nastawionych.

- Skąd się tu wzięliście? - zapytałam. - Nie widzę waszego samochodu.

- Zaparkowaliśmy na sąsiedniej ulicy - wyjaśnił Mitchell, pokazując mi rewolwer. - Tam, dokąd zaraz pójdziesz. Ruszaj.

- Nie sądzę - powiedziałam. - Jeżeli do mnie strzelicie, Ranger nie będzie miał motywacji, żeby ubić interes ze Stolle'em.

- Błąd - rzekł Mitchell. - Ranger nie będzie miał motywacji, jeśli cię zabijemy.

Słuszna uwaga.

Śmietnik stał na tyłach parkingu. Potykając się, szłam na miękkich nogach przez mokry trawnik, zbyt przerażona, żeby trzeźwo myśleć. Ciekawe, gdzie był Ranger teraz, kiedy go potrzebowałam? Dlaczego nie stał obok, nalegając, żebym pozwoliła się zamknąć w bezpiecznym miejscu? W tej chwili, kiedy już zrobiłam porządek w klatce chomika, byłabym mu za to bardzo zobowiązana.

Mitchell znowu jeździł vanem mamuśki. Chyba nie mieli szczęścia do tamtego lincolna. I zdaje się, że nie chciałam poruszać tego tematu. Habib siedział za mną na tylnym siedzeniu. Miał na sobie płaszcz od deszczu, kompletnie przemoczony. Musieli zacząć się w krzakach koło mojego domu. Był bez czapki i woda kapłała mu z włosów na kark, czoło i policzki. Przetarł twarz ręką. Wyglądało na to, że nie zwracają uwagi, iż moczą siedzenia.

- Dobra - powiedziałam, starając się, żeby mój głos brzmiał normalnie. - I co teraz?

- Teraz nie musisz nic wiedzieć - odparł Habib. - teraz masz siedzieć cicho.

Siedzenie cicho nie było najlepszym wyjściem, ponieważ pozostawiało za dużo czasu na myślenie, a moje myśli raczej nie należały do przyjemnych. Z tej przejażdżki nic dobrego nie wyniknie. Próbowалаm trochę ostudzić emocje. Strach i użalanie się nad sobą na nic się nie zdadzą. Nie chciałam również puszczać wodzy swojej bujnej fantazji. To mogło być po prostu kolejne spotkanie z Arturem. Nie należy przedwcześnie wpadać w panikę. Skoncentrowałam się na oddychaniu. Powoli i regularnie dostarczać płucom tlen. Wdychanie

tlenu. Zaśpiewałam sobie w myślach. La-la-laaa. Widziałam w telewizji, jak jedna kobieta zrobiła coś takiego, i wyglądało na to, że wyszła cało z opresji.

Mitchell jechał na zachód w kierunku Hamilton i rzeki. Przeciął Broad i zaczął kluczyć po przemysłowej dzielnicy miasta. Parking, na który wjechaliśmy, znajdował się obok trzypiętrowego budynku z cegły, w którym kiedyś mieściła się fabryka narzędzi mechanicznych, a teraz nie było tam nic. Na przedniej ścianie budynku umieszczono wywieszkę: „Na sprzedaż”, ale wyglądała tak, jakby miała sto lat.

Mitchell zaparkował vana i wysiadł. Potem wypuścił mnie i wziął na muszkę. Habib ruszył za nami. Mitchell otworzył boczne drzwi budynku i wszyscy troje weszliśmy do środka. Wewnątrz było zimno i wilgotno. Słabe światło padało z otwartych drzwi na małe pomieszczenia biurowe, gdzie słońce prześwitywało przez oblepione brudem okna fasady. Przecieliśmy nieduży hol i znaleźliśmy się w części recepcyjnej. Szliśmy po zniszczonej posadzce, a wokół nie było nic z wyjątkiem dwóch metalowych składanych krzeseł i małego, pokiereszowanego drewnianego biurka. Na biurku leżało kartonowe pudełko.

- Siadaj - powiedział do mnie Mitchell. - Weź krzesło.

Zdjął płaszcz i rzucił go na biurko. Habib zrobił to samo. Koszule mieli nie mniej przemoczone niż płaszcze.

- Dobra, plan jest taki - oświadczył Mitchell. - Ogluszymy cię pałką, a kiedy będziesz nieprzytomna, obetniemy ci palec tymi nożycami. - Wyjął parę nożyc do metalu. - Tym sposobem będziemy mieli co wysłać Rangerowi. Potem będziemy cię pilnować i zobaczymy, co się stanie. Jeśli zechce pohandlować, to ubijemy interes. Jeśli nie, to chyba cię zabijemy.

W uszach miałam jeden wielki szum i uderzyłam się w głowę, żeby mi przeszło.

- Poczekajcie chwilę - powiedziałam. - Mam kilka pytań.

Mitchell westchnął.

- Kobiety zawsze mają jakieś pytania.

- Może powinniśmy obciąć jej język - zaproponował Habib. - To czasami wychodzi. W mojej wiosce często nam się udaje.

Miałam wrażenie, że kłamał, podając się za Pakistańczyka. To wszystko brzmiało tak, jakby jego wioska była w piekle.

- Pan Stolle nie wspominał nic o języku - wyjaśnił Mitchell. - Być może chce go oszczędzić na później.

- Gdzie macie zamiar mnie trzymać? - zapytałam go.

- Tutaj. Zamkniemy cię w łazience.

- A co z krwawieniem?

- A co ma być?

- Mogę wykrwawić się na śmierć. I jak wtedy będziecie mną handlować z Rangerem?

Popatrzyli na siebie. Tego nie wzięli pod uwagę.

- To dla mnie nowość - powiedział Mitchell. - Zwykle od razu robię z ludzi miazgę albo pakuję im kulkę w łeb.

- Powiniście mieć czyste bandaże i jakiś środek dezynfekujący.

- Myślę, że to rozsądne - przyznał Mitchell. Popatrzył na zegarek. - Nie mamy zbyt wiele czasu. Muszę odprowadzić samochód żonie, żeby mogła odebrać dzieciaki ze szkoły. Nie chcę, żeby musiały czekać na deszczu.

- Przy Broad jest apteka - powiedział Habib. - Moglibyśmy tam kupić te rzeczy.

- Kupcie mi też panadol - poleciłam.

Tak naprawdę nie chciałam bandaży ani panadolu. Potrzebowałam czasu. Czyli tego, czego człowiek potrzebuje najbardziej, kiedy staje w obliczu katastrofy. Pragnie mieć więcej czasu, żeby łudzić się nadzieją, że to wszystko nieprawda. Potrzebuje czasu, żeby katastrofa przeszła bokiem. Czasu, żeby dowiedzieć się, że to była pomyłka. Czasu, aby Bóg mógł zainterweniować.

- W porządku - rzekł Mitchell. - Idź do łazienki, tam.

Było to pomieszczenie bez okien, szerokie na metr, a długie na dwa. Toaleta. Umywalka. To wszystko. Do zewnętrznej strony drzwi była przymocowana kłódka. Ponieważ nie wyglądała na nową, więc przyszło mi do głowy, że nie jestem pierwszą osobą, którą tutaj trzymano.

Weszłam do małego pomieszczenia, a oni zamknęli drzwi. Przyłożyłam ucho do framugi.

- Wiesz co, zaczynam nienawidzić tej roboty - powiedział Mitchell.  
- Dlaczego nigdy nie możemy tego zrobić w ładny dzień? Kiedyś musiałem kropnąć tego gościa, Alvina Margucciego. Było tak cholernie zimno, że spluwa zamarzła i musieliśmy zakatować go na śmierć łopatą. A potem, kiedy poszliśmy wykopać dla niego dół, nie mogliśmy zrobić nawet najmniejszej cholernej dziurki w ziemi. Była zamarznięta jak jedna gigantyczna porcja lodów prosto z zamrażarki.

- To chyba bardzo ciężka praca - przyznał Habib. - w moim kraju jest lepiej, o wiele cieplej i ziemia jest miękka. Często w ogóle nie musimy kopać, bo muzułmanin nie musi być pogrzebany i możemy po prostu wrzucić świeżego trupa do rowu.

- Tak, wiesz, my mamy rzeki, ale sztywni wypływają na powierzchnię, co nie jest zbyt korzystne.

- Otóż to - powiedział Habib. - Miałem z tym do czynienia.

Wydawało mi się, że słyszałam, jak wyszli, jak drzwi w holu otworzyły się i zamknęły. Spróbowałam sforsować drzwi od łazienki. Rozejrzałam się wokół siebie. Wzięłam głęboki oddech. Znowu się rozejrzałam. Czułam się niczym Kubuś Puchatek, który, jak wiadomo, był misiem o bardzo małym rozumku. Znajdowałam się w obskurnym, małym pomieszczeniu z brudną umywalką, brudnym klozetem i brudną podłogą, na której leżało linoleum. Ściana koło umywalki przesiąkła wilgocią, a na suficie był grzyb. Pewnie jakieś problemy z hydrauliką piętro wyżej. Nie mówimy tutaj o jakości całej konstrukcji. Położyłam rękę na ścianie i poczułam, jak jej część po prostu się odkleiła. Dykta była całkowicie przesiąknięta wodą.

Miałam na nogach buty na grubych podszewkach. Usiadłam na umywalce, obiema nogami kopnęłam w dyktę i moje stopy przebiły ścianę na wylot. Zaczęłam się śmiać, a potem zdałam sobie sprawę z tego, że płaczę. Nie ma czasu na histerię, powiedziałam sobie. Trzeba stąd wiać.

Rzuciłam się na ścianę, odrywając kawałki dykty. Zrobiłam pokaźnych rozmiarów otwór między słupkami, po czym zajęłam się sąsiednią ścianą. W ciągu kilku minut zrujnowałam obie w wystarczającym stopniu, żeby wcisnąć się między słupki. Miałam połamane paznokcie, z palców leciała mi krew, ale byłam teraz w pomieszczeniu biurowym. Spróbowałam otworzyć drzwi. Zamknięte.

Ludzie, pomyślałam, nie mówcie, że będę musiała torować sobie w ten sposób drogę przez całą tę pienińską rudę! Zaczekaj chwilę, głupia. W biurze jest przecież okno. Wzięłam głębszy oddech. Nie byłam w szczytowej formie, jeśli chodzi o możliwości intelektualne. Zanadto uległam panice. Rzuciłam się do okna, ale ani drgnęło. Zbyt długo było zamknięte. Zamek został zamalowany farbą. W pokoju nie było żadnych mebli. Zdjęłam kurtkę, owinęłam nią rękę, zacisnęłam ją w pięść i wybiłam szybę. Wyjęłam tyle szkła, ile się dało, i wyrzesałam na zewnątrz. Cóż, dość wysoko, ale chyba byłam w stanie to zrobić. Zdjęłam but i wytłukłam kawałki szkła, które jeszcze zostały w oknie, żeby nie zranić się bardziej niż to konieczne. Włożyłam but z powrotem i zahaczyłam nogę o ramę okna.

Okno wychodziło na front budynku. Proszę cię. Boże, nie pozwól Habibowi i Mitchellowi przejeżdżać obok, kiedy będę przez nie wyskakiwać. Powoli wyszłam przez okno, tyłem do ulicy, żeby móc zawisnąć na rękach, a stopami zaprzeć się o mur. Kiedy całkiem się wyprostowałam, skoczyłam, lądując najpierw na nogach, a potem na tyłku. Leżałam tak przez chwilę ogłuszona, rozciągnięta jak długa na chodniku, a deszcz spływał mi po twarzy.

Wciągnęłam haust powietrza, wstałam i zaczęłam biec. Przecięłam ulicę, popędziłam aleją i przebiegłam kolejną ulicę. Nie miałam pojęcia, dokąd tak biegnę. Po prostu zwiększałam odległość między sobą a tamtym budynkiem. To było najważniejsze.

## Rozdział 14

Zatrzymałam się, żeby złapać oddech, pochyliłam się do przodu, z oczami zaciśniętymi od bólu w płucach. Dżinsy miałam podarte na kolanach, a kolana pokaleczone szkłem. Obie dłonie pocięte. Uciekając w pośpiechu, zgubiłam kurtkę. Była owinięta wokół mojej ręki i porzuciłam ją gdzieś po drodze. Miałam na sobie podkoszulek i flanelową koszulę i byłam przemoczona do suchej nitki. Szczękałam zębami z zimna i ze strachu. Oparłam się o ścianę jakiegoś budynku i słuchałam przytłumionych deszczem odgłosów samochodów, które dochodziły z Broad.

Nie chciałam iść na Broad. Za bardzo rzucałabym się tam w oczy. Nie znałam zbyt dobrze tej części miasta, ale musiałam wejść do któregoś z domów, żeby sprowadzić pomoc. Po drugiej stronie ulicy był całodobowy sklep przy stacji benzynowej, ale za bardzo na widoku. Czuję się skrępowana. Stałam obok budynku, który wyglądał na biurowiec. Wślizgnęłam się przez frontowe drzwi do małego holu. Po lewej stronie była winda. Tuż obok zobaczyłam metalowe drzwi, prowadzące do schodów ewakuacyjnych. Na ścianie wisiała tablica z nazwami firm, które mieściły się w budynku. Pięć pięter firm. Nie kojarzyłam żadnej nazwy. Weszłam na pierwsze piętro i wybrałam pierwsze z brzegu drzwi. Kiedy je otworzyłam, zobaczyłam pokój pełen metalowych półek, załadowanych komputerami, drukarkami i podobnym sprzętem. Przy biurku tuż koło drzwi pracował koleś w podkoszulku i z barankiem na głowie. Kiedy zajrzałam do środka, podniósł na mnie wzrok.

- Czym się tu zajmujecie? - zapytałam.

- Naprawiamy komputery.

- Czy mogłabym skorzystać z telefonu? Rozmowa lokalna. Przewróciłam się na rowerze i muszę zadzwonić, żeby ktoś mnie stąd zabrał. - Opowiadanie o facetach, którzy chcieli mnie okaleczyć, uznałam za zbyt cenne.

Popatrzył na mnie.

- Jest pani pewna, że tak było?

- Tak. Jestem pewna. - Kiedy masz wątpliwości, zawsze kłam.

Wskazał na telefon, który stał na drugim końcu biurka.

- Proszę bardzo.

Nie mogłam zadzwonić do rodziców. Nie było sensu wszystkiego im tłumaczyć. Nie mogłam też dzwonić do Joego, ponieważ nie chciałam, żeby się dowiedział, jaka jestem głupia. Ranger również nie wchodził w rachubę, boby mnie zamknął, chociaż było to kusząca perspektywa. Zostawała Lula.

- Dzięki - powiedziałam do gościa, odkładając słuchawkę, kiedy już podałam Luli adres. - Jestem bardzo zobowiązana.

Wyglądał na nieco przerażonego moim wyglądem, więc wyszłam stamtąd, żeby poczekać na Lulę na dole. Pięć minut później Lula podjechała swoim firebirdem. Kiedy wsiadłam, zamknęła drzwi od środka, wyjęła z torebki rewolwer i położyła go na desce rozdzielczej.

- Dobrze, że do ciebie zadzwoniłam.

- Dokąd jedziemy?

Nie mogłam wrócić do domu. Habib i Mitchell w końcu by tam dotarli. Mogłabym zatrzymać się u moich rodziców albo u Joego, ale najpierw musiałam się umyć. Lula na pewno zgodziłaby się, żebym zamieszkała u niej, miała jednak za ciasne mieszkanie, a ja nie chciałam, żeby wybuchła trzecia wojna światowa z powodu tego, że deptemy sobie po piętach.

- Zawieź mnie do domu Dougiego - zdecydowałam.

- Nie wiem, kto cię tak urządził, ale zdaje się, że mózg też ci uszkodzili.

Wszystko jej wyjaśniłam.

- Nikomu nie przyjdzie na myśl, żeby szukać mnie właśnie tam - powiedziałam. - Poza tym on ma ubrania z czasów, kiedy jeszcze był Dilerem. I pewnie także jakiś samochód, który mogłabym pożyczyć.

- Powinnaś zadzwonić do Rangera albo do Joego - świadczyła Lula.

- Każdy z nich jest lepszy niż Dougie. Z nimi będziesz bezpieczna.

- Nie mogę tego zrobić. Muszę dzisiaj przekazać Rangera Joyce.

- Co takiego?

- Dzisiaj wieczór oddam Rangera w ręce Joyce. - zadzwoniłam do biura Joego z telefonu samochodowego. - Muszę cię prosić o ogromną przysługę - powiedziałam Morellemu. - Boję się, że ktoś może włamać się do mojego mieszkania, a ja nie mogę teraz tam pojechać. Chciałabym, żebyś zabrał do siebie Reksa.



- Znowu?

Zapadła ciężka cisza.

- Czy to pilne?

- Niecierpiące zwłoki.

- Nienawidzę tego - rzekł Morelli.

- Jak już tam będziesz, sprawdź przy okazji, czy moja broń jest jeszcze w misce na herbatniki. I może znajdziesz moją torebkę.

- Co się stało?

- Arturo Stolle myśli, że dorwie Rangera, biorąc mnie jako zakładniczkę.

- Dobrze się czujesz?

- Cudownie. Tyle że wyszłam z mieszkania w pośpiechu.

- Pewnie nie chcesz, żebym cię skądś odebrał?

- Nie. Chodzi tylko o Reksa. Jestem z Lulą.

- To napędza mnie ufnością.

- Spróbuję skontaktować się z tobą później.

- Postaraj się koniecznie.

Lula zatrzymała się przed domem Dougiego. Dwa frontowe okna były zabite deskami. Okna na pierwszym piętrze były zasłonięte żaluzjami, ale prześwitywało przez nie światło. Lula wręczyła mi swojego glocka.

- Weź to. Magazynek jest pełny. I dzwoń, jakbyś czegoś potrzebowała.

- Nic mi nie będzie - zapewniłam.

- Jasne. Wiem o tym. Poczekam tutaj, aż wejdiesz do środka i dasz mi znak, że mogę odjechać.

Przebiegłam niewielką odległość, która dzieliła mnie od drzwi wejściowych. Sama nie wiem dlaczego. Przecież już bardziej zmoknąć nie mogłam. Zapukałam do drzwi, ale nikt nie otwierał. Pomyślałam sobie, że Dougie ukrył się w obawie, że jakiś gwiazdny wojownik wróci, żeby z nim pogadać.

- Cześć, Dougie! - zawołałam. - To ja, Stephanie. Otwórz drzwi!

Poskutkowało. Zobaczyłam cień za oknem i Dougie wyjrzał. Potem drzwi wejściowe otworzyły się.

- Ktoś u ciebie jest? - zapytałam.

- Tylko Księżyc.

Wetknęłam glocka za pasek od dzinsów i pomachałam do Luli.

- Zamknij drzwi na zamek - powiedziałam Dougiemu, wchodząc do pokoju.

Wyprzedził moje myśli. Nie tylko już zamknął drzwi, ale właśnie przysuwał do nich lodówkę.

- Myślisz, że to konieczne? - zapytałam.

- Pewnie trochę przesadzam - mruknął. - Właściwie dzisiaj jest spokojnie. Wszystko przez to, że jeszcze jestem przerażony całą tą rozróbą.

- Wygląda na to, że wybili ci okna.

- Tylko jedno. Drugie wybili strażacy, kiedy wyrzucali kanapę na chodnik.

Popatrzyłam na kanapę. Połowa była zwęglona. Księżyc usiadł na ocalałej części.

- Cześć, facetka. Przyszedł w samą porę - oznajmił. Właśnie podgrzewaliśmy paszteciki krabowe. Zaraz będziemy oglądać *Sen o Jeannie*, powtórkę o Nicku i Nite. Ona tak przeraźliwie patrzy tymi gałami.

- Właśnie - powiedział Dougie. - Zostało jeszcze dużo pasztecików krabowych. Trzeba je zjeść, bo mają datę ważności do piątku.

Zdziwiło mnie, że żaden z nich nie skomentował tego, że jestem całkiem przemoczona, krwawię i weszłam z glockiem w rękę. Ale niewykluczone, że tak wyglądali ich typowi goście.

- Może masz jakieś suche ubrania? - zapytałam Dougiego. - Pozbyłeś się już tych wszystkich dzinsów?

- W sypialni na piętrze leży cała sterta. Przeważnie małe rozmiary, więc może coś ci przypasuje. Koszule też tam są. Możesz brać, co chcesz.

W łazience znalazłam apteczkę, w której było kilka plastrów. Umyłam się i przymierzałam ubrania, dopóki nie znalazłam swojego rozmiaru.

Było wczesne popołudnie, a ja nie jadłam obiadu, więc pochłonęłam trochę pasztecików krabowych. Potem poszłam do kuchni i zadzwoniłam na komórkę do Morellego.

- Gdzie jesteś? - zapytał.

- Dlaczego pytasz?

- Chcę wiedzieć, dlatego.

Coś było nie tak. Boże, tylko nie Rex.

- Co się stało? Czy chodzi o Rekxa? Czy z nim wszystko w porządku?

- Rex ma się dobrze. Jest w wozie policyjnym Costanzy. Jadą do mnie do domu. Jestem jeszcze u ciebie. Kiedy przyszedłem, drzwi były otwarte. Ktoś przetrząsnął całe mieszkanie. Nie sądzę, żeby były jakieś szkody, ale zrobili tu niezły bałagan. Wytrzepali całą zawartość twojej torebki na podłogę. Widzę tutaj twój portfel, straszak i sprej. Broń nadal jest w misce na ciasteczka. Wygląda na to, że kolesie byli szurnięci. Przekopali całe mieszkanie i nawet nie zauważyli klatki Rekxa.

Położyłam rękę na sercu. Rex był cały. Reszta mnie nie obchodziła.

- Zaraz stąd wychodzę - powiedział. - Powiedz mi, gdzie jesteś.

- U Dougiego.

- Dougiego Krupera?

- Oglądamy właśnie *Sen o Jeannie*.

- Zaraz tam będę.

- Nie! Jestem tutaj całkowicie bezpieczna. Nikt nie wpadnie na pomysł, żeby mnie tu szukać. Poza tym pomagam Dougiemu w sprzątanii. Wczoraj w nocy przeze mnie i Lulę rozpętała się tutaj bitwa, i czuję się za to odpowiedzialna i dlatego muszę pomóc w porządkach. - Kłamczucha, kłamczucha, aż się z uszu dymi.

- To brzmi rozsądnie, ale nie wierzę w ani jedno twoje słowo.

- Posłuchaj, ja się nie wtrącam do twojej pracy, więc ty nie możesz wtrącać się do mojej.

- Tak, ale ja wiem, co robię.

Punkt dla niego.

- Do zobaczenia wieczorem.

- Cholera - zaklął Morelli. - Chyba muszę się napić.

- Sprawdź szafę w sypialni. Może babcia zostawiła jakąś butelkę.

Oglądałam *Sen o Jeannie* z Dougiem i Księżycem przez jakieś trzy godziny. Zjadłam jeszcze trochę pasztecików krabowych. A potem zadzwoniłam do Rangera. Nie odbierał telefonu, więc spróbowałam na pager. Oddzwonił dziesięć minut później.

- Chcę się pozbyć tych kajdanek - zakomunikowałam mu.

- Możesz pójść do ślusarza.
- Mam kłopoty ze Stolle'em.
- I?...
- I muszę z tobą pogadać.
- I?...

- Będę na parkingu za biurem o dziewiątej wieczór. Przyjadę pożyczonym samochodem. Jeszcze nie wiem jakim.

Ranger rozłączył się. Pewnie znaczyło to, że przyjdzie.

No to powstał problem. Nie miałam nic oprócz glocka. A Ranger nie przestraszy się glocka. Wie, że nie strzeliłabym do niego.

- Potrzebuję paru rzeczy - zwróciłam się do Dougiego. - Kajdanki, straszak i sprej.

- Nie mam tutaj nic takiego - powiedział Dougie. - ale mógłbym do kogoś zadzwonić. Znam takiego kolesia.

Pół godziny później usłyszeliśmy pukanie do drzwi i wszyscy odsunęliśmy lodówkę. Kiedy drzwi się otworzyły, zagryzłam wargę.

- Lenny Gruber - powiedziałam. - Nie widziałam cię, odkąd odzyskałeś moją mazdę.

- Byłem zajęty.

- Wiem. Tyle paskudnych spraw do załatwienia i tak mało czasu.

- Facet! - powiedział Księżyc. - Wchodź! Poczęstuj się pasztecikami z krabów.

Chodziłam z Gruberem do szkoły. To był jeden z tych gości, którzy puszczali bąki w klasie, a potem krzyczeli: „Hej, tu cuchnie! Kto puścił bąka?!”. Brakowało mu jednego zęba, a spodnie miał zawsze niedopięte.

Gruber poczęstował się pasztecikiem i postawił na niskim stoliku aluminiową walizkę. Kiedy ją otworzył, zobaczyliśmy cały skład pałek, paralizatorów, sprejów, kajdanek, noży, ładunków wybuchowych i kastetów. Było też pudełko prezerwatyw i wibrator. Pewnie Gruber robi niezłe interesy jako sutener.

Wyciągnęłam kajdanki, paralizator i mały sprej.

- De? - zapytałam.

Gapił się na mój biust.

- Dla ciebie po cenach promocyjnych.

- Nie traktuj mnie ulgowo - powiedziałam. Podał mi rozsądną cenę.

- Stoi - oświadczyłam. - Ale będziesz musiał poczekać na pieniądze. Nie mam przy sobie ani grosza.

Wyszczrzył zęby i ukazała się czarna czeluść dziury.

- Moglibyśmy to jakoś załatwić.

- Niczego nie będziemy załatwiać. Jutro dam ci pieniądze.

- Jeśli do jutra nie dostanę pieniędzy, będę musiał podnieść cenę.

- Posłuchaj, Gruber. Miałam bardzo ciężki dzień. Nie naciskaj mnie. Jestem kobietą, która stoi na krawędzi. Nacisnęłam przycisk „włącz” w paralizatorze.

- Czy to w ogóle działa? Może powinnam to na kimś wypróbować.

- Kobiety - powiedział Gruber do Księżycyca. - Z nimi źle. Bez nich też niedobrze.

- Mógłbyś się przesunąć trochę w lewo? - zapytał Księżyc. - Zasłaniasz mi telewizor, facet, a Jeannie zaraz będzie podrywać majora Nelsona.

Pożyczyłam od Dougiego dwuletniego jeepa cherokee. Był to jeden z czterech samochodów, których nie udało mu się sprzedać, ponieważ ich karty rejestracyjne i faktury sprzedaży były podrobione. Oprócz dżinsów i podkoszulka w swoim rozmiarze, które znalazłam, pożyczyłam też ocieplaną kurtkę dżinsową i czyste skarpetki od Księżycyca. Ponieważ Dougie i Księżyc nie mieli ani pralki, ani suszarki, a żaden z nich nie był transwestytą, zabrakło mi jedynie bielizny. Przypięłam kajdanki do paska od dżinsów. Resztę sprzętu wrzuciłam do kieszeni kurtki.

Pojechałam na parking koło biura Vinniego i zatrzymałam się. Deszcz przestał padać, a w powietrzu czuło się wiosnę. Gwiazdy i księżyc były zasłonięte chmurami i panowała ciemność jak w piekle. Na tyłach biura były miejsca parkingowe dla czterech samochodów. Na razie nie było tam nikogo oprócz mnie. Przyjechałam wcześniej. Ale Ranger zapewne zrobił to jeszcze wcześniej. Na pewno widział, jak przyjechałam, i obserwował mnie, żeby mieć pewność, że nic mu nie grozi. Zwykła ostrożność operacyjna.

Obserwowałam ulicę, która prowadziła na parking, kiedy Ranger lekko zapukał w moją szybę.

- Cholera! - zakląłam. - Napędziłeś mi niezłego stracha. Nie można tak zniecka napadać na ludzi.

- Musisz mieć oczy dookoła głowy. - Otworzył drzwi. - Zdejmuj kurtkę.

- Przeziębnię się.

- Zdejmij ją i oddaj.

- Nie ufasz mi.

Uśmiechnął się. Zdjęłam kurtkę i podałam mu ją.

- Masz tu kupę żelastwa - rzekł.

- Norma.

- Wsiadaj z samochodu.

Nie spodziewałam się takiego obrotu sprawy. Nie sądziłam, że tak szybko stracę kurtkę.

- Wolałabym, żebyś ty wsiadł. Tutaj jest cieplej.

- Wsiadaj.

Westchnęłam głęboko i wysiadłam. Pomacał mi plecy, wsunął rękę za pasek od dżinsów i wyciągnął kajdanki.

- Wejźmy do środka - powiedział. - Tam będzie bezpieczniej.

- Zapytam z niezdrowej ciekawości, czy wiesz, jak obejść alarm, czy znasz kod?

Otworzył tylne drzwi.

- Znam kod.

Przeszliśmy przez niewielki przedsionek do tylnego pomieszczenia, w którym przechowywano broń i materiały biurowe. Ranger otworzył drzwi od frontowego pokoju i do środka wpadło światło okolicznych latarni. Stojąc między dwoma pokojami, miał oko na obie pary drzwi.

Położył kurtkę i kajdanki na szafie z dokumentami, poza moim zasięgiem, i spojrzał na odpiłowaną bransoletkę od kajdanek na moim nadgarstku.

- To jakiś nowy patent.

- Wkurzający.

Wyjął z kieszeni klucz, otworzył kajdanki i rzucił je na kurtkę. Potem chwycił mnie za ręce i podniósł je do góry.

- Nosisz cudze ubranie i cudzą broń, masz pocięte ręce i jesteś bez bielizny. Co jest grane?

Popatrzyłam w dół, na zarys swoich piersi i sterczące sutki, które usiłowały przebić podkoszulek.

- Czasami chodzę bez bielizny.

- Nigdy nie chodzisz bez bielizny.

- Skąd wiesz?

- Dar jasnowidzenia.

Miał na sobie swój typowy ubiór roboczy - czarne spodnie, wsunięte do czarnych butów, czarny podkoszulek i czarną wiatrówkę. Zdjął wiatrówkę i owinął mnie w nią. Była gorąca od jego ciała i miała zniewalający zapach oceanu.

- Spędzasz dużo czasu w Deal? - zapytałam.

- Powinienem tam teraz być.

- Czy któryś z twoich ludzi obserwuje Ramosa?

- Czołg.

Nadal trzymał wiatrówkę w dłoniach, a jego palce muskały moje piersi. Był to bardziej akt intymnego posiadania niż seksualnej agresji.

- Jak chcesz to zrobić? - zapytał miękkim głosem.

- Co zrobić?

- Schwytać mnie. Czy nie o to chodziło?

Taki był pierwotny plan, ale Ranger zabrał mi wszystkie zabawki. Zrobiło mi się gorąco i pomyślałam, że jeśli Carol skoczy z mostu, to nie będzie moja wina. Położyłam dłonie na jego brzuchu, a on uważnie mnie obserwował. Domyślałam się, że czeka, aż odpowiem na jego pytanie, ale ja miałam bardziej palący problem. Nie wiedziałam, od czego zacząć. Przesunąć ręce do góry? Czy może w dół? Wolałabym w dół, ale to mogłoby być zbyt śmiało. Nie chciałam, żeby uznał mnie za łatwy towar.

- Stephanie?

- Mhm?

Nadal trzymałam ręce na jego brzuchu i poczułam, że Ranger trzęsie się ze śmiechu.

- Chyba coś się pali, kochanie. Zdaje się, że twoje szare komórki pracują.

Wyczułam pod palcami, że to nie mój mózg płonie. Pokręcił głową.

- Nie prowokuj mnie. To nie jest odpowiednia chwila. - Zdjął moje dłonie ze swego brzucha i znowu popatrzył na moje obrażenia. - Jak to się stało?

Opowiedziałam mu o Habibie, Mitchellu i ucieczce z fabryki.

- Arturo Stolle i Homer Ramos są siebie warci - rzekł.

- Skąd miałam o tym wiedzieć? Nikt mi o niczym nie mówi!

- Od lat w światku przestępczym Stolle zajmuje się działalnością nielegalnej adopcji i imigracji. Wykorzystuje swoje kontakty w Azji Południowo-wschodniej, żeby sprowadzać do kraju młode dziewczyny, które pracują potem jako prostytutki, i małe dzieci, które sprzedaje za duże pieniądze do adopcji. Jakies pół roku temu Stolle wpadł na pomysł, że mógłby przemycać przy pomocy tych dziewczyn narkotyki. Problem polega na tym, że narkotyki nie są jego działalnością. Więc podczepił się pod Homera Ramosa, który jest szeroko znany jako głupi fagas, zawsze łasy na pieniądze, i postarał się, żeby Ramos występował jako pośrednik między nim a jego kontrahentami. Stolle wykombinował, że inne grupy mafijne będą się trzymać z daleka od syna Alexandra Ramosa.

- A jaka jest twoja rola w tym wszystkim?

- Arbitra. Byłem łącznikiem między grupami mafijnymi. Wszyscy, łącznie z agentami federalnymi, chcieliby uniknąć wojny gangów.

Zadzwoił pager i Ranger popatrzył na wyświetlacz.

- Muszę wracać do Deal. Masz jeszcze jakąś ukrytą broń w swoim arsenale? Chcesz podjąć ostatnią próbę ujęcia?

A niech to. Był z siebie zadowolony!

- Nienawidzę cię - powiedziałam.

- Nieprawda - odparł Ranger, całując mnie delikatnie w usta.

- Dlaczego zgodziłeś się ze mną spotkać?

Nasze spojrzenia skrzyżowały się. A potem zakuł mnie w kajdanki. Z obiema rękami na plecach.

- Psiakrew! - krzyknęłam.

- Przepraszam, ale niezła z ciebie cholera. A ja nie mogę pracować, kiedy się o ciebie martwię. Powierzę cię Czołgowi. Zabierze cię w bezpieczne miejsce i będzie się tobą opiekował, dopóki sprawy się nie rozwiążą.

- Nie możesz mi tego zrobić! Carol znowu pójdzie na most.

Ranger skrzywił się.

- Carol?

Opowiedziałam mu o Carol i Joyce, i o tym, jak Carol nie chciała dać się złapać, i że tym razem to wszystko była moja wina.

Ranger uderzył czołem w szafę.



- Dlaczego ja? - zajączkał.

- Nie pozwoliłabym, żeby Joyce cię trzymała - powiedziałam mu. - Miałam zamiar oddać cię w jej ręce, a potem wymyślić coś, żeby cię odbić.

- Wiem, że będę tego żałował, ale puszczę cię wolno, żeby, broń Boże, Carol nie skoczyła z mostu. Masz czas do jutra do dziewiątej rano, żeby dogadać się z Joyce, a potem przyjdę po ciebie. Obiecuj, że nie zbliżysz się do Artura Stolle'a ani do nikogo, kto nosi nazwisko Ramos.

- Obiecuję.

Przejechałam przez miasto do domu Luli. Mieszkała na drugim piętrze, od frontu, i w oknach jeszcze się świeciło. Nie miałam przy sobie telefonu, więc podeszłam do drzwi i nacisnęłam dzwonek. Jedno z okien otworzyło się i wyjrzała z niego Lula.

- Czego?

- To ja, Stephanie.

Rzuciła mi klucze i weszłam do środka.

Lula stała na schodach.

- Chcesz przenocować?

- Nie. Potrzebuję pomocy. Wiesz, w jaki sposób chciałam schwytać Rangera i przekazać go Joyce? Niezbyt mi to wyszło.

Lula wybuchnęła śmiechem.

- Dziewczyno, Ranger to skurczybyk. Nikt mu nie dorówna. Nawet ty. - Włożyła podkoszulek i dżinsy. - Nie chcę być wścibska, ale nie miałaś na sobie stanika już na początku wieczoru, czy to jakaś świeża sprawa?

- Nie miałam, bo Dougie i Księżyc nie noszą takich fatalasek.

- To kiepsko - skwitowała Lula.

W mieszkaniu były dwa pokoje. Sypialnia z przylegającą łazienką i drugi pokój, który służył jako pokój gościnny i jadalnia i miał jeszcze aneks kuchenny. Na granicy kącika kuchennego Lula postawiła stół i dwa krzesła. Usiadłam na jednym z nich i wzięłam od niej piwo.

- Chcesz kanapkę? - zapytała. - Mam mortadelę.

- Kanapka byłaby niezła. Dougie miał tylko paszteciki z krabów. - Wypiłam duży łyk piwa. - Na tym właśnie polega problem: co zrobimy z Joyce? Czuję się odpowiedzialna za Carol.

- Nie możesz być odpowiedzialna za czyjąś mylną interpretację - orzekła Lula. - Przecież nie kazałaś jej przywiązywać Joyce do tego drzewa.

Prawda.

- Z drugiej strony - powiedziała - byłoby dobrze zrobić ją w konia jeszcze raz.

- Masz jakiś pomysł?

- Czy Joyce dobrze zna Rangera?

- Widziała go kilka razy.

- Przypuśćmy, że wciśniemy jej kogoś podobnego do niego, a potem odbijemy tego sobowtóra. Co ty na to? Znam takiego kolesia, Morgana, który by się nadał. Identyczna ciemna karnacja. Podobna budowa ciała. Może nie jest taki postawny jak Ranger, ale niewiele mu brakuje. Zwłaszcza jeżeli byłoby całkiem ciemno i w ogóle by się nie odzywał. Ma ksywę Koń ze względu na okazałość intymnych części ciała.

- Chyba musiałabym wypić jeszcze parę piw, żeby uwierzyć, że to się może udać.

Lula spojrzała na puste butelki po piwie, które stały na ladzie kuchennej.

- Akurat w tym mam nad tobą przewagę. I wierzę, że ten plan się uda. - Wyjęła wyświechtany notes z adresami i zaczęła go wertować. - Znam go z mojej dawnej pracy.

- Klient?

- Sutener. Kawał drania, ale jest mi winien przysługę. I prawdopodobnie poradzi sobie z udawaniem Rangera. Może nawet ma w szafie podobne ubrania.

Pięć minut później Morgan oddzwonił, a Lula i ja miałyśmy fałszywego Rangera.

- Plan jest taki - powiedziała Lula. - Zgarniamy tego kolesia z rogu Stark i Belmont za pół godziny. Ma jeszcze coś do załatwienia dziś w nocy, więc musimy się pośpieszyć.

Zadzwoiłam do Joyce i powiedziałam, że dostarczę jej Rangera i że spotkamy się na parkingu za biurem. Było to najciemniejsze miejsce, jakie znałam.

Dokończyłam kanapkę i dopiłam piwo, a potem załadowałyśmy się z Lula do cherokee. Kiedy przyjechałyśmy na róg Stark i Belmont, musiałam przetrzeć oczy, żeby upewnić się, że mężczyzna, którego zobaczyłam, naprawdę nie jest Rangerem.

Różnice stały się widoczne, kiedy Morgan podszedł bliżej. Karnację miał taką samą, ale bardziej pospolite rysy twarzy. Więcej zmarszczek wokół oczu i ust, za to mniej inteligentny wyraz twarzy.

- Lepiej, żeby Joyce zanadto mu się nie przyglądała - powiedziałam do Luli.

- Mówiłam, żebyś wypila jeszcze jedno piwo - skwitowała Lula. - Wszystko jedno, przecież za biurem jest naprawdę ciemno, a jeśli wszystko pójdzie dobrze, Joyce będzie ugotowana, zanim się w czymkolwiek zorientuje.

Zakułyśmy Morgana w kajdanki z przodu, co jest na ogół bezmyślnym posunięciem, ale Joyce nie była aż tak wytrawną łowczynią nagród, żeby to zauważyć. Potem dałyśmy mu kluczyk od kajdanek. Umowa była taka, że kiedy przyjedziemy na parking, facet weźmie ten kluczyk do ust. Nie będzie chciał rozmawiać z Joyce, udając, że jest wściekły. Postaramy się, żeby złapała gumę, a kiedy wysiadzie, aby zobaczyć, co się stało, Morgan otworzy sobie kajdanki i zniknie w ciemnościach nocy.

Przyjechałyśmy na miejsce wcześniej, żebyśmy zdążyła wysadzić Lulę. Ustaliliśmy, że Lula schowa się za małym śmietnikiem na tyłach biura, a kiedy Joyce będzie zajęta aresztowaniem Rangera, ona wbije gwóźdź w oponę jej samochodu. Zaparkowałam tak, żeby Joyce musiała postawić samochód obok śmietnika. Lula wyskoczyła z auta i ukryła się, a ja prawie w tym samym momencie zobaczyłam światła na rogu.

Joyce wjechała swoim suvem, zaparkowała obok mojego wozu i wysiadła. Ja zrobiłam to samo. Morgan siedział osunięty na tylnym siedzeniu, ze zwieszoną głową.

Joyce zajrzała do środka.- Nie widzę go. Włącz światła.

- Nie ma mowy - powiedziałam. - Gdybyś była sprytna, to wyłączyłabyś też swoje. Mnóstwo ludzi go szuka.

- Dlaczego on tak siedzi bez ruchu?

- Jest naćpany.

Joyce pokiwała głową.

- Zastanawiałam się, jak to załatwisz.

Narobiłam dużo ruchu i hałasu wokół wyciągania Morgana z tylnego siedzenia. Runął na mnie, osunął się na ziemię, a potem we dwie zaciągnęłyśmy go do samochodu Joyce i wpakowałyśmy do środka.

- Jeszcze jedno - powiedziałam, wręczając jej oświadczenie, które przygotowałam u Luli. - Musisz to podpisać.

- Co to jest?

- Dokument poświadczający fakt, że z własnej woli pojechałaś z Carol na cmentarz dla zwierząt i poprosiłaś ją, żeby przywiązała cię do drzewa.

- Zwariowałaś? Nie podpiszę tego.

- To ja zabiorę Rangera z twojego samochodu.

Joyce spojrzała na swój wóz i cenny ładunek.

- A niech to - powiedziała, wzięła długopis i podpisała się. - W końcu mam to, o co mi chodziło.

- Pojedziesz pierwsza - poleciłam jej, wyciągając z kieszeni glocka.

- Upewnię się, że bezpiecznie stąd odjechałaś.

- Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłaś - odezwała się. - nie sądziłam, że jesteś taką małą chytrą szujką. Kochanie, nie wiesz nawet połowy.

- Zrobiłam to dla Carol - wyjaśniłam.

Stałam z glockiem w ręce i obserwowałam, jak Joyce odjeżdża. Gdy tylko znalazła się na ulicy, Lula wskoczyła do auta i odjechałyśmy.

- Daję jej najwyżej czterysta metrów - powiedziała Lula. - Jestem mistrzynią we wbijaniu gwoździ.

Miałam Joyce na oku. Ulica była pusta, a ona wyprzedzała nas o długość jednego bloku. Tylnie światła zamigotały i samochód zwolnił.

- Dobrze, dobrze - powiedziała Lula. Joyce przejechała koło następnego domu ze zmniejszoną prędkością.

- Pojechałaby nawet z tym kołem - zauważyła Lula. - ale obawia się o swój wspaniały nowy wóz.

Światła stopu znowu się zaświeciły i samochód podjechał do krawężnika. Stałyśmy kilkaset metrów za Joyce z wyłączonymi światłami i auto wyglądało na zaparkowane. Joyce wysiadła i przeszła

na tył samochodu, kiedy nagle przemknął obok nas van i z piskiem opon zahamował obok niej. Wskoczyło z niego dwóch mężczyzn z bronią w rękę. Jeden wziął na muszkę Joyce, a drugi wyciągnął Morgana w momencie, kiedy ten wysiadał.

- Co, do cholery? - powiedziała Lula. - Co, u diabła?

To byli Habib i Mitchell. Myśleli, że dorwali Rangera. Wrzucili Morgana do vana mamuśki i samochód odpalił z prędkością światła.

Kompletnie nas obie zatkało i nie wiedziałyśmy, co robić.

Joyce wrzeszczała i wymachiwała rękami. W końcu kopnęła dziurawą oponę, wsiadła do wozu i, jak przypuszczam, dokąś zadzwoniła.

- Szło całkiem nieźle - odezwała się w końcu Lula. Wycofałam na zgaszonych światłach, skręciłam w boczną ulicę i odjechałyśmy.

- Jak myślisz, gdzie mogli nas namierzyć?

- Pewnie u mnie w domu - powiedziała Lula. - Nie chcieli robić żadnych ruchów, bo byłyśmy we dwie. A potem mieli szczęście, bo Joyce złapała gumę.

- Nie będą tacy uszczęśliwieni, jak się zorientują, że złapali Morgana zwanego Koniem.

Kiedy wróciłam, Dougie i Księżyc grali w monopol.

- Myślałam, że pracujesz w tym sklepie - zwróciłam się do Księżyca. - Dlaczego ty nigdy nie pracujesz?

- Miałem pecha i mnie wylali, facetka. Mówię ci, to jest wspaniały kraj. W jakim innym kraju płaciliby facetowi za to, że nic nie robi?

Poszłam do kuchni i zadzwoniłam do Morellego.

- Jestem w domu Księżyca - poinformowałam go. - Znowu miałam pokręconą noc.

- Tak, w dodatku jeszcze się nie skończyła. Twoja matka dzwoniła do mnie cztery razy w ciągu ostatniej godziny. Lepiej zadzwoń do domu.

- Co się stało?

- Babcia wyszła na randkę i jeszcze nie wróciła, a twoja mama odchodzi od zmysłów.

## Rozdział 15

Mama odebrała telefon od razu po pierwszym sygnale.

- Jest północ - powiedziała. - A babci nie ma w domu. Umówiła się z tym człowiekiem-żółwiem.

- Z Myronem Landowskim?

- Mieli iść na kolację. To było o piątej. Gdzie oni są? Telefonowałam do niego, ale nikt nie odpowiada. Obdzwoniłam już wszystkie szpitale...

- Mamo, oni są dorośli. Mogą teraz robić mnóstwo rzeczy. Kiedy babcia mieszkała ze mną, nigdy nie wiedziałam, gdzie jest.

- Strasznie się rozbestwiła! - oświadczyła mama. - wiesz, co znalazłam w jej pokoju? Prezerwatywy! Po co jej prezerwatywy?

- Może robi z nich dmuchane zwierzątka.

- Matki innych kobiet chorują, idą do domu opieki albo umierają we własnym łóżku. Ale nie moja. Moja matka nosi ubrania ze spandeksu. Czym sobie na to zasłużyłam?

- Powinnaś się położyć spać i przestać się zamartwiać babcią.

- Nie pójdę spać, dopóki ta kobieta nie wróci do domu. Muszę z nią porozmawiać. Twój ojciec też nie śpi.

Wspaniale. Będzie wielka awantura, a potem babcia znowu wprowadzi się do mnie.

- Powiedz tacie, żeby kładł się spać. Przyjadę i posiedzę z tobą. - Zrobię wszystko, byleby babcia się do mnie nie wprowadziła.

Zadzwoiłam do Joego i powiedziałam mu, że może wstąpię później, ale żeby na mnie nie czekał. Potem znowu pożyczylam cherokee i pojechałam do rodziców.

Kiedy babcia wróciła o drugiej w nocy, obie z mamą spałyśmy na kanapie.

- Gdzie byłaś? - wrzasnęła na nią mama. - Zamartwiałyśmy się o ciebie.

- Miałam grzeszną noc - wyjaśniła babcia. - Ludzie, ten Myron całkiem niezłe całuje. Myślę, że mógł nawet mieć erekcję, ale trudno było się zorientować, ponieważ on tak podciąga te spodnie.

Mama przeżegnała się i zajrzała do mojej torebki w poszukiwaniu proszków uspokajających.

- Muszę iść spać - oznajmiła babcia. - Jestem wykończona. A jutro znowu mam egzamin na prawo jazdy.

Kiedy się obudziłam, leżałam na kanapie, przykryta kołdrą. W całym domu unosił się zapach kawy i smażonego bekonu, a mama tłukła się po kuchni.

- Dobrze, że przynajmniej nie prasujesz - powiedziałam. Kiedy mama brała się do prasowania, wiedzieliśmy, że zanoszą się na poważne kłopoty.

Przykryła garnek z zupą i popatrzyła na mnie.

- Gdzie się podziała twoja bielizna?

- Złapał mnie deszcz i pożyczyłam suche ubranie od Dougiego Krupera, ale nie miał w domu damskiej bielizny. Poszłabym do domu, żeby się przebrać, ale pewnych dwóch gości chce obciąć mi palec i obawiałam się, że będą tam na mnie czekać.

- Dzięki Bogu - odetchnęła mama. - Bałam się, że zostawiłaś stanik w samochodzie Morellego.

- Nie robimy tego w jego samochodzie. Robimy to w jego łóżku.

Mama trzymała w ręce wielki nóż do mięsa.

- Chyba się zabiję.

- Nie nabierzesz mnie - powiedziałam, nalewając sobie kawy. - Nigdy nie zabiłabyś się w trakcie gotowania zupy.

Do kuchni wtargnęła babcia. Miała pełny makijaż i różowe włosy.

- O nie - powiedziała mama. - I co jeszcze?

- Co sądzisz o tym kolorze włosów? - zwróciła się do mnie babcia. - Kupiłam sobie szampon koloryzujący w perfumerii. Wystarczy go wetrzeć we włosy.

- To jest róż - powiedziałam.

- Tak, też tak myślę. Na opakowaniu było napisane, że to ma być ognista czerwień. Spojrzała na zegar ścienny. - Muszę się pośpieszyć. Louise będzie tu lada moment. Chyba się nie gniewasz, że poprosiłam Louise. Nie miałam pojęcia, że tutaj będziesz.

- Nie ma sprawy - odparłam. - Daj im czadu.

Zrobiłam sobie tosty i dokończyłam kawę. Usłyszałam na górze odgłos spuszczonej wody i wiedziałam, że za chwilę ojciec zejdzie na dół. Mama wyglądała tak, jakby myślała o prasowaniu.

- Dobra - powiedziałam, wstając się z krzesła. - Sprawy do załatwienia. Miejsca do odwiedzenia.

- Właśnie umyłam winogrona. Weź sobie trochę - powiedziała mama. - A w lodówce jest szynka, będziesz miała do kanapek.

Nie zauważyłam Habiba i Mitchella, wjeżdżając na parking, ale na wszelki wypadek trzymałam glocka w ręce. Zaparkowałam nieprzepisowo, zaraz przy tylnym wejściu, zostawiając najmniej, jak się dało, miejsca między samochodem a budynkiem, i poszłam od razu do mieszkania. Kiedy stanęłam przed drzwiami, zdałam sobie sprawę, że nie mam klucza, bo to Joe ostatni zamknął mieszkanie.

Ponieważ jestem jedyną osobą w całym wszechświecie, która nie umie otworzyć zamka bez klucza, poszłam pożyczyć zapasowy klucz od sąsiadki, pani Karwatt.

- Ładny dzień dzisiaj mamy, prawda? - zapytała. - Czuje się wiosnę w powietrzu.

- Przypuszczam, że dzisiaj było tutaj dość spokojnie - owiedziałam.

- Żadnego hałasu ani obcych, którzy kręcili się po korytarzu?

- Przynajmniej ja nic nie zauważyłam. - Spojrzała na mój rewolwer.

- Jaki ładny glock! Moja siostra ma glocka i po prostu go uwielbia. Myślałam o sprzedaniu swojej czterdziestki piątki, ale nie mogę się na to zdobyć. Mój świętej pamięci mąż podarował mi ją z okazji naszej pierwszej rocznicy ślubu. Niech spoczywa w pokoju.

- Co za romantyk.

- Oczywiście zawsze mogę użyć drugiego rewolweru.

Pokiwałam głową ze zrozumieniem.

- Nigdy nie ma się za dużo broni.

Pożegnałam się z panią Karwatt i weszłam do mieszkania. Przeszłam przez całe, sprawdzając szafy, zaglądając pod łóżko i za zasłonę pod prysznicem, żeby się upewnić, że jestem sama. Morelli miał rację, wszędzie panował nieopisany bałagan, ale wyglądało na to, że nie ma większych zniszczeń. Moim gościom zabrakło czasu, żeby rozbić szkło albo kopnąć w ekran telewizora.



Wzięłam prysznic i włożyłam czyste dżinsy i podkoszulek. Wytarłam sobie we włosy trochę żelu i za pomocą szczotki zakręciłam je w loczki, tak że wyglądałam jak skrzyżowanie dziewczyny z Jersey z panienką ze *Słonecznego patrolu*. Poczułam się przytłoczona tą kaskadą włosów, więc pociągnęłam rzęsy tuszem, żeby zachować równowagę.

Przez jakiś czas usiłowałam doprowadzić do porządku mieszkanie, ale potem zaczęło mnie wkurzać, że jestem taką fajtlapą. Nie tylko w przypadku Habiba i Mitchella, ale także Rangera. Było już po dziewiątej.

Zadzwoiłam do biura Morellego.

- Czy babcia w ogóle wróciła do domu? - zapytał. - Tak. To nie było przyjemne. Muszę z tobą pogadać. Może spotkamy się na wczesnym obiedzie u Pina?

Kiedy skończyłam rozmawiać z Morellim, zadzwoniłam do biura, żeby sprawdzić, czy Lula dowiedziała się czegoś o Morganie.

- Nic mu nie jest - uspokoiła mnie. - Ale nie wiem, czy ci dwaj kolesie Habib i Mitchell dostaną nagrodę na Gwiazdkę.

Zadzwoiłam do Dougiego i powiedziałam mu, że zatrzymam samochód trochę dłużej.

- Zatrzymaj go na zawsze - odpowiedział.

Zanim dojechałam do Pina, Morelli już czekał przy stoliku, jedząc przystawkę.

- Ubijemy interes - oświadczyłam, zdejmując kurtkę. - Jeśli powiesz mi, co jest grane między tobą a Rangerem, pozwolę ci zatrzymać Boba.

- O ludzie! - odparł Morelli. - Jak mógłbym odrzucić taką propozycję?

- Mam pewien pomysł, dotyczący interesów Ramosa - powiedziałam. - Ale czegoś mi brakuje. Zastanawiam się nad tym od jakichś trzech lub czterech dni.

Morelli uśmiechnął się.

- Kobięca intuicja?

Też się uśmiechnęłam, bo, jak się okazało, intuicja jest najpotężniejszą bronią w moim arsenale. Nie umiem strzelać ani zbyt szybko biegać, a karate znam tylko z filmów z Bruce'em Lee. Ale mam

dobrą intuicję. Tak naprawdę zazwyczaj nie wiem, co też ja, u diabła, robię, ale jeśli idę za głosem intuicji, wszystko jakoś się układa.

- W jaki sposób zidentyfikowano Homera Ramosa? - zapytałam Morellego. - Za pomocą karty leczenia u dentysty?

- Zidentyfikowano go za pomocą biżuterii i poszlak. Nie było kartoteki dentystycznej. Zniknęła w tajemniczych okolicznościach.

- Tak sobie myślę, że może to nie Homer Ramos został zastrzelony. Nikt z rodziny nie jest zasmucony po jego śmierci. Nawet jeśli ojciec uważa swojego syna za zepsutego do szpiku kości, nie mogą uwierzyć, że śmierć takiego gagatka nie wzbudza w nim żadnych emocji. Kiedy poszłam na zwiady, odkryłam, że ktoś mieszka w pokoju gościnnym Hannibala. Ktoś, kto ma identyczny rozmiar ubrań jak Homer Ramos. Myślę, że Homer ukrywał się w domu Hannibala, potem Macaroni dał się złapać i Homer uciekł.

Morelli zaczekał chwilę, bo kelnerka akurat przyniosła nam pizzę.

- Tyle wiemy. A przynajmniej wydaje nam się, że wiemy. Homer był pośrednikiem w nowym interesie Stolle'a, związanym z przemysłem narkotyków. Ta cała akcja nie spodobała się chłopakom w północnym Jersey i Nowym Jorku i ludzie zaczęli zmieniać obozy.

- Wojna handlarzy narkotyków.

- Gorzej. Skoro członek rodziny Ramosów zajął się handlem narkotykami, to na północy Jersey zajęto się handlem bronią. Nikt nie był zadowolony z takiego obrotu spraw, ponieważ oznaczało to, że trzeba by na nowo wytyczyć granice. Wszyscy byli wkurzeni. Do tego stopnia wkurzeni, że wydano wyrok na Homera Ramosa.

- Miałś rację. Domyślamy się, że Ramos żyje, ale nie możemy tego udowodnić. Ranger podejrzewał to od samego początku, a ty umocniłaś go w tym przekonaniu, mówiąc mu, że widziałeś Ulyssesa w drzwiach rezydencji na wybrzeżu. Ulysses nigdy nie opuścił Brazylii. Sądzymy, że w tym biurówcu usmażyli jakiegoś innego frajera, a Homer gdzieś zwał i czekał, aż będzie mógł uciec z kraju.

- I myślisz, że teraz jest na wybrzeżu?

- Wydaje się to logiczne, ale sam już nie wiem. Nie mamy pretekstu, żeby wejść i przeszukać dom. Ranger dostał się do środka, ale nic nie znalazł.

- A co ze sportową torbą? Były w niej pieniądze Stolle'a, tak?

- Uważamy, że kiedy dotarło do Hannibala, iż jego młodszy brat o mało co nie rozpętał wojny gangów, kazał Homerowi zaprzestać jakiegokolwiek działalności poza rodzinnym interesem i zerwać kontakty ze Stolle'em. Potem

Hannibal poprosił Rangera, żeby dostarczył pieniądze Stolle'owi i powiedział mu, że Homer nie będzie więcej działał pod szyldem rodziny Ramosów. Problem polega na tym, że kiedy Stolle otworzył torbę, zobaczył papier gazetowy.

- Ranger nie sprawdził zawartości torby, zanim ją przyjął?

- Dostał torbę zamkniętą. Hannibal tak to zorganizował.

- Wrobił Rangera?

- Tak, ale prawdopodobnie tylko w pożar i morderstwo. Zapewne zdawał sobie sprawę, że tym razem Homer posunął się za daleko, a jego obietnice, że będzie dobrym chłopcem i przestanie sprzedawać narkotyki, nie anulują wyroku. Więc tak wszystko zorganizował, żeby uznano Homera za nieżyjącego. Ranger nadawał się na kozła ofiarnego, bo nie był po niczyjej stronie. Jeśli Rangera uznają za mordercę, nie będzie powodu do zemsty.

- Więc kto ma pieniądze? Hannibal?

- Hannibal wrobił Rangera, żeby upozorować morderstwo, ale trudno uwierzyć w to, że chciał oszukać Stolle'a. Chciał go udobruchać, a nie wkurzyć. - Morelli nałożył sobie kolejny kawałek pizzy. - Wygląda to raczej na jedną ze sztuczek Homera. Homer prawdopodobnie zamienił torby w samochodzie, jadąc do biura.

O Chryste!

- Nie przypuszczam, żebyś wiedział, jakim samochodem wtedy jechał?

- Srebrnym porsche. Samochodem Cynthii Lotte. Domyśliłam się, że tłumaczy to śmierć Cynthii.

- Dlaczego zrobiłaś taką minę? - zapytał Morelli.

- To był grymas winnego. W pewnym sensie pomogłam Cynthii wykraść ten samochód Homerowi.

Opowiedziałam Morellemu o Cynthii, która nakryła nas w domu Hannibala, i o tym, że chciała odzyskać swoje auto, co spowodowało, że trzeba było wyciągać trupa z samochodu. Kiedy skończyłam, Morelli siedział bez słowa, z miną nieco oszołomioną.

- Wiesz, glina dowiaduje się o najważniejszej rzeczy wtedy, kiedy jest przekonany, że nie usłyszy już nic nowego - powiedział w końcu. - Myślisz, że nic więcej cię nie zaskoczy. A potem pojawia się ty i cała zabawa zaczyna się od początku.

Wzięłam kawałek pizzy i pomyślałam, że teraz nasza rozmowa prawdopodobnie potoczy się w złym kierunku.

- Chyba nie muszę ci mówić, że narobiłaś bałaganu na miejscu zbrodni - powiedział Morelli.

Tak. Miałam rację. Rozmowa toczyła się w złym kierunku.

- I nie muszę wspominać o tym, że ukryłaś dowody w śledztwie w sprawie morderstwa.

Pokiwałam głową.

- Ludzie, trzymajcie mnie, o czym ty, u diabła, myślałaś? - krzyknął.

Wszyscy odwrócili się i popatrzyli na nas.

- Nie mogłam jej powstrzymać - powiedziałam - więc w tej sytuacji mogłam jej tylko pomóc.

- Trzeba było wyjść. Odejść stamtąd. Nie musiałaś jej pomagać! Myślałem, że po prostu podniosłaś go z podłogi. Nie wiedziałem, że wytarosiłaś go z auta, na miłość boską!

Ludzie znowu zaczęli się gapić.

- Znajdą twoje odciski palców na całym samochodzie - dodał.

- Lula i ja miałyśmy rękawiczki. Jesteśmy bystre.

- Kiedyś nie chciałem się z tobą ożenić, bo nie chciałem, żebyś siedziała w domu i martwiła się o mnie. Teraz nie chcę się żenić, bo nie wiem, czy to ja poradzę sobie ze stresem, do jakiego nieuchronnie prowadzi zostanie twoim mężem.

- To by się nie wydarzyło, gdybyście - ty albo Ranger - mi zaufali. Najpierw poproszono mnie o pomoc w śledztwie, a potem odsunęto. To wszystko twoja wina.

Morelli zmrużył oczy.

- Dobra, może nie do końca - ustąpiłam.

- Muszę wracać do pracy - powiedział i poprosił o rachunek. - Obiecay mi, że pójdziesz do domu i tam zostaniesz. Obiecay, że pójdziesz do domu, zanikniesz się na klucz, i nie będziesz stamtąd wychodzić, dopóki wszystko się nie wyjaśni. Alexander ma bilet na

jutrzejszy lot do Grecji. Zapewne oznacza to, że Homer wyjeżdża dziś w nocy, i chyba wiemy, jak ma zamiar to zrobić.

- Statkiem.

- Tak. Jest taki kontenerowiec, który wypływa z Newark do Grecji. Ale Homer jest słabym ogniwem. Jeśli zdołamy oskarżyć go o morderstwo, istnieje szansa na to, że przyzna się do mniejszego wykroczenia i wyda nam Alexandra i Stolle'a.

- Cholera, nawet polubiłam tego Alexandra.

Teraz Morelli się skrzywił.

- W porządku - powiedziałam. - Pójdę do domu i nie będę nigdzie wychodzić. Dobra.

I tak dziś po południu nie miałam nic do roboty. Poza tym jakoś nie podniecała mnie perspektywa stworzenia Habibowi i Mitchellowi kolejnej okazji do porwania mnie i obcięcia mi palców u rąk, jednego po drugim. Pomyśl zaryglowania się w mieszkaniu bardziej mnie pociągał. Mogę posprzątać, obejrzeć jakieś głupoty w telewizji i zdrzemnąć się.

- Mam w domu twoją torebkę - przypomniał Morelli. - Zapomniałem zabrać ją ze sobą do pracy. Potrzebujesz klucza do mieszkania?

Kiwnęłam głową.

- Tak.

Odpiął klucz od swojego breloczka i podał mi go.

Parking przed moim domem był stosunkowo pusty. O tej porze seniorzy byli na zakupach albo starali się wykorzystać gruntownie system opieki zdrowotnej, co akurat bardzo mi odpowiadało, bo zajęłam dobre miejsce parkingowe. Na parkingu nie zauważyłam żadnych obcych samochodów. Jak okiem sięgnąć, nikt nie czał się w krzakach. Zaparkowałam tuż przy drzwiach wejściowych i wyjęłam z kieszeni glocka. Szybko weszłam do domu, a potem na górę po schodach. Na drugim piętrze było pusto i cicho. Drzwi do mojego mieszkania zamknięte. To już dwa dobre znaki. Otworzyłam drzwi, nadal trzymając w dłoni glocka, i weszłam do przedpokoju. Zamknęłam drzwi, ale nie przesunęłam zasuw, na wszelki wypadek, gdybym musiała ratować się szybką ucieczką. Potem zaczęłam sprawdzać pokoje, chcąc się upewnić, że wszystko jest w porządku.

Z pokoju gościnnego weszłam do łazienki. Kiedy tam byłam, z sypialni wynurzył się jakiś mężczyzna i wycelował do mnie z rewolweru. Średniego wzrostu i budowy ciała, szczuplejszy i młodszy niż Hannibal Ramos, ale rodzinne podobieństwo od razu rzucało się w oczy. Przystojny, choć zniszczony. Miesiąc spędzony w klinice piękności wiele by mu nie pomógł.

- Homer Ramos?

- We własnej osobie.

Oboje trzymaliśmy broń w ręku i staliśmy w odległości trzech metrów od siebie.

- Rzuć broń - powiedziałam.

Uśmiechnął się ponuro.

- Zmusz mnie do tego. Wspaniale.

- Rzuć broń albo cię zastrzelę.

- Dobra, zastrzel mnie. Dalej.

Popatrzyłam na glocka. To był półautomat, a ja zwykle nosiłam rewolwer. Nie miałam zielonego pojęcia, jak się strzela z półautomatu. Wiedziałam tylko tyle, że coś się przesuwa do tyłu. Nacisnęłam przycisk i magazynek wypadł na dywan.

Homer Ramos wybuchnął śmiechem.

Rzuciłam w niego glockiem, uderzając go w czoło, a on, zanim zdążyłam uciec, strzelił do mnie. Kula drasnęła mnie w ramię i utkwiała w ścianie za moimi plecami. Krzyknęłam i cofnęłam się, trzymając się za zranione miejsce.

- To było ostrzeżenie - powiedział. - Jeśli będziesz uciekać, strzelę ci w plecy.

- Po co tutaj przyszedłeś? Czego chcesz?

- To jasne. Chcę pieniędzy.

- Nie mam tych pieniędzy.

- Nie, niemożliwe, słodziutka. Pieniądze były w aucie, a stara pocziwa Cynthia, zanim umarła, powiedziała mi, że zastała cię w domu Hannibala. Jesteś jedyną kandydatką. Przeszukałem dom Cynthia. Torturowałem ją dopóty, dopóki nie byłem pewien, że wyśpiewała wszystko. Najpierw usiłowała mi sprzedać zmyśloną historijkę o wyrzuceniu torby, ale nawet Cynthia nie byłaby aż tak

głupia. Przeszukałem twoje mieszkanie i mieszkanie twojej tłustej przyjaciółki. I nie znalazłem żadnych pieniędzy.

Błysk w mózgu. To nie Habib i Mitchell przewrócili do góry nogami moje mieszkanie. Zrobił to Homer Ramos, który szukał swoich pieniędzy.

- A teraz powiesz mi, gdzie one są - oznajmił. - masz mi natychmiast powiedzieć, gdzie schowałaś moje pieniądze.

Ramię mnie paliło, a na rozerwanym rękawie kurtki powiększała się plama krwi. Przed oczami tańczyły mi czarne punkciki.

- Muszę usiąść.

Popchnął mnie w kierunku kanapy.

- Tam.

Postrzał, bez względu na wielkość rany, nie sprzyja trzeźwemu myśleniu. Gdzieś tam, w gąszczu szarych komórek między uszami, wiedziałam, że muszę wymyślić plan, ale niech mnie, jeśli byłam w stanie to zrobić. Moje myśli gnały w beładnej ucieczce pustymi ścieżkami. W oczach zbierały mi się łzy i pociągałam nosem.

- Gdzie są moje pieniądze? - powtórzył Ramos, kiedy usiadłam.

- Dałam je Rangerowi. - Nawet ja byłam zaskoczona, kiedy usłyszałam taką odpowiedź. Oczywiście żadne z nas w to nie uwierzyło.

- Kłamiesz. Pytam jeszcze raz. Jeśli uznani, że znowu kłamiesz, przestrzelę ci kolano.

Stał tyłem do małego przedpokoju, który prowadził do drzwi wejściowych. Spojrzałam ponad ramieniem Homera i zobaczyłam Rangera.

- Dobra, wygrałeś - powiedziałam głośniejszym głosem, niż było konieczne, z nutą hysterii w głosie. - Było tak. Nie miałam pojęcia, że w aucie są pieniądze. Widziałam tylko tego trupa. Nie wiem, może zwariowałam, a może naoglądałam się za dużo filmów o mafii, ale pomyślałam sobie: a jeżeli w bagażniku jest jeszcze jeden trup? To znaczy, nie chciałam przeoczyć żadnych zwłok, rozumiesz? Więc otworzyłam bagażnik i zobaczyłam sportową torbę. Zawsze byłam wścibska, więc oczywiście musiałam zajrzeć do środka...

- Nie dałbym złamanego grosza za twoją historyjkę - oświadczył Homer. - Chcę wiedzieć, co zrobiłaś z tymi cholernymi pieniędzmi. Za

dwanaście godzin odpływa mój statek. Myślisz, że do tej pory zdołasz przejść do sedna?

I wtedy Ranger podciął mu nogi i przystawił paralizator do karku. Homer wydał z siebie krótki jęk i runął na podłogę. Ranger schylił się i zabrał mu broń. Przeszukał go, żeby sprawdzić, czy facet nie ma jeszcze jakiejś broni, a kiedy nic nie znalazł, zakuł go w kajdanki z rękami na plecach.

Kopniakiem odsunął go na bok i stanął nade mną.

- Zdaje się, że zabroniłem ci zadawać się z członkami rodziny Ramosów. Ale ty nigdy nie słuchasz.

Typowe poczucie humoru Rangera. Uśmiechnęłam się niewyraźnie.

- Chyba zwymiotuję.

Położył mi rękę na karku i wepchnął moją głowę między kolana.

- Odpychaj moją rękę - poleciał.

Przestało mi dzwonić w uszach, a żołądek jakby się uspokoił. Ranger postawił mnie na nogi i zdjął mi kurtkę.

Wysiąkałam nos w podkoszulek.

- Jak długo ty jesteś?

- Wszedłem, jak do ciebie strzelił.

Oboje popatrzyliśmy na ranę na moim ramieniu.

- Draśnięcie - ocenił Ranger. - Nie możesz liczyć na duże współczucie. - Zaprowadził mnie do kuchni i przyłożył do rany papierowy ręcznik. - Spróbuj trochę to oczyścić, a ja poszukam plastra.

- Plastra! Zostałam postrzelona!

Wrócił z moją apteczką w ręce, przykleił mi plastry, żeby zatamować krew, przyłożył do rany gazik i owinął ramię bandażem. Cofnął się i uśmiechnął się do mnie.

- Jesteś jakaś blada.

- Myślałam, że już po mnie. Na pewno by mnie zabił.

- Ale tego nie zrobił - uprzytomnił mi Ranger.

- Czy kiedykolwiek myślałeś, że za chwilę umrzesz?

- Wiele razy.

- I co?

- I żyję. - Zadzwoił z mojego telefonu do Morellego. - Jestem w mieszkaniu Stephanie. Homer Ramos czeka tu na ciebie w kajdankach.



Pojedziemy radiowozem. Stephanie dostała w ramię. To tylko draśnięcie, ale ktoś to powinien obejrzeć.

Objął mnie i przytulił do siebie. Oparłam głowę na jego piersi, a on gładził mnie po włosach i całował nad uchem.

- Dobrze się czujesz? - zapytał.

W ogóle się nie czułam. Czułam się tak źle, jak tylko można. W głowie miałam mętlik.

- Jasne - przytaknęłam. - Nic mi nie jest.

Czułam, że się uśmiechnął.

- Kłamczucha.

Morelli dopadł mnie w szpitalu.

- Wszystko w porządku?

- Ranger zadał mi to samo pytanie piętnaście minut temu i prawdziwa odpowiedź brzmiała: „nie”. Ale już jest lepiej.

- Jak ramię?

- Chyba nie najgorzej. Czekam na lekarza.

Morelli wziął mnie za rękę i przycisnął usta do mojej dłoni.

- Kiedy ty jechałem, serce przestało mi bić ze dwa razy.

Pocałunek wzbudził niepokój w moim żołądku.

- Czuję się dobrze. Słowo.

- Musiałem sam się o tym przekonać.

- Ty mnie kochasz - powiedziałam.

Uśmiechnął się nieśmiało i skinął głową.

- Kocham cię.

Ranger też mnie kochał, ale inaczej. Ranger był na innym etapie.

Drzwi do poczekalni otworzyły się z hukiem i do środka wpakowały się Lula z Connie.

- Dowiedziałyśmy się, że cię postrzelili - zagaiła Lula. - Co się stało?

- O Boże! - jęknęła Connie. - Spójrz na jej rękę! Jak to się stało?

Morelli wstał.

- Muszę być przy tym, jak przywiozą Ramosa. Myślę, że teraz, kiedy przybyły takie posiłki, jestem tutaj zbędny. Zadzwoń do mnie zaraz po wyjściu od lekarza.

Zdecydowałam, że prosto ze szpitala pojedę do moich rodziców. Morelli był zajęty przesłuchiowaniem Homera Ramosa, a ja nie miałam

ochoty siedzieć sama. Poprosiłam Lulę, żebyśmy najpierw pojechały do Dougiego, ponieważ chciałam wziąć od niego koszulę flanelową, żeby ją włożyć na zakrwawiony podkoszulek.

Dougie i Księżyc siedzieli w pokoju gościnnym wgapieni w nowy telewizor z wielkim ekranem.

- Cześć, facetka - powitał mnie Księżyc. - Właśnie testujemy nowy telewizor. Szalowy, co?

- Myślałam, że zajmujesz się kradzieżą samochodów?

- Zdumiewające - rzekł Księżyc. - Dopiero co kupiony telewizor. Nawet go nie ukradliśmy, facetka. Mówię ci, niezbadane są wyroki boskie. Najpierw myślisz, że twoja przyszłość nieciekawie się zapowiada, a zaraz potem dostajesz spadek.

- Gratulacje. Kto zmarł?

- To prawdziwy cud - upierał się przy swoim Księżyc. - Nasz spadek nie jest splugawiony żadną tragedią. Telewizor został nam подарowany, facetka. To prezent. Wyobrażasz sobie? W niedzielę mieliśmy z Dougiem niezłą okazję, żeby sprzedać samochód, więc pojechalśmy do myjni, żeby go odpicować dla tego kupca. Jesteśmy w tej myjni, aż tu nagle wpada blondyna w srebrnym porsche. Wypucowała go tak, że wyglądał prawie jak nowy. A my się przyglądaliśmy. Potem wyciągnęła z bagażnika tę torbę i wyrzuciła ją na śmietnik. To była prawdziwa markowa torba, więc zapytaliśmy, czy możemy ją sobie zabrać. A ona odpowiedziała, że to wstrętne sportowa torba i możemy, u diabła, zrobić z nią, co nam się żywnie podoba. No to zabraliśmy torbę do domu i przypomnieliśmy sobie o niej dopiero dzisiaj rano.

- A kiedy ją otworzyliście i zajrzeliście do środka, okazało się, że jest tam milion dolarów - dokończyłam.

- Kurza twarz! Skąd wiesz?

- Domyśliłam się.

Kiedy przyjechałam do domu, mama była w kuchni. Przyrządzała *toltott kaposzta*, czyli gołąbki. Nie przepadam za tym daniem. Ale w końcu najbardziej przepadam za deserem z ananasa z bitą śmietaną. Trudno te dwie rzeczy porównać.

Przerwała na chwilę pracę i popatrzyła na mnie.

- Czy coś ci się stało w ramię? Jakoś śmiesznie je trzymasz.

- Postrzelili mnie, ale...

Mama zemdląca. Trzask, upadła na podłogę, trzymając w ręce drewnianą łyżkę.

Cholera.

Zamoczyłam ścierkę i przyłożyłam jej do czoła. Trzymałam, dopóki się nie ocknęła.

- Co się stało?

- Zemdlącaś.

- Nigdy nie mdleję. Chyba ci się wydawało. - Usiadła i przetarła twarz mokrą ścierką. - Tak, teraz sobie przypominam.

Pomogłam jej usiąść na krześle i nastawiłam wodę na herbatę.

- Czy to coś poważnego? - zapytała.

- To tylko draśnięcie. A ten koleś jest już w więzieniu, więc wszystko w porządku. - Z wyjątkiem tego, że czułam lekkie mdłości, serce mi waliło jak szalone i nie chciałam wracać do domu. Tak, poza tym wszystko było w porządku.

Postawiłam na stole paterę z ciasteczkami i podałam mamie herbatę. Siadłam naprzeciwko niej i wzięłam sobie ciasteczko. Czekoladowe. Bardzo zdrowe, bo mama dodawała do nich orzechy, a w orzechach jest dużo protein, prawda?

Drzwi wejściowe otworzyły się i zamknęły z hukiem, i babcia wpadła jak burza do kuchni.

- Zrobiłam to! Zdałam egzamin na prawo jazdy!

Mama przeżegnała się i znowu przyłożyła sobie do czoła mokrą ścierkę.

- Dlaczego masz takie spuchnięte ramię pod koszulą? - zapytała mnie babcia.

- To bandaż. Postrzelili mnie dzisiaj.

Babcia zrobiła wielkie oczy.

- Świetnie! - Przysunęła sobie krzesło i usiadła z nami przy stole. - Jak to się stało? Kto do ciebie strzelał?

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, zadzwonił telefon. Dzwoniła Marge Dembowski, która zameldowała, że jej córka Debbie, która pracuje w szpitalu jako pielęgniarka, dzwoniła, żeby powiedzieć, że mnie postrzelili. Potem dzwoniła Julia Kruselli, żeby zawiadomić, że jej syn,

Richard, który jest glina, właśnie przekazał jej cynk o Homerze Ramosie.

Przeniosłam się z kuchni do pokoju gościnnego i zasnęłam przed telewizorem. Kiedy się obudziłam, siedział przy mnie Morelli, a w całym domu cuchnęło faszerowaną kapustą, która dochodziła w piecyku, i bolało mnie ramię.

Morelli miał dla mnie nową kurtkę, bez dziury po kuli.

- Najwyższy czas iść do domu - powiedział, delikatnie wsuwając moją rękę w rękaw kurtki.

- Jestem w domu.

- Mam na myśli mój dom.

Dom Morellego. Jak miło. Byłby tam Rex i Bob. I co więcej, sam Morelli.

Mama postawiła na stoliku przed nami dużą torbę.

- Kilka gołąbków, bochenek świeżego chleba i trochę ciastek.

Morelli wziął torbę.

- Uwielbiam faszerowaną kapustę - oświadczył.

Mama wyglądała na uszczęśliwioną.

- Naprawdę lubisz gołąbki? - zapytałam go, kiedy siedzieliśmy w samochodzie.

- Lubię wszystko, czego nie muszę sam gotować.

- Jak poszło z Homerem Ramosem?

- Lepiej niż w naszych najśmielszych przypuszczeniach. Ten człowiek to gnida. Sypnął wszystkich. Alexander Ramos powinien był go zabić zaraz po urodzeniu. Na bis złapaliśmy też Habiba i Mitchella i powiedzieliśmy im, że są oskarżeni o porwanie, a oni wydali nam Stolle'a.

- Miałeś ciężkie popołudnie.

- To był udany dzień. Z wyjątkiem tego, że cię postrzelili.

- Kto zabił Macaroniego?

- Homer. Stolle wysłał Macaroniego, żeby przywiózł porsche. Pewnie wykalkulował sobie, że to będzie spłata części długu. Homer złapał go w samochodzie i zastrzelił. Potem wpadł w panikę i uciekł z domu.

- I zapomniał włączyć alarm?

Morelli uśmiechnął się.

- Tak. Homer popadł w nałóg wypróbowywania jakości towarów, które dostarczał Stolle'owi, i nie działał zgodnie z planem. Był naćpany, wyszedł kupić coś do jedzenia i zapomniał włączyć alarm. Dzięki temu Ranger mógł się włamać. Macaroni też się włamał. Ty również weszłaś do środka. Zdaje się, że Hannibal nie zdawał sobie sprawy z rozmiarów problemu. Myślał, że Homer grzecznie siedzi sobie w domu.

- Ale Homer był wrakiem człowieka.

- Tak. Homer był naprawdę wrakiem. Po zastrzeleniu Macaroniego odbiło mu do reszty. Był na haju i pewnie pomyślał, że sam się lepiej ukryje, niż zadekował go Hannibal, więc wrócił do domu po swoje oszczędności. Tylko że ich tam nie było.

- A w tym czasie ludzie Hannibala przetrząsali cały stan w poszukiwaniu Homera.

- Świadomość, że tak się szarpali, żeby znaleźć tego małego skurczybyka, jest bardzo przyjemna - powiedział Morelli.

- A co z torbą? - zapytałam. - Czy ktoś wie, co się stało z milionem dolarów? - Chodziło mi o to, czy wie o tym ktoś jeszcze oprócz mnie.

- To jedna z wielkich zagadek bytu - rzekł Morelli. - przeważa opinia, że Homer, będąc na haju, gdzieś je schował, a potem zapomniał gdzie.

- To brzmi logicznie - oświadczyłam. - Założę się, że tak właśnie było.

Co, do cholery, dlaczego mam nie pozwolić na to, żeby Dougie i Księżyc nacieszyli się forszą? Jeśli zostałaby skonfiskowana, dostałaby się do kasy rządu federalnego i Bóg raczy wiedzieć, co by się z nią stało.

Morelli zatrzymał się przed swoim domkiem szeregowym przy Slater Street i pomógł mi wysiąść. Otworzył drzwi wejściowe, z których wyskoczył Bob i wyszczerzył do mnie zęby.

- Jest szczęśliwy, że mnie widzi - powiedziałam Morellemu. Oczywiście fakt, że w ręce trzymałam torbę pełną gołąbków, też był nie bez znaczenia. Ale to niczego nie zmieniało. Bob przywitał mnie entuzjastycznie.

Morelli postawił akwarium Reksa na ladzie w kuchni. Zapukałam w szybę i coś się poruszyło pod trocinami. Rex wystawił łebek, zaczął ruszać wąsami i zamrugał do mnie swoimi czarnymi oczkami.

- Cześć, Rex! - przywitałam go. - Jak leci?

Przestał poruszać wąsami na ułamek sekundy, a potem wrócił pod trocinę. Osobie nieorientowanej mogłoby się wydawać, że to niezbyt wiele, ale jak na chomika, to także było wspaniałe powitanie.

Morelli otworzył kilka piw i postawił dwa talerze na swoim małym stoliku w kuchni. Podzieliliśmy się gołąbkami z Bobem i zaczęliśmy wcinać. W połowie drugiego gołąbka zauważyłam, że Morelli nie je.

- Nie jesteś głodny? - zapytałam.

Uśmiechnął się nieśmiało.

- Brakowało mi ciebie.

- Ja też za tobą tęskniłam.

- Jak twoja ręka?

- W porządku.

Wziął moją dłoń i pocałował palec.

- Mam nadzieję, że ta rozmowa to początek gry wstępnej, ponieważ naprawdę nie panuję nad sobą.

Dla mnie bomba. W tym momencie nie widziałam sensu w tym, żeby w ogóle nad sobą panować.

Wyjął mi z ręki widelec.

- Masz wielką ochotę na te gołąbki?

- Nawet nie lubię gołąbków.

Porwał mnie z krzesła i zaczął całować. Ktoś zadzwonił do drzwi i oboje odskoczyliśmy od siebie.

- Niech to szlag! - zaklął Morelli. - A teraz znów co? Zawsze coś! Koniec z babciami, mordercami i pagerami. Dłużej tego nie znoję.

Piekląc się, wyszedł i z hukiem otworzył drzwi.

W drzwiach stała jego babcia Bella. Była to kobieta niskiego wzrostu, cała w przedpotopowej czerni. Włosy miała ściągnięte w koczek na karku, żadnego makijażu, a jej wąskie usta były zaciśnięte. Obok stała matka Joego, która była wyższa niż Bella, ale nie mniej przerażająca.

- No i co? - zapytała babka Bella. Joe spojrzął na nią.

- Z czym?

- Nie zaprosisz nas do środka?

- Nie.

Bella zeszywniała.

- Gdybyś nie był moim ulubionym wnukiem, to nauczyłabym cię rozumu.

Matka Joego wysunęła się do przodu.

- Nie przyszłyśmy na długo. Jedziemy na pępkówkę do Marjorie Soleri. Wstąpiłyśmy tylko, żeby zostawić ci trochę jedzenia. Wiem, że sobie nie gotujesz.

Stałam obok Joego i wzięłam od jego matki garnek.

- Miło znowu panią widzieć, pani Morelli. I panią też, babciu Bello. Z tego garnka płynie zniewalający zapach.

- Co tu się dzieje? - zapytała Bella. - Znowu żyjecie w grzechu?

- Próbujemy - odparł Morelli. - Ale jakoś nie mamy szczęścia.

Bella podskoczyła i trzepnęła go po głowie.

- Wstyd mi za ciebie.

- Może zaniosę to do kuchni - powiedziałam, wycofując się. - Muszę już uciekać. Ja też nie przyszłam na długo. Wpadłam tylko, żeby się przywitać. - Nie miałam najmniejszej ochoty na to, żeby babcia Bella wzięła mnie na muszkę.

Joe chwycił mnie za zdrową rękę.

- Nigdzie nie pójdziesz.

Bella popatrzyła na mnie spod oka, aż się wzdrygnęłam. Czułam, że Joe za chwilę wybuchnie.

- Stephanie zostaje u mnie na noc - zakomunikował. - Musicie się z tym pogodzić.

Bella i pani Morelli nadęły się i zacisnęły usta.

Pani Morelli zadarła głowę do góry i wbiła w Joego swój przeszywający wzrok.

- Czy masz zamiar ożenić się z tą kobietą?

- Tak, żebyście wiedziały, że się z nią ożenię - oświadczył Joe. - Im szybciej, tym lepiej.

- Ożeni się! - wykrzyknęła babcia, składając modlitewnie ręce. - Mój Joseph się żeni. - Ucałowała nas oboje.

- Chwileczkę - powiedziałam do Morellego. - Nigdy nie prosiłeś mnie o rękę. Przecież ty nie chcesz się żenić.

- Zmieniłem zdanie - odparł. - Chcę się ożenić. Do diaska, chcę się ożenić dziś wieczór.

- Chcesz po prostu uprawiać seks - uściśliłam.

- Chyba żartujesz! Nawet nie pamiętam, o co w tym chodzi. Nie wiem, czy jeszcze potrafię to robić. Zadzwoił jego pager.

- Niech to szlag! - wściekł się Morelli. Oderwał pager od paska i wyrzucił go na ulicę.

Babcia Bella spojrzała na moją dłoń.

- A gdzie pierścionek?

Wszyscy popatrzyliśmy na moją dłoń. Pierścionka nie było.

- Nie trzeba mieć pierścionka, żeby wziąć ślub - rzekł twardo Morelli.

Babcia Bella pokiwała głową ze smutkiem.

- On nic nie rozumie - powiedziała.

- Zaczekajcie chwilę. Nie mam zamiaru dać się wrobić w małżeństwo - oświadczyłam.

Babcia Bella stanęła jak wryta.

- Nie chcesz wyjść za mąż za mojego Josepha? - Mama Joego przeżegnała się i przewróciła oczyma.

- Do licha - zwrócił się Joe do swojej matki i babci - popatrzcie, która godzina. Nie chciałbym, żebyście przegapiły tę pępkówkę.

- Wiem, do czego zmierzasz - oznajmiła Bella. - chcesz się nas pozbyć.

- Istotnie - przytaknął Joe. - Musimy obgadać ze Stephanie parę spraw.

Babcia spojrzała gdzieś w przestrzeń.

- Mam wizję - powiedziała. - Widzę wnuki. Trzech chłopców i dwie dziewczynki...

- Nie daj się zastraszyć - szepnął Joe. - Na piętrze przy łóżku mam całe pudełko najlepszych zabezpieczeń, jakie można kupić.

Przygryzłam dolną wargę. Czułabym się znacznie lepiej, gdyby babcia Bella powiedziała, że widzi chomika.

- No dobrze, to my już sobie pójdziemy - odezwała się Bella. - Wizje zawsze mnie męczą. Będę musiała zdrzemnąć się w samochodzie w drodze na tę pępkówkę.



Kiedy odeszły, Joe zatrzęsął drzwiami i zamknął je na zamek. Wziął ode mnie garnek i postawił go na stole w jadalni, poza zasięgiem Boba. Ostrożnie zdjął mi kurtkę i rzucił ją na podłogę, rozpiął moje dżinsy, chwycił mnie za pasek i przyciągnął do siebie.

- A co do tej propozycji, kochanie...

KONIEC